

NIEKTÓRZY LUDZIE PO PROSTU ZNIKAJĄ.  
STAJĄ SIĘ TAJEMNICĄ, KTÓREJ NIKT NIE POTRAFI ODKRYĆ...

# JACEK PIEKIEŁKO



NIEWIDOCZNI

**JACEK  
PIEKIEŁKO**

**NIEWIDOCZNI**



# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Prolog

## **CZĘŚĆ PIERWSZA**

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

## **CZEŚĆ DRUGA**

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

## **CZEŚĆ TRZECIA**

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28

Epilog

Posłowie

Przypisy

Redakcja  
*Monika Orłowska*

Korekta  
*Bożena Sigismund*

Projekt graficzny okładki  
*Mariusz Banachowicz*

Skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2020

© Copyright by Jacek Piekiełko, Warszawa 2020

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-66644-23-6

**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
tel. 22 416 15 81  
03-475 Warszawa  
[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Polana to  
Spomiędzy drzew  
Przyjęła mnie  
W szorstkości swe  
Bym zaległ był,  
Jestestwem wnikł  
W kolejnych wielkich  
Rzeczy bieg [...]*

*Piotr Rogucki, Łąka 1*

### *List drugi*

*Czuję się, jakby moje ciało owinięto  
w wilgotne prześcieradło. Paruję.  
Z dnia na dzień skórę zaczynają porastać  
gęste lasy równikowe.  
Żyły pompują błotnistą, szarą maź. Paprocie,  
drzewa kamforowe, palmy  
wrastają we mnie korzeniami, pijąc zachłannie to,  
co się teraz we mnie skrapla.  
Tęsknotę za tobą.*

*Agnieszka Gałązka, Listy z Japonii*

# PROLOG

Mężczyzna czuje, jak wielki ciężar spada mu z serca. Ma wrażenie, jakby unosił się nad ziemią. Ten dzień zapamięta do końca życia. To początek i koniec, alfa i omega, powiedzenie demonom „stop”, wyjście z tej chorej sytuacji i równocześnie niepewność każdej następnej chwili.

– Wiesz, co teraz masz zrobić? – Z ciemności dobiega niski głos.

– Tak – odpowiada, czując, jak krople potu ściekają mu po skroniach. W powietrzu unosi się odór jego nieświeżego oddechu, ograniczany jedynie przez przezroczystą folię umieszczoną na drewnianej kratce. Wstydzi się z tego powodu. Może nawet bardziej niż występku, którego się dopuścił.

– Bóg nagradza odważnych – słyszy jeszcze. Następnie zapada niezmacona żadnym dźwiękiem cisza. Tego chyba najbardziej potrzebował. Ciszy w swojej głowie, braku natarczywych myśli. Wychodzi na zewnątrz. Stare latarnie emitują zaledwie poświatę żółtego światła. Mocny wiatr rozsiewa ziąb październikowego wieczoru. Nie jest jednak w stanie przegonić cząsteczek smogu zalegających w powietrzu.

Mężczyzna idzie wolno, powłóczy nogami, starając się odwlec w czasie realizację postanowienia, które uczynił. Czuje się przegrany, ale nie z powodu ostatniego czynu, którego się dopuścił, lecz ogólnie, takie miał życie, ciągle na bakier z prawem. Teraz zawładnęła nim ogromna ulga. Odkąd powziął tę decyzję, po raz pierwszy od dłuższego czasu udało mu się przespać całą noc. Nie budził się z koszulką mokrą od potu, nie krzyczał przez sen, nie wstawał z łóżka, by tępo wpatrywać się w bezbrzeżną ciemność spowijającą wiekowe osiedle, na którym mieszkał.

Rodzina jakoś sobie z tym poradzi. Musi wziąć się w garść. To nie pieprzony serial, w którym porządny obywatel, nauczyciel chemii, zaczyna pichcić metę, by zdobyć pieniądze dla swojej rodziny. Mężczyzna próbuje tłumaczyć sobie, że pośrednio też chciał poprawić byt bliskich. Zaraz jednak odpycha od siebie wszelkie usprawiedliwienia.

„Zrobiłeś to z bezwzględności strachu, skurwysynu” – słyszy własne myśli.



Obawia się, że jego dzieci i żonę będą wytykać palcami. Zostaną na zawsze naznaczeni. To, co zrobił, stanie się piętnem, dożywotnim brzemieniem, które będą musieli nosić. Czy mu wybaczą?

Idąc dalej, patrzy na odpadający tynk budynków, upstrzone od graffiti mury i walające się wzdłuż ulicy śmieci. To miasto jest okropne. Nie ma pojęcia, jak mógł spędzić w nim większość życia. Wszędzie pełno bezpańskich psów i ich odchodów. Jeden wielki szalet, którego więcej nie będzie musiał oglądać, i to jest jedyna pozytywna wiadomość związana z jego przyszłością.

Naraz dopada go potężne drżenie rąk. Spogląda przed siebie na zachodzącą poza budynki ulicę, ale widzi coś całkiem innego. Palce zaciskające się na miękkiej szyi, która poprzez błyskawiczne, silne ukrwienie staje się twarda jak skała. Język ofiary wysunięty pomiędzy wargami to ostatnia próba złapania oddechu. Wyrzeszczone oczy wyrażają niezrozumienie, żal i jednocześnie nienawiść. To spojrzenie wraca w każdym koszmarze. Przez sekundę rozważa, czy nie zwolnić ucisku, nie przekroczyć granicy, zza której nie będzie już powrotu. Wtedy uświadamia sobie, że nie może się wycofać, że zrobił jeden krok za daleko. Po tym wszystkim nie podadzą sobie dłoni, nie przeproszą i nie odejdą każdy we własnym kierunku. Są jak wypuszczone z klatek wygłodniałe zwierzęta. Na koniec czuje satysfakcję. Dawno nie łamał karków, a jeśli już, to on wydawał wyroki i nie tykał się brudnej roboty, może tylko czasami.

Cel jego podróży jest tuż za rogiem. Nigdy wcześniej nie był w tym miejscu. Może raz, wiele lat temu, gdy doszło do bójki podczas wesela brata. Nic z tego jednak nie pamiętał. Alkohol wszystkie wydarzenia wymazał z pamięci.

Teraz czuje wielkie pragnienie. Trzęsie się cały, jego ciało skręca się z nerwów, które ukoić może tylko solidna dawka czystej wódki. Jak na zawołanie po prawej stronie chodnika lśni neon Żabki, ostatniego bastionu walki z prohibicją.

Od razu kieruje się do lady, za którą znudzona kasjerka ostentacyjnie żuje gumę.

– Małpkę czystej – rzuca mężczyzna, rozglądając się wokół. W sklepie grupka osiemnastolatków hałaśliwie zastanawia się nad wyborem piwa.

– Z lodówki? – pyta ekspedientka, jakby mężczyzna miał wypisane na twarzy, że opróżni zawartość butelczki jak najszybciej.

– Obojętnie.

Dostaje ciepłą wódkę.

– Jedenaście pięćdziesiąt.

Mężczyzna drżącą dłonią sięga najpierw po buteleczkę, zdejmując zakrętkę i przechyla czystą do gardła, wypijając ją jednym haustem. Kobieta kładzie dłoń na ukryty przycisk wzywający ochronę, mając przecucie, że klient nie ureguluje rachunku. Młodzież milknie, oglądając patostream na żywo.

– Ty... patrz. Ja pierdołę... – mówi jeden z chłopaków.

Mężczyzna spogląda na jego irytujący uśmieszek, po czym przenosi wzrok na kasjerkę, zapewniając:

– Zaraz zapłacę.

– Ale cię przysrało, żulu. – Ten sam chłopak szczyrzy zęby. Ma szeroką bluzę z napisem PROSTO i grafitowe jogery kończące się nad białymi asicsami. – I co się gapisz, pało?

Mężczyzna wciąga głęboko powietrze, próbuje się uspokoić, ale w środku cały jest ogniem, granatem z wyciągniętą zawleczką. Słyszy koleje śmiechy i wyzwiska, do których dołączają się koledzy chłopaka. Już wie, że może wszystko załatwić tutaj, przy okazji. Zaoszczędzi sobie czasu. Wolnym krokiem kieruje się w stronę grupy.

Ekspedientka już wie, co się święci.

– Proszę opuścić sklep. Wynocha – rzuca jeszcze, ale nikt jej nie słyszy.

Chłopaczek ze szklistymi oczami dodaje:

– Co, żulku, chcesz fajkę? – Wyciąga paczkę w kierunku mężczyzny. – Dwa się wzięły, co?! – Wybuchają śmiechem.

Mężczyzna wbija się w jego krocze podeszwą buta. Cała grupa, oprócz poszkodowanego, który zwija się z bólu na podłodze, cofa się. Mężczyzna przeciąga ręką po ladzie, rozsypując jej zawartość. Pudełka ciastek lądują na głowie zaatakowanego.

– Ty, dziadek, powaliło cię? – mówi jeden z chłopaków.

Mężczyzna rzuca się na leżącego, chwytając go za włosy i zaczyna uderzać jego potylicą o brudne płytki. Wtedy reszta doskakuje do napastnika, starając się go odciągnąć od bezbronного kolegi.

Po długo trwającej szarpaninie do środka wpada dwóch policjantów.

– Ten menel się na nich rzucił – piszczy kasjerka.

Wszystko dzieje się błyskawicznie. Policjanci odciągają mężczyznę, przewracają go na brzuch, dociskając kolanami plecy. Wykręcają ręce, które skuwają z tyłu.

– Leż! – krzyczą, gdy mężczyzna mimo obezwładnienia próbuje się szamotać.

Podnoszą go z podłogi.

– Co się tutaj wydarzyło? – pyta jeden z funkcjonariuszy.

Każdy z grupy próbuje coś powiedzieć.

– Spokój! Po kolei – rozkazuje policjant, odwracając się w stronę kasjerki. – Jak było?

– Nie zapłacił za alkohol i zaatakował tego chłopaka – zeznaje dziewczyna, wyświadczając przysługę klientom.

– Panie władzo, ten gość jest jebnięty. Wybił mi zęba. – Chłopak s pluwa na podłogę.

– Dobra, bierz go do radiowozu. Wyciągajcie dowody osobiste.

– Tak było? – pyta drugi policjant. – Dlaczego go zaatakowałeś?

Mężczyzna podnosi głowę. Jest wyższy od wszystkich. Uśmiecha się, odsłaniając nierówne zęby.

– To tylko niewinna sprawa, panie władzo – wyjaśnia. – Nieporozumienie. Lekki wpierdol.

– Tak? W taki sposób rozwiązujesz problemy?

– Nie... zwykle załatwiam to w bardziej zdecydowany sposób.

– Mamy żartownisia... Pogadamy na komendzie.

– Robiłem gorsze rzeczy.

Na moment zapada cisza. Wszyscy spoglądają na mężczyznę, wyczuwając, że ma coś ważnego do powiedzenia. Brzmi poważnie, a to, co mówi, sprawia, że zgromadzeni w sklepie zamierają.

– Możesz mnie aresztować, ale za coś innego.

– Słucham?

– Ja... zabiłem człowieka.

\*\*\*

Ręce drżą mu z przerażenia. Nigdy wcześniej nie znajdował się w sytuacji podbramkowej. Wie, że to chwilowy stan i zaraz odzyska spokój ducha. Wciąż ma przewagę nad śledczymi. Pomimo poważnych komplikacji wyprzedza ich o krok.

Wypadek pokrzyżował cały jego misterny plan. Nalot na starą hutę również sprawił, że musi przenieść się w inne miejsce. Ma nadzieję, że policjanci skupią się na zatrzymanym, który wymieniał w sieci nielegalne treści pornograficzne. Był blisko, na terenie huty, a on wiedział o jego istnieniu i niecznym procederze. Zastanawiał się, czy z jego powodu nie będzie miał problemów, ale przewidział podobny scenariusz. Teraz czyny tego człowieka są parasolem ochronnym dla jego działalności. Nie spodziewał się jednak, że organy ścigania pójdą tropem „diamentów pamięci”. Uznawał to za bezpieczny proceder i wiele się nauczył z tej idei, którą jednak udoskonalił. Poszedł znacznie dalej. Tyle że za dużo złego nagromadziło się na jednym metrze kwadratowym.

Ma tylko nadzieję, że tak szybko nie znajdą laboratorium. Do tego czasu uda mu się przygotować cały proces. Miejsce powrotu, czy też dla innych wiecznego zapomnienia, już ma. Czasami je odwiedza, by przyjrzeć się efektom dotychczasowej pracy. Napęła go pozytywnymi myślami. Czuje się wtedy umocniony. Nabiera sił, by skończyć opus magnum. Będzie o nim głośno... Oj tak... Do zakładu karnego, w którym najprawdopodobniej się znajdzie, przybywać będą pielgrzymki ciekawskich dziennikarzy, empatycznych świrów i wyznawców idei, którą zapłodni umysły najbardziej parszywych istot chodzących po tej ziemi. Ted Bundy, Kuba Rozpruwacz, Wampir z Zagłębia, Rzeźnik z Rostowa, Jeffrey Dahmer, Ottis Toole, Henry Lee Lucas, Breivik – zamierza wkrótce dołączyć do tej galerii sław. Jednak wierzy, że nie zasłuży na pogardę. Wręcz przeciwnie, niektórzy docenią sposób, w jaki działa, a jego modus operandi trafi do podręczników kryminalistyki.

Niedawno przeczytał książkę o seryjnych mordercach i doszedł do konkluzji, że większość motywacji do zbrodni ma źródło w zaburzeniach seksualnych. Zło staje się dziedziczne, jest wypadkową pedagogiki oraz kompulsją determinowaną przez dotychczasowe otoczenie i relacje. Zapisał takie zdanie w notatniku. Utożsamiał się z poznawanymi teoriami, niemniej jednak stronił od wiwisekcji własnego umysłu, a na pewno odżegnywał się od wypaczonych zachowań seksualnych. Teraz jednak spogląda na śpiącą na boku Sylwię, dostrzega bliźnię po usunięciu pary żeber, ale spostrzega też, jak zmieniła się jej sylwetka. Po operacji

z dziewczyny zamieniła się w kobietę. Ta metamorfoza sprawia, że on nie widzi już ograniczeń, by...

Czuje suchość w gardle i jednocześnie obrzydzenie do siebie. Próbuje skupić się na czymś innym. Żądza jej ciała sprawia, że upodabnia się do tych zwierząt, o których pisze cały świat. On tak nie chce. Jeszcze musi poczekać. Skoro był cierpliwy tak długo... Sam wybierze odpowiedni moment. Obiecał sobie, że nie będzie czerpał z tego satysfakcji. Ten czyn ma ją zbrukać, a poprzez to dotknąć do żywego jej ojca. Dlatego też przeprowadził operację; nie mógł zrobić tego z dzieckiem, a widział w niej dziecko, teraz zaś jawi mu się jako kobieta, bardzo ponętna, skazana na jego łaskę...

Przykrywa Sylwię staranniejszą koldrą, po czym nachyla się, by sprawdzić jej cichy oddech. Przesuwa dłonią po jej włosach, gładząc je jak piasek. Liczył, że po nieszczęśliwym wypadku dziewczyna utraci pamięć. Wtedy wszystko byłoby zdecydowanie łatwiejsze. W zepsutym planie ta jedna rzecz mogła niespodziewanie wyprostować inne. Stało się jednak inaczej, ale dzięki temu znowu są razem i mogą kontynuować proces.

Zostawia ją samą i wychodzi. Rozmyśla, czy nie popełnił błędu z ostatnim ciałem, ale trzeba było uciszyć klapacza. Paplał na prawo i lewo. On z kolei nie mógł się po prostu oprzeć. Zadziałał instynkt, a o następstwa musi martwić się teraz.

Niestety trafił na otyłą osobę. To z kolei rodzi dodatkowe problemy, zwłaszcza z mydłem amoniakalnym, czyli tak zwanym trupim tłuszczem. Jeśli ciało człowieka zawiera sporo tłuszczów, proces rozkładu zostaje zdecydowanie spowolniony. Na to sobie pozwolić nie może. Ma swoje sposoby, ale zmydlenie tłuszczów zaburza standardową pracę. Należy je wytrącić wcześniej, w specjalnie przygotowanych warunkach, z odpowiednio utrzymanym poziomem wilgoci.

Naciąga gumowe rękawiczki, zakłada fartuch i maskę tlenową. Chwyta za skalpel i przygląda się żółtobrunatnej mazi wydobywającej się spod rozciętej skóry brzucha otyłego mężczyzny spoczywającego na stole.

Saponifikacja to proces, który utrwala.

Nie na tym mu zależy.

Jednak trzeba pozbyć się rzeczy trwałej, by rozpocząć dekompozycję.

Spogląda na skafander leżący na żółtej folii termoizolacyjnej.

Będzie miał sporo pracy.

**CZĘŚĆ  
PIERWSZA**

# 1

Marcelina spogląda nerwowo na smartfon. 10.30. Arek miał pojawić się w Starbucksie dziesięć minut temu. Tak ustalili. W zasadzie to był jej pomysł. Spodziewała się komplikacji, dlatego wołała zostawić sobie awaryjne półtorej godziny, by zażegnać potencjalne problemy. Okazało się, że jej przezorność była na najwyższym poziomie.

Ponownie wybiera numer do Arka, ale bezskutecznie. Mogła się tego spodziewać. Zamierzała wspólnie wypić kawę, spokojnie porozmawiać. Godzina i dwadzieścia pięć minut do rozmowy komisyjnej Arka Lubosza z przełożonymi, dzięki której ma szansę wrócić do służby. Niech to szlag!

Marcelina wsiada do samochodu, odpala silnik i rusza z piskiem opon. Jeśli światła na skrzyżowaniach okażą się dla niej łaskawe, powinna zjawić się przed domem spokojnej starości za kwadrans z lekkim poślizgiem. Po drodze łamie kilka przepisów, ale Yanosik nie mówi nic o kontroli prędkości.

Dlaczego w ogóle pomaga Arkowi? Dlaczego po prostu nie odpuści? Temat jest zbyt poważny, zwłaszcza po tym, co stało się ponad miesiąc temu, gdy Sylwię, córkę Lubosza, uprowadzono ze szpitala. Ktoś zrobił to po to, by zamknąć jej usta. Marcela nadal wierzy, że dziewczyna żyje... Gdyby było inaczej, oprawca mógłby pozbyć się Sylwii już w szpitalu. Przedstawiona dedukcja jest spójna, powtarzała ją Luboszowi po stokroć, póki jeszcze słuchał. Niestety później całkowicie się wyłączył. Zamknął na otaczający świat jak trzy lata temu, gdy jego córka zaginęła po raz pierwszy. Tego dowiedziała się od Marka, komisarza i przyjaciela Lubosza. Opowiadał, niezbyt wylewnie, co działo się w tamtym czasie z Arkiem. Jak pogrążył się w rozpacz i próbował odebrać sobie życie. Bała się jego reakcji po ostatnich wydarzeniach. Arek Lubosz – tykająca bomba.

Nie zna żadnej innej osoby, którą los tak okrutnie doświadczył. Człowieka samotnego, nieakceptującego siebie i rzeczywistości naokoło. Musi mu pomóc. Chce tego. A najbardziej pragnie rozwiązać całą sprawę, zwłaszcza że ze wszystkich poszlak, w których posiadanie weszła, wynika, że to właśnie Lubosz może być w wielkim niebezpieczeństwie.



Parkuje samochód wzdłuż krawężnika. Przechodzi przez bramkę, która uderza z trzaskiem o futrynę. Jeden z mieszkańców ośrodka, sympatyczny staruszek, pozdrawia ją, wysyłając dłonią całusa. Chciałby zagadać, ale zamiast słów z jego ust wypływa obfita ślina.

Marcela schodzi po pięciu stopniach i próbuje dostać się do sutereny. Niestety drzwi są zamknięte, a usilne walenie pięścią w ich front nie przynosi oczekiwanych rezultatów. Arek powinien być w mieszkaniu, ponieważ na ulicy dziennikarka dostrzegła jego samochód. Jej obawy, że stało się coś złego, są coraz większe.

Zawraca do ośrodka, gdzie spotyka portiera i mówi mu o swoich podejrzeniach.

Starszy mężczyzna, dorabiający sobie na emeryturze, wzdycha tylko:

– Lubosz... Same z nim kłopoty. – Wstaje z krzesła, z haczyków zdejmuje pęk kluczy i wychodzi z kanciapy. – Chodź, pani. Wejdziemy do niego awaryjnie.

Schodzą boczną klatką schodową, służącą jako przejście na wypadek pożaru, i już znajdują się przed białymi drzwiami. Przechodzą do korytarza, następnie kotłowni i magazynu, na którego końcu znajduje się wejście do pomieszczeń zamieszkałych przez Arka.

– Tu jest korytarzyk, który wcześniej połączony był z magazynem. Robię to wyłącznie dla pani. – Mruga okiem do Marceli, po czym szuka odpowiedniego klucza.

Otwiera drzwi, a za kolejnymi znajduje się pokój Lubosza.

– Dziękuję – mówi Marcelina.

– Wolałbym zaczekać.

Marcela wchodzi do środka. Od razu w nozdrza uderza ją przykry zapach. Rozgląda się. Na stole walają się puste butelki po alkoholu. Na podłodze leży kilka puszek po piwie.

– Chryste! – krzyczy kobieta, widząc Lubosza.

Leży nieprzytomny na łóżku. Na jego ustach i na poduszce widnieją zaschnięte wymiociny. W całym pomieszczeniu unosi się okropny fetor.

Marcelina doskakuje do Lubosza, zaczyna go szarpać, próbuje ocucić. Zauważa przy tym, że mężczyzna oddycha. Jego klatka piersiowa gwałtownie się rozszerza przy każdym wdechu. Na szczęście zasnął, leżąc na boku, co uratowało go przed zakrztuszeniem.

– Arek, obudź się.

Portier stoi przy wejściu, ma otwarte usta i zmarszczone brwi. Chciałby pomóc, ale w krytycznej sytuacji wyraźnie nie wie, jak się zachować. Robi krok do przodu, zatrzymuje się. Każdy jego ruch wydaje się nieporadny.

Marcelina nadal wybudza Arka, który tylko mruczy coś niewyraźnie. Po chwili otwiera oczy i zaczyna kasłać.

– Niechże mi pan pomoże, a nie stoi jak dupa wołowa.

– Tak, tak, już idę – odpowiada posłusznie portier.

Chwytają Lubosza pod ramię i stawiają na nogi.

– Do łazienki – rozkazuje Marcelina.

Lubosz jest ciężki i niemal nieprzytomny. Wydaje się, jakby ważył tonę.

– Pod prysznic.

Wpychają go pod prysznic. Arek klęczy, opierając się rękoma o brodzik.

– Uff... dzięki. Może już pan iść – mówi Marcela.

– Na pewno?

– Poradzę sobie.

Portier z nieskrywaną ulgą opuszcza łazienkę.

Marcelina odkręca kurek z zimną wodą. Strumień leci wprost na kark mężczyzny, który zaczyna wybudzać się z odrętwienia.

Lubosz bełkocze, kaszle, krztusi się, po czym wypluwa resztki wymiocin.

– Marcela? – Robi wielkie oczy, przekrzywiając głowę na bok.

– Nic już lepiej nie mów.

Kropłe wody spadają na jej bluzkę; jest wściekła głównie na siebie, że znalazła się w takiej sytuacji, a jednocześnie czuje satysfakcję, że może po prostu pomóc.

– Marcelka, będziesz cała mokra – mamrocze Arek.

Zdejmuje z niego koszulkę.

– Weź prysznic. Tutaj masz ręcznik. Czekam na ciebie.

Arek nieporadnie próbuje wstać z brodzika. Chwieje się. Odruchowo, z zamkniętymi oczami ustawia ciepłą wodę.

Marcela otwiera uchylne okienka w pomieszczeniu, gdzie Lubosz śpi, je, ogląda telewizję i egzystuje. Obrzuca wzrokiem cały pokój. Totalna nora, gorzej niż

w jakiejś melinie – myśli, zde gustowana. Wstrzymuje oddech, by powstrzymać nasilające się torsje. Gdy tylko spogląda na łóżko Arka, ma ochotę zwymiotować. Znajduje jedyny czysty kubek, do którego wsypuje trzy kopiaste łyżeczki mielonej kawy. Gotując wodę, stoi tuż przy uchylonym oknie i łapie świeże powietrze.

Po dziesięciu minutach w pokoju zjawia się Arek. Jest nagi, nie licząc przepasanych ręcznikiem bioder. Marcelina spogląda na jego sylwetkę. Jeszcze miesiąc temu pod coraz większą warstwą tłuszczu dostrzegalne były zarysy mięśni, które musiał rzeźbić na policyjnej siłowni. Teraz zdecydowanie się schowały, pojawił się lekki brzuszek, a pod gęstą szczecinę włosów porastającą tors uwydatniły się piersi. Zdziwiła się, że w tak krótkim czasie można zaniedbać swoje ciało aż do tego stopnia.

Lubosz chwiejnym krokiem podchodzi do szafy i chowa się za jednym ze skrzydeł drzwi, próbując się ubrać.

– Fajnie, że wpadłaś – mówi w końcu, wylaniając się z ukrycia.

– Napij się kawy.

Marcela podaje mu kubek, a on przyjmuje go drżącymi rękoma.

– Chodź, wypijesz po drodze – oznajmia dziennikarka.

– Co?

– Zbieraj się, nie mamy czasu.

– Czasu na co?

– Za kilka minut masz spotkanie z komisją.

– Ach tak... To dzisiaj?

– Bierz kurtkę i idziemy.

– Myślę, że daruję sobie spotkanie z tymi skurwielami.

– Arek, co ty pieprzysz? Jak się nie stawisz na to spotkanie, to mogą cię już nigdy nie przywrócić do służby.

– Walić to...

– Skąd będziesz miał pieniądze...

– Ostatnio dorabiam w magazynie. Tutaj niedaleko. Fajna robota na kilka godzin w nocy. Starcza na najważniejsze potrzeby. – Mówiąc to, kieruje wzrok na butelki po alkoholu.

– Błagam cię, chodź.

– Jak tam wejść, i tak nie mam szans.

– Powiesz, że jesteś chory. Nie masz nic do stracenia. Wypijesz kawę, zapalisz fajkę i dojdiesz do siebie.

– Nie.

– Zrób to dla siebie i dla Sylwii.

Lubosz zamiera. Marcelina uderzyła w czuły punkt.

– Myślisz, że nie próbuję?

– Tego nie powiedziałam.

– Nie muszę być na służbie, by prowadzić śledztwo.

– A teraz prowadzisz?

– Mam swoje przypuszczenia.

– I?

– I co? Myślę o tym całymi godzinami. Minał miesiąc, a policja nie ma nic, rozumiesz? Nie potrafią nawet ustalić miejsca pobytu tego jebanego detektywa. Nic, zero, null. Mają gości na kamerce od synka z wypadku. Też nic.

– Arek pogadamy jeszcze o tym. Trzeba się tylko skupić. I dość do siebie.

Marcelina kieruje się w stronę wyjścia. Błagalnym wzrokiem spogląda na Arka.

– Marcela, myślisz, że Sylwia... – Łamie mu się głos. – Czy ona wciąż żyje?

## 2

– Mogę tu zapalić? – pyta Lubosz, uchylając szybę w aucie.

– Pal – odpowiada Marcela. Nie zwraca na niego uwagi, pilnie przygląda się wszystkiemu, co dzieje się na drodze. Gdy tylko może, pozostawia silnik na wysokich obrotach.

– A masz fajki? Zapomniałem zabrać.

– Dżizas... Są w torebce.

Arek długo miesza w otchłani głębokiej torebki niczym magik próbujący wyjąć królika z kapelusza. Drżącymi rękami chwyta swoją nagrodę, wytrząsa z paczki cienkiego papierosa i zaciąga się łapczywie.

Patrzy przez boczną szybę na mijane budynki, nadchodzącą wolnymi krokami jesienną szarugę za oknem. Dni stają się coraz krótsze, noce ciemniejsze. Ulatuje wszelki optymizm niesiony przez słoneczne dni minionego lata. Mechanizm wydaje się zaplanowany, jakby to natura odpowiadała za podsumowanie ostatnich wydarzeń, zarówno w totalnie schrzanionym przez polską reprezentację mundialu, jak i w życiu Lubosza. Tak, zdecydowanie – stwierdza, co chwilę zaciągając się szybko dogorywającym papierosem. To cholerna paralela. Ten mundial i zniknięcie Sylwii. Najpierw euforia, nadzieja na zwycięstwo, potem gorzycz, rozczarowanie i twarda rzeczywistość. Lubosz wielokrotnie przyznawał w duchu, że to właśnie on powinien opatentować wszystkie prawa Murphy'ego. Czasami miał też wrażenie, że opowieść o Hiobie jest jego biografią. Ktoś kiedyś spisał tę uniwersalną tragedię, która powtarza się ciągle na nowo.

Marek, przyjaciel. To, co zrobił razem z Ewelina, stało się gwoździem do trumny. Najbliższe znane mu osoby snuły własną historię, ze strachu przed konsekwencjami. Markowi zdołał wybaczyć. Kto jak kto, ale Arek wie doskonale, że każdy popełnia błędy.

Marek działał w dobrej wierze, chciał pomóc Ewelinie w relacjach z córką i w najczarniejszych snach nie mógł przewidzieć, jaki może być finał jego udziału w „terapii” wymyślonej przez Ewelinę. Gdy Lubosz o tym myśli, czuje, jakby do zaciśniętych pięści zamiast krwi napływała płynna, rozżarzona lawa. Może wtedy

niszczyć wszystko, co stanie mu na drodze. Znowu potrzebuje pomocy specjalisty, wie o tym, ale nie ma siły i nie chce zamknąć się w ośrodku leczenia policjantów, ponieważ wszystko, co do tej pory wypracował, ległoby w gruzach. Już nigdy nie odzyskałby dawnej pracy. Znowu skończyłoby się na samotnie spędzanych dniach w miejscu oddalonym od świata.

Najgorsza jest niemoc. Nie możesz nic zrobić, wybiegasz na ulicę i cały świat żyje według własnych reguł. Nikt nie wie, jakie masz problemy. Wydajesz się ciałem obcym, wołaniem na pustyni, obumarłym liściem niesionym przez wiatr. Chciałbyś krzyknąć, dorwać się do gardła temu, który uprowadził ci córkę. Możesz jedynie liczyć na łut szczęścia.

Policja nie mówi o niczym. Arek wie, że to może oznaczać dwie rzeczy – są blisko albo nie mają nic.

Poza niemożnością zrobienia czegokolwiek, by odmienić beznadziejną sytuację, jeszcze gorsze zdają się czarne myśli. Arek próbuje je odegnąć, ale gdy tylko zasiada z papierosem w dłoni, one przychodzą same i zatruwają mu umysł. Wyobrażenia, która podsuwa obrazy sugerujące, co jakiś zwyrodnialec może robić z jego córką, to dożylna destrukcja paraliżująca organizm. Później przychodzą koszmary, a w nich psy. Ciągłe te same, wściekłe psy, tym razem zostawiają go w spokoju. Czuje, jak w pędzie muskają jego nogi lepką sierścią. Spogląda w kierunku, w którym podążają, a na końcu drogi zawsze dopadają do Sylwii.

Wtedy budzi się z duszącym uciskiem w piersiach.

Tak jak niemal każdego dnia od trzech lat, gdy jego życie zostało doszczętnie zniszczone. Zniknięcie Sylwii wywróciło wszystko do góry nogami, ale nieraz w samotne noce zastanawiał się, czy jego życie już wcześniej nie zaczęło się paprać. Dochodził do wniosku, że tylko córka potrafiła napełnić go pozytywnymi emocjami. Z kolei małżeństwo, relacje z Ewelina, ciągnęły w dół. Leżąc w przepoconej pościeli łóżka w ośrodku terapeutycznym dla policjantów i paląc papierosa, analizował każdą decyzję i coraz bardziej się przekonywał, że największym błędem była służba mundurowa. Wciągała nie jak dobry film, lecz ruchome piaski. Gdy poznał Ewelinę, po cichu liczył, że ich życie będzie wyglądać jak z folderu Volvo – luksusowy samochód przed piękną posesją, dzieciaki biegające po trawniku, przeszklony, nowoczesny dom. Wtedy jeszcze nie traktował pracy w policji poważnie, myślał nawet, by szybko z niej zrezygnować, ale z każdym dniem pochłaniała go mocniej. Potrzebował pieniędzy,

a o zatrudnienie łatwo nie było. Potem awans do kryminalnych, pierwsze miejsce zbrodni, widok niedający się zapomnieć i tłumaczenia każdego dnia, że ktoś musi robić tę brudną robotę. Ma do siebie żal o to, że poddał się życiu jak liść niesiony przez wiatr. Popłynął z prądem, tak było wygodniej, łatwiej.

Pakulska zatrzymuje samochód.

– Z tego, co wiem, masz minutę – mówi, rzucając mu bezlitosne spojrzenie.

Arek spogląda na budynek siedziby policji i mówi:

– Jak kocha, to poczeka.

### 3

Sierżant prowadzi go do sali, w której ma odbyć się spotkanie. Jest po czasie. Myślał, że to on się spóźni, lecz ważniacy prowadzący rozmowę nie pozwolą, by musieli na kogoś czekać. Dają jasno do zrozumienia, kto tutaj rządzi. Dlatego Lubosz zostaje sam w niewielkim pomieszczeniu, gdzie jest zdecydowanie za dużo niepotrzebnych sprzętów, stolików i wyświechtanych krzeseł. Czuje się jak w starym magazynie na meble, próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek był w tym miejscu. Chyba nigdy. Nie wygląda jak salka, gdzie odbywają się odprawy strategiczne czy jakiegokolwiek inne spotkania. Sam ten fakt dodaje mu otuchy. Coś się święci...

Drzwi pozostają lekko uchylone. Arek nasłuchuje kroków, ale z korytarza nie wydobywa się żaden dźwięk. Z rozrzwinięciem spogląda na stojący w rogu dystrybutor wody. Niestety, nigdzie nie zauważa kubeczków. Nie ma wyjścia. Wstaje z krzesła, podchodzi pod dystrybutor, klęka i wykręca głowę na bok pod kranikiem, by zaczerpnąć jak najwięcej. Urządzenie nie jest podłączone do sieci. Woda zachowuje temperaturę pokojową, ale i tak działa jak najlepiej schłodzony drink. Wypełnia przelyk Arka, niczym olej napędowy krążący po zakamarkach silnika.

– Myślałem, że pieski piją z miski.

Tubalny głos wrywa go z upokarzającej czynności. Woda rozlewa mu się na brodę i koszulę. Wyciera twarz rękawem, po czym wstaje z klęczek.

W pokoju stoi komisarz Robert Holica, ten sam, który rozmawiał z Luboszem w sali przesłuchań, pozorując oskarżenia. Tak naprawdę miał pomóc Markowi, by ten przyznał się do incydentu z Ewelina, a właściwie do tego, że był feralnej nocy w lesie, chcąc pomóc Sylwii wyrzucającej negatywne emocje we wpisach publikowanych na ukrytym forum internetowym. Nic wtedy z tego nie wyszło. Holica jednak od tamtej pory nigdy nie odezwał się do Lubosza. Najwyraźniej nie czuł takiej potrzeby. Posiwały, zmierzwiłone włosy; tym razem Lubosz zauważa postęp w wyglądzie – gładko ogoloną twarz komisarza.

– Chciało mi się pić – tłumaczy się Lubosz, nie wiedząc czemu.



– Domyślam się – odpowiada Holica, rozsiadając się za stołem, na którego blacie kładzie kilka teczek wyjętych ze skórzanego nesesera. – Trzeba dużo pić. Dla zdrowia. Najlepiej dwa litry dziennie albo i więcej.

Lubosz przygląda mu się uważnie.

– Chodzi o wodę. Wodę trzeba pić – dodaje komisarz, grzebiąc w teczce.

– Przyszedłem na komisję – oznajmia Lubosz. – Jestem gotowy, by wrócić.

– Nie wątpię.

– Gdzie reszta członków komisji?

– Można powiedzieć, że ich reprezentuję.

– To znaczy? Jakie jest orzeczenie w mojej sprawie?

– Rozwojowe.

– Co?

– Do tego jeszcze dojdziemy.

– Miałem wyznaczoną datę, stawiałem się według ustaleń.

Holica kładzie dłonie na stół.

– Decyzja komisji zostanie przesunięta... Nieco.

Lubosz czuje to, czego doświadcza ostatnio nad wyraz często. Kulę ognia rosnącą w jego ciele.

– To znaczy?

– Posłuchaj. Dopóki nie zakończy się sprawa z twoją córką, nie wracasz do roboty. Nie patrz tak na mnie. Nie ja to sobie wymyśliłem.

Arek wstaje energicznie. Rzuca Holicy spojrzenie wyrażające potężną niechęć.

– Siadaj – rozkazuje komisarz.

– Po co? W trzech zdaniach użyłeś trzy razy słowa „nie”. O czym więc chcesz jeszcze ze mną rozmawiać?

– A ty co? Matematyk?

– Nie, kurwa, lingwista.

Holica wyciąga dłoń w kierunku Lubosza.

– Przepraszam za naszą ostatnią rozmowę. Jak wiesz, to nie był mój pomysł.

Arek ignoruje pojednawczy gest komisarza.

– Domyślasz się, dlaczego w ogóle się spotykamy? – dodaje Holica.

– Właśnie nie mam bladego pojęcia. Chętnie już pójdę. Jestem trochę zajęty.

– Kolejny raz przychodzę do ciebie w imieniu innych. Tym razem mam coś ważnego. Można powiedzieć, że mam przydzielone zadania w sprawie twojej córki.

Lubosz od razu podnosi głowę.

– Chcesz pomóc w śledztwie? – pyta wprost Holica.

– W jakim sensie? Nadal jestem zawieszony.

– Możesz działać nieoficjalnie. Chodzi tylko o jedną rzecz.

Komisarz wyjmując z teczki czarno-białe zdjęcia wydrukowane na papierze. Na czterech kartkach formatu A4 widnieje osiem zdjęć przedstawiających wizerunek mężczyzny, którego Arek rozpoznaje od razu. Na pięciu wydrukach widać również Lubosza.

– Mariusz Trewski...

– Znowu będziecie mnie szantażować tym typem? Mówiłem już. To był przypadek. Wypowiedział imię, którym Sylwia posługiwała się w internecie.

Holica luzuje zapięcie kołnierza, rozpina dwa guziki, ukazując porośnięty srebrzystymi włosami fragment torsu. Milczy, bębniąc opuszkami palców o blat. Zastanawia się, jak najlepiej dobrać słowa, by przekazać Arkowi ważny komunikat. W końcu wypala:

– Jesteś przekonany, że to był przypadek?

– Co chcesz mi przez to powiedzieć?

– Mariusz Trewski, dotkliwie przez ciebie pobity pod klubem w Katowicach. Odgraża się wymiarowi sprawiedliwości, szczeka w mediach społecznościowych, ale z jakiegoś powodu nie wystosował wobec ciebie oskarżenia.

– Nie chcesz wiedzieć, co ten facet robi w wolnym czasie. Myślę, że sam nie chce, by ktokolwiek się o tym dowiedział, zwłaszcza sąd.

– Właśnie... Dlatego zaczęliśmy grzebać w jego życiorysie. Jestem przekonany, że znaleźlibyśmy wiele ofiar, które mogłyby go oskarżyć o stręczycielstwo. Gdyby tylko chciały. A same nie są święte, więc mamy błędne koło. Dotarliśmy do informacji, według których Trewski płacił nieletnim dziewczynom za seks. To znaczy one oferowały się, że mogą sprzedać swoje dziewictwo.

– Wiem... Między innymi dlatego dostał wpierdol.

– To, co teraz powiem, zaboli. Jak cholera. Ale musisz o tym wiedzieć.

Holica robi głęboki wdech, po czym wypuszcza głośno powietrze z płuc.

– Sylwia... mamy poszlaki, a w zasadzie pewność, że przed zniknięciem spotkała się z Trewskim.

Arkowi stają przed oczyma obrazy letniej nocy, chwiejna postawa Trewskiego, kolejne zaciągnięcie się papierosem i okropna rozmowa, w której mimowolnie uczestniczył. „Miałem taką jedną... Dopiero co do liceum zaczęła chodzić. Piękna blondyneczka. Chciała, żeby ją dobrze przygotować” – słyszy głos Trewskiego. „Kazała wołać na siebie Seli czy Celine”.

Seli. Biedna Sylwia. Coś ty najlepszego narobiła – pyta w myślach Lubosz.

Wraca pamięcią do okresu przed zniknięciem córki. Przypomina sobie jej bunt, który zbagatelizował, zasłaniając się pracą i lekkodusznym podejściem, że nastolatki „tak mają”. Pamięta kłótnie, trzaskanie drzwiami, całe weekendy spędzane w pokoju przez Sylwię. Może popełniła błąd, chciała spróbować czegoś nowego, jak na dziewczynę w jej wieku, wychowywaną przez Ewelinę i Arka dość tradycyjnie – całkowicie ekstremalnego. A może powodowana była czystą ciekawością, może jej koleżanki już o tym mówiły, przechwalały się w szkole. Co ja mogę o tym wiedzieć? – zastanawia się, uświadamiając sobie, jak bardzo zaniedbał relacje rodzinne. Czekał na to dziecko, cieszył się każdą chwilą rodzicielstwa, niestety radość rozmyła się z upływem lat. Stracił uwagę. Oddalił się. Potem przegrał wszystko. Sylwia szukała pomocy, ale to wstyd z powodu tego, co zrobiła, musiał sprawić, że została sama ze swoim problemem, którego rozwiązania zaczęła szukać w internecie, co stanowiło dla niej całkiem naturalny odruch. W sieci znalazła coś gorszego. Ktoś podsuwał jej pomysł, w jaki sposób przestać istnieć i pożegnać się ze światem. Tego chciała.

– Muszę zapalić – oznajmia Lubosz.

– Ja też – przyznaje Holica. – Spogląda na czujkę dymu wiszącą pod sufitem. – Mam na to sposób.

Unosi się zza biurka i przesuwa krzesło, na które wchodzi. Po chwili staje z powrotem na podłodze, przypomniawszy sobie o najważniejszej rzeczy. Z szuflady wyjmuje prezerwatywę, rozrywa folię, po czym nakłada lateks na czujkę.

– Teraz możemy zapalić.

Stopniowo pokój zaczyna wypełniać dym. Holica kontynuuje rozmowę na temat ustaleń policji w sprawie Mariusza Trewskiego. Przytacza oskarżenie o gwałt, które kilka lat wcześniej wniosła studentka, później pojawiły się też oskarżenia o molestowanie seksualne wniesione przez dwie kobiety zatrudnione w tej samej firmie. Trewski się wywinął. Założył własną działalność gospodarczą, zdobył większe wpływy, niezależność i stał się niewidoczny.

– Jaki to ma związek ze mną?

– Podejrzewamy, że to on może stać za uprowadzeniem Sylwii. Zarówno teraz ze szpitala, jak i trzy lata temu, w lesie.

– Co? Dlaczego on? Zbyt wiele rzeczy tutaj nie pasuje. Macie przecież nagranie z miejsca wypadku. Z komórki od chłopca, który siedział w mercedesie. Ten sam facet uprowadził Sylwię ze szpitala. Raczej niemożliwe...

– Tak, ale wszystko mogło zacząć się od Trewskiego. Cały proceder. Na filmie za dużo nie widać. Mamy wzrost faceta, mniej więcej sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, jest szczupły i całkiem dobrze zbudowany, a reszta to profil.

Holica wyjmuje kolejny wydruk fotografii, tym razem opracowany cyfrowo przez program graficzny. Przedstawia powiększoną twarz podejrzanego ujętą z profilu. Niemal pionowe czoło, duża głowa, lekko pękaty nos – być może z powodu złamania, gładko ogolona twarz oraz smuga przyschniętej krwi ciągnąca się od potylicy przez skórę na szyi tuż pod żuchwę.

Arek spogląda na fotografię i przypomina sobie, że widział tego człowieka na cmentarzu podczas pogrzebu Pawła Opolskiego, byłego chłopaka Sylwii. Ponownie odnosi wrażenie, że już gdzieś wcześniej go widział. Może to tylko ułuda, może gdzieś się zetknęli przypadkiem. Druga wersja wydaje mu się bardziej prawdopodobna.

– Nie widzę tego – stwierdza Arek.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Mniej więcej od momentu zniknięcia Sylwii ze szpitala nie ma kontaktu z Trewskim.

– To znaczy?

– Firma leży, jego pracownicy nic nie wiedzą. Najbliższa rodzina, czyli matka, też nie. Rozpłynął się w powietrzu. A to wygląda podejrzanie.

– Do rzeczy, komisarzu. Po co mi o tym wszystkim mówisz?

Holica patrzy na paczkę papierosów leżącą na blacie biurka. Przez ułamek sekundy ma ochotę sięgnąć po następną fajkę, ale powstrzymuje się, przenosząc wzrok na Arka.

– Powiem tak... Nie masz obiecujących notowań w firmie. Dwa głosy przeciwko jednemu, by dać ci kolejną szansę. Mogę się postarać, by decyzja o przywróceniu cię do służby była pozytywna.

– Skąd pewność, czy w ogóle chcę wracać?

– Inaczej by cię tutaj nie było. – Holica unosi brwi.

Racja, *touche*, celnie jak w szermierce – przyznaje w duchu Arek, czując, że kac nadal nie puszcza, utrudniając trzeźwe myślenie.

– Co chcesz w zamian? – pyta.

– Przysługa za przysługę. Przyznaję, że Trewskiego powiązaliśmy ze sprawą Sylwii przez całkowity przypadek. Tak między nami, ten skurwiol wyrządził wiele złego córce pewnej mojej znajomej... Nie będę wdawał się w szczegóły. Chciałbym, abyś go dopadł, zanim my to zrobimy. Myślę, że masz odpowiednią motywację, ba... podwójną motywację.

– Dlaczego? Dlaczego mam się tym zająć?

– Żeby wydobyć od niego wszystkie potrzebne informacje dotyczące porwania twojej córki. A potem...

Holica wrywa z notesu kartkę, klika na guzik długopisu, po czym kreśli szybko kilka słów:

„Urządzić mu piekło”.

## 4

Lubosz nie wie, co sądzić o propozycji „nie do odrzucenia” złożonej przez komisarza Holicę. Nie ufa mu. To śliski typ czekający na ciepłą emeryturkę, więc wszystko mu jedno, czy za odpowiednie fanty zmanipuluje kolejną osobę. Z kolei Marek zawsze podkreślał, że nie zna bardziej lojalnego współpracownika. Holica już wcześniej dał wyraz zależności od innych, szantażując Arka. Historia zatoczyła koło.

Holica może faktycznie chcieć oddać przysługę znajomej, a Arek ma wystarczająco dużo motywacji, by dorwać Trewskiego i dokonać zemsty. Niemniej z ust komisarza argument o skrzywdzonej córce „kogoś tam” brzmi jak spalony żart, podpucha, która idealnie się sprawdzi, by już ostatecznie wyrzucić Lubosza ze służby. W zasadzie taką decyzję mogliby ogłosić w każdej chwili – myśli. Nie muszą uciekać się do intryg. Przez moment ma mętlik w głowie. Jedyne rozwiązanie, które wchodzi obecnie w grę, to pożywne śniadanie z mocną kawą i papieros. Tylko w taki sposób jest w stanie wrócić do żywych.

– I co? – pyta Marcela stojąca przy samochodzie. – Jaka decyzja? Przywrócili cię?

– Powiedzmy.

– To znaczy? No mów!

– Masz czas na śniadanie? Jestem strasznie głodny.

– To brzmi jak zapowiedź, że wracasz do pracy.

– Pojawiły się pewne fakty motywujące. Najwyższy czas wziąć sprawę w swoje ręce i doprowadzić to do końca.

– Powiesz coś więcej?

– Chciałbym po prostu odzyskać córkę.

Marcela chwyta Arka za ramię i ściska mocno.

– Wszyscy tego chcemy. Zaangażowałam się. Tak jak obiecałam, pomogę. Życzę ci jak najlepiej. Zaslugujesz na to.

Lubosz spogląda w oczy dziennikarki, które lekko się zaszklily. W innych okolicznościach przyznałby przed samym sobą, że jest szczęściarzem. Spędził noc

ze świetną dziewczyną, która wyraźnie chce czegoś więcej, może czegoś poważniejszego. Doskonale wie, że dla Marceli nie bez znaczenia jest możliwość bycia blisko przy sprawie, ponieważ robi ze śledztwa materiał. Nie przeszkadza mu to, przynajmniej teraz, gdy poznał ją nieco bliżej. Wie, że Marcela nie pomaga wyłącznie z powodów zawodowych. Arek w pełni rozumie, czego wymaga jej profesja, i nawet chciałby, aby praca tej dziewczyny została doceniona w branży, bo to po prostu oznaczałoby, że Sylwia się odnalazła. Nie dopuszcza do siebie innego scenariusza.

Udają się do restauracji Kwartet na ulicy Powstańców, gdzie Arek zamawia jajecznicę z bekonem i podwójne espresso, natomiast Marcela wybiera omlet.

Arek przypomina sobie ostatnie chwile spędzone z Holicą.

– Jak mam go dorwać? – zapytał. – Muszę mieć dostęp do śledztwa.

– Zostaniesz czasowo przydzielony do spraw prowadzonych przez Marka Boguckiego. On wydaje ci dyspozycje. Pomagasz mu. Nie masz dostępu do broni. Nie kombinuj w tej kwestii, bo to prosta droga, żeby przestać w ogóle myśleć o tobie w kategoriach służby. Raz na zawsze wylecisz przez dyscyplinarkę. Plus dostaniesz opinię od psychiatry, której nie wymażesz z akt. – Holica rozłożył ręce, jakby chciał go uściskać. – Nie musisz dziękować. Zrobiłem to dla siebie. I może trochę z sentymentu. Siedząc w domu, nigdy nie znajdziesz córki. Powodzenia.

– Halo, ziemia do Arka! – Marcela macha dłonią tuż przed twarzą Lubosza.

– Sorry, zamyśliłem się.

– Widzę. Słuchaj, Arek, bierzemy się do życia, rozumiesz?

– Łatwo ci powiedzieć.

– To wszystko, co się dzieje, jest megadziwne. Musi dotyczyć ciebie bezpośrednio. Dlatego potrzebujemy wszyscy dla dobra śledztwa, żebyś się otworzył.

– Co mam jeszcze zrobić? – Lubosz ucieka wzrokiem. Spogląda nawet w stronę wyjścia, waha się, czy nie zostawić Marceli oczekującej przy stoliku na śniadanie i nie wyskoczyć na kolejnego papierosa. Uwielbia palić na pusty żołądek.

– Słuchaj mnie uważnie. Krystian Oprak wyszedł kilkanaście miesięcy temu.

– To nie ma znaczenia.

– Dlaczego?

- Ponieważ kiedy Sylwia zniknęła, siedział w zakładzie karnym.
- Mógł sterować tym zza krat. Doskonale wiesz, że to żaden problem.
- Nie wiem, czy byłby aż tak zmyślny.
- Ale tatuaże... Przecież to dotyczy bezpośrednio ciebie. Musisz zająć się dokładnie właśnie tym.

Arek zaczyna zdanie, ale urywa w pół słowa, gdy kelnerka podaje kawę do stolika. Siorbie gorący napój, po czym mówi:

– Okej. Załóżmy, że ten psychol chciał się na mnie zemścić. Wytatuował Sylwię, Wawrasza i Kmitę. Troje zaginionych. Wcześniej, później, ale w podobnym czasie. Czyli możemy przyjąć, że ten sam człowiek, powiedzmy nawet, że Oprak lub ktoś, kto dla niego pracował, odpowiada za zaginięcie aż trzech osób. Szukamy gościa przebranego za księdza. Dlaczego? Co łączy tych ludzi? To, że mogli mieć depresję, że czuli się zagubieni w otaczającym świecie.

– Zupełnie jak ty, Arek.

Na moment zalega cisza.

– Może właśnie to jest sygnał. Twój prześladowca chce, żebyś poczuł się tak samo jak zaginiony.

Kelnerka podaje jedzenie. Arek traci apetyt.

– Nie dostrzegasz jednego aspektu. Co ten psychol chciał z nimi zrobić? Dokąd ich wiozł? Jego celem musiało być odkrycie przez nas tatuaży. Jak i kiedy miałem je odnaleźć? Czy już na martwych ciałach? Czy inaczej?

– A może właśnie wypadek był celowy? – sugeruje Marcela. – Zauważ, że gość porwał Sylwię ze szpitala, ponieważ wybudziła się ze śpiączki i bał się, że powie o wszystkim, co wie.

– Tego nie wiemy.

– Ale hipotetycznie to bardzo prawdopodobny cel. Poza tym facet był przygotowany na wypadek samochodowy. Nie ucierpiał. Miał przebranie, koloratkę. Grał rolę z zimną krwią.

– To fakt.

– Upozorował samobójstwo Opolskiego, ponieważ ten widział go wtedy w lesie, gdy porwał Sylwię. Wiedział dużo o tobie. Co chciał osiągnąć przez te komunikaty na tatuażach dźwiękowych? Tego nie ustalimy, dopóki go nie dorwiemy.



Arek z trudem zmusza się do jedzenia. Przeżuwa wolno każdy kęs chleba, a jajecznica ledwo przechodzi mu przez gardło.

– A co z tym tropem kolczyków? Czy mogło chodzić o nielegalną biżuterię? – dopytuje Marcelina.

Lubosz przypomina sobie zdarzenia, o których nie jest łatwo mu myśleć. Sylwia przeszła operację. Zwyrrodnialec wyciął jej parę żeber wolnych. Niektóre modelki same poddają się takim zabiegom, by uzyskać lepszą talię. Dlaczego oprawca to zrobił? Tego wciąż nie wiadomo. Jednak wielce prawdopodobne jest, że chciał zaspokoić swój chory umysł w nieprzeciętny sposób. Sylwia podczas wypadku miała na sobie kolczyki. Marek znalazł jeden z nich w samochodzie. Później przyniósł go do szpitala i założył dziewczynie. Chciał oddać najbardziej osobisty przedmiot, który do niej należał. Śledczy odkryli, że beżowe kolczyki o nieregularnym kształcie zrobiono z kości Sylwii. Dokładnie z kości jej żeber.

– To spalony trop. Nie tędy droga – wyjaśnia Arek.

Śledczy rozpracowywali nielegalną firmę parającą się wytwarzaniem diamentów pamięci, czyli biżuterii pochodzącej z ludzkich szczątków, i przemytem ich za granicę. Połączyli fakty. Osoba, która wykonała kolczyki z kości Sylwii, mogła mieć odpowiednią wiedzę o procesie dekompozycji ludzkiego ciała i powiązania z rozpracowywaną grupą, ale ta odnoga śledztwa okazała się całkowicie ślepa.

– Tutaj chodzi o coś jeszcze... – oznajmia Lubosz.

– W jakim sensie?

– W kolejnym raporcie Krótkowskiego...

– Jakim kolejnym raporcie? – przerywa mu nagle Marcela.

– Nie mówiłem ci jeszcze. Nie było kiedy. Dużo się ostatnio działo.

Lubosz streszcza Marceli to, co zaszło tuż po uprowadzeniu Sylwii ze szpitala. Gdy obiecał sobie kolejny raz porozmawiać z Krótkowskim, przyprzeć go do muru i wyciągnąć prawdę. Po ustaleniach dziennikarki, która podzieliła się informacją, że detektyw nie prowadził prawdziwego śledztwa w Anglii w sprawie zaginięcia Mateusza Kmity, Arek udał się do biura Krótkowskiego. Chciał wyjaśnić, co tak naprawdę zawiera pozostawiony raport. Okazało się jednak, że Krótkowski zniknął, a w sejfie zostawił dla Arka kolejny raport, wykonany metodą zastosowaną przy opisie życia Kmity na emigracji. Tym razem podał szczegóły na

temat Rafała Wawrasza, smutny przebieg jego życia z dramatycznym finałem. To pozwala Luboszowi sądzić, że w całej sprawie dotyczącej Sylwii i obcych osób znalezionych w samochodzie jest drugie dno, bardziej złożone, niż może się wydawać.

– Arek, do cholery, dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?!

– Bo nie było kiedy.

– Bo wolałeś chlać.

– Uspokój się. Mówię o tym teraz i to powinno ci wystarczyć.

– Jasne...

– Marcela, nie obrażaj się. Mam te zapiski w mieszkaniu. Podrzucę ci, przeczytasz, wyciągniesz swoje wnioski.

– I to jak najszybciej. Rozumiesz? Krótkowski jest w tym umoczony po uszy. Trzeba w końcu poukładać te puzzle.

– Szukamy go. Gość rozpułynał się w powietrzu.

– To tak jak Trewski. To wszystko musi się wiązać.

– Powiedzmy...

– Ale wracając do Krótkowskiego. Według ciebie, dlaczego zostawił ci dziennik?

– Może chciał mnie naprowadzić? Może chce odkupić swoje winy i dlatego zniknął?

– To wydaje się sensowne.

– Ktoś mógł mu pomóc zniknąć.

– Brzmi jeszcze bardziej przekonująco.

– A może to są jakieś bujdy na resorach? Całe pierdolone raporty wyglądające jak baśnie z tysiąca i jednej nocy. Celowo może wprowadzać nas w błąd.

– Za dużo znaków zapytania.

Wracają do posiłku. Marcela zastanawia się jeszcze nad zamówieniem ciasta, ale rezygnuje, mając na uwadze brak czasu na ćwiczenia fitness. Jest wściekła na Arka, że nie wtajemniczył jej w szczegóły ostatniego znaleziska – nowego raportu detektywa Krótkowskiego, ale nie potrafi długo się złościć na tego faceta. Chce mu pomóc, dlatego proponuje coś, co zaskakuje ją samą:

– Może wprowadzisz się do mnie? Po co mieszkasz w tej norze?

- To miejsce przypomina mi o człowieczeństwie.
- Że co?
- Wszystko marność.
- Dobra, Arek, przestań chrzanić i mów poważnie.
- Jak mam się do ciebie wprowadzić? Twoja... koleżanka? Nie za bardzo mnie lubi.
- To fakt, z Igą byłby problem. Ale nie ma jej często.
- Ale wraca do ciebie na noc. I tutaj widzę największy zgrzyt.
- Jakoś się mną podzielicie. – Uśmiecha się zalotnie.
- To nie jest normalne.
- Nie sądziłam, że jesteś takim konserwatywnym zgreдем.
- Właśnie tak. Bóg, honor, ojczyzna.
- Taa... Na pewno.

Arek zaczyna odzyskiwać swoje specyficzne poczucie humoru. To dobrze wróży – myśli Marcela. Nigdy nie wie, kiedy Lubosz tak naprawdę żartuje, a kiedy mówi poważnie. Ale właśnie to jest dla niej bardzo ujmujące. Martwi ją jednak, że Arek używa żartów jako tarczy, skorupy, która chroni go przed uzewnętrznieniem prawdziwych emocji. By nie pokazać, że w środku nosi lęk.

## 5

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Nazywam się...

– Wiem. Czytałem na tabliczce.

– Ach tak... Rozumiem. A jak mnie pan znalazł?

– Nie będziemy mówić sobie po imieniu? Jak w amerykańskich filmach?

– Przejdziemy do tego.

– Czyli na razie oficjalnie...

– Dopiero się poznajemy. Chciałabym, aby najpierw wypełnił pan kartę.

Szelest papieru.

– To konieczne?

– Takie są procedury. Ale możemy to zrobić później. Jednak będę potrzebować danych i odpowiedzi na ten krótki wywiad.

– Dlaczego?

– Skonfrontuję to z naszą rozmową. Taką mam pracę i takich używam metod.

– Nie robi pani dla mnie wyjątku?

– W jakim sensie?

– Bo ja jestem wyjątkowy.

Chwila ciszy.

– Z czym pan do mnie przychodzi? O jakim problemie porozmawiamy?

– Czy tylko mi się wydaje, czy jest pani spięta?

Śmiech.

– Hmm... to pan mi płaci za sesję czy ja będę zmuszona zapłacić panu?

– Po prostu stwierdzam fakt. Wydaje mi się, że od początku nie jest pani do mnie pozytywnie nastawiona.

– Skądże. To mylne wrażenie. Po prostu może zbyt oficjalnie zaczęłam tę rozmowę.

– Możemy być do siebie nastawieni przyjaźnie lub wręcz odwrotnie, możemy sobie zaufać bądź nie, skrócić dystans lub postawić tamę, a nasza relacja może przyjąć formę asymetryczną. Wybór należy do pani, bo to pani tutaj ustala zasady.

– Musi mi pan powiedzieć o sobie coś więcej... Obstawiam, że studiował pan psychologię, prawda?

– Ja? Nie... Po prostu dużo czytam.

– Podręczników do psychologii?

– Zdarza się.

– Gratuluję więc możliwości czasowych. Mam z tym problem. Chroniczny brak czasu, zwłaszcza na lekturę.

– Każdy ma jakieś problemy.

– Opowie mi pan o swoim?

Tykanie wskazówek zegara.

– Bardzo często się denerwuję.

– W jaki sposób objawia się to zdenerwowanie? Czy powoduje złość?

– Tak.

– Złość na kogoś?

– Na siebie.

– Kiedy występuje zdenerwowanie? W jakich okolicznościach?

– Nie wiem, różnie.

– Jak się objawia?

– Boli mnie w kręgosłupie, na dole. Jakby mi ktoś wbijał szpilki. I mam rumieńce. Gdy uświadomię sobie, że mam rumieńce na twarzy, że ktoś widzi moje zdenerwowanie, rumienieć się jeszcze mocniej. Cały płonę. Ludzie nieraz mają mnie za pijaka. Tak wyglądam.

– Czy temu stanowi towarzyszą jeszcze jakieś objawy fizyczne?

– Czasami trudno mi się oddycha.

– W sytuacjach stresowych?

– Tak.

– Jakie to są sytuacje?

– Różne.

Cisza. Dźwięk przesuwania dłoni po skórzanym obiciu fotela.

– Musi pan wiedzieć, że obowiązuje mnie zachowanie tajemnicy zawodowej.

– Dobrze, to dla mnie ważne, ale dzisiaj może lepiej skupię się na uzupełnieniu karty?

– Wszystko stopniowo. Natomiast nie wygląda pan na zestresowanego naszym spotkaniem.

– Zdecydowanie nie. Traktuję je jako czystą rozrywkę. Chcę dowiedzieć się więcej o sobie. W końcu. Bo zawsze jakąkolwiek wiwisekcję próbowałem odeprzeć. Bronilem się przed takimi myślami. Bałem się ich.

– Mam nadzieję, że uda mi się pomóc. Razem pozbędziemy się problemów. Dzisiaj nie chce pan powiedzieć nic więcej?

– Zajmę się dokumentami. Nie mam jakoś ochoty teraz się w to zagłębiać.

– Będzie pan musiał stawić temu czoła. Najlepiej nazwać po imieniu to, co nas trapi.

– Zrobię to z przyjemnością...

## 6

– Powiesz mi coś więcej na temat dziennika? – mówi Marcela, wyjmując z paczki papierosa typu slim.

– Podwieź mnie do domu, to ci go po prostu przekażę.

Arek zapala davidoffa. Czuje, jak dym wypełnia mu płuca; nikotyna działa na niego zbawiennie.

Marcelina rusza w stronę samochodu. Nagle się odwraca.

– Co robisz?

– Palę – odpowiada Lubosz.

– No chodź. Nie mam dla ciebie całego dnia.

– Jak palę, to nie idę.

– Boże...

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz. – Arek wypowiada kwestię z sitcomu, naśladując aktora.

– To akurat pamiętam.

– No to uszanuj zwyczaje.

Lubosz pali wolno, rozkoszując się papierosem, Marcelina z kolei zaciąga się w sposób urywany, szybko wypuszczając dym z płuc.

– Myślisz, że Krótkowski może być odpowiedzialny za zniknięcie Sylwii? – Marcela podnosi oczy na Lubosza.

– Wątpię. Grubas jest cwany, ale tutaj musi chodzić o coś innego.

– To wykluczałoby wersję osobistej zemsty. Chyba że Oprak jest z nim w kontakcie.

– Myślę, że znalazłoby się więcej skurwysynów, którzy chcieliby mi dojechać.

– Trudno się nie zgodzić. Dowiedziałam się, że z wieloma osobami nie było ci po drodze.

– Od kogo?

– Od kogoś życzliwego.

– Od twojej lolitki?

Marcela płonie rumieńcem.

– Powiedz jej, że musi uważniej grzebać w aktach.

– Skąd wiesz?

– Siedzę w tym bajzlu głębiej niż ona i o wiele dłużej. Mam nie tylko wrogów.

– Sorry.

– No problemo.

– To jak z Krótkowskim? Jaka jest twoja teoria?

– Na razie nie mogę zdradzić, bo muszę ją potwierdzić. Wydaje mi się jednak, że ten grubas, zostawiając raporty, chciał mi pomóc.

– Że co?

– Mógł w tym siedzieć po uszy, ktoś go kontrolował, dlatego chciał mi coś powiedzieć poprzez raporty.

– Równie dobrze mógł je stworzyć na czyjeś zlecenie, by skierować twoją uwagę na rzeczy, których życzyłby sobie sprawca całego zamieszania.

– Dokładnie. Tego też nie wykluczam.

Idą do samochodu. Marcelina zapala silnik, a następnie rusza gwałtownie. Lubosz czuje, jak cała zawartość żołądka mu zaczyna wirować.

– Zwolnij, proszę.

– Dobrze, dziadku.

– Śmieję się, śmieję. Widocznie mój organizm tego potrzebuje.

– Tak możesz tłumaczyć sobie wszystko.

Podjeżdżają pod ośrodek. Marcela parkuje samochód równolegle do chodnika. Przed głównym wejściem sanitariusze transportują na noszach pacjenta. Ostrożnie wjeżdżają wózkiem do karetki. To częsty widok dla Lubosza, który zaczyna się przyzwyczajać, że w takiej sytuacji mieszkańcy domu starców już raczej nie wracają do swoich pokoi. Cholerny bieg życia. Lubosz często rozmawia z lokatorami, którzy przechadzają się po przynależnym do ośrodka parku i dziedzińcu. Byli politycy, bankierzy, prezesi różnych firm, wpływowi ludzie, zawsze stawiający na swoim, ludzie, którzy kilkanaście lat temu określali warunki gry – teraz muszą pogodzić się z tym, co nieuchronne. Bo ostatnie chwile w tym ośrodku są bezlitosne; nie pozwalają nawet na pożegnanie.



– Arek, naprawdę nie wiem, jak możesz mieszkać w takim miejscu – oznajmia Marcelina, przechodząc alejką obok zaparkowanej karetki.

– Wiesz co? Przywykłem już do tej Czarodziejskiej Góry.

– Tutaj aż pachnie śmiercią.

– Myślę, że nawet gdybym miał fortunę, chciałbym nadal mieszkać w takim miejscu. Tylko tutaj czasami potrafię cieszyć się nowym dniem. Chociaż i o to coraz trudniej.

Wchodzą do mieszkania znajdującego się na poziomie piwnicy. Marcela ponownie przygląda się totalnemu chaosowi. Na podłodze walają się puszki po piwie, wszędzie stoją opróżnione butelki, puste opakowania po jedzeniu instant oraz gromadzone przez wiele dni śmieci.

Arek dostrzega karcący wzrok dziennikarki.

– Dobrze... Obiecuję, że dzisiaj zamówię kogoś do sprzątania.

– Współczuję tej osobie.

Lubosz kuca przed łóżkiem, podnosi materac i wyjmuje ze środka tekturową teczkę.

– Proszę bardzo.

Marcela bierze raport do ręki.

– Odezwę się, jak przeczytam. Mam masę roboty.

– Zazdroszczę.

– Tobie też chyba pracy nie brakuje? Wspominałeś o poszukiwaniach Trewskiego.

– Czy myślisz, że mogę się teraz na tym skupiać? Że w ogóle chcę poszukiwać jakiegoś gnoja, kiedy wciąż nie mam pojęcia, co dzieje się z Sylwią?

– Wiem, że nie. Ale to może ci zająć skutecznie myśli. Przecież Marek prowadzi oficjalne dochodzenie.

– Nie chcesz znać moich myśli. W nich pływa tylko zemsta. W każdej sekundzie rozważam tylko to, co zrobię, gdy już odkryję prawdę.

Marcela kładzie dłoń na szyi Arka.

Lubosz czuje jej chłodny dotyk na rozpalonym ciele.

– To się musi skończyć. Damy radę – pociesza go.

Patrzy kobiecie głęboko w oczy.

– Skończy się na pewno. Pytanie tylko: dla kogo szczęśliwie?

## 7

W kieszeni kurtki rozbrzmiewa telefon. Arek spogląda przepaszająco na Marcelę, po czym sięga po komórkę, na której ekranie wyświetla się numer Marka. Od czasu, gdy Sylwia zniknęła po raz drugi, zawsze, o każdej porze dnia i nocy, odbiera od niego telefon, z nadzieją, że usłyszy dobre wieści.

– Cześć. Masz coś nowego?

– Nie przez telefon. Słuchaj, co robisz?

– Jem śniadanie.

– To zbieraj się do mnie albo najlepiej w to samo miejsce, na teren starej huty, tam gdzie był fałszywy alarm.

Lubosz przypomina sobie wydarzenia sprzed niespełna czterech tygodni. Czuł wtedy, że są tak blisko. Wyrwał się przed grupę szturmową i dopadł domniemanego porywacza na dnie nieczynnego, zniszczonego basenu. Wpadł w furię. Okładał okularnika pięściami niczym zawodnik MMA wpuszczony do oktagonu. I tak samo jak w walce, pojawił się sędzia, który odciągnął go od zaatakowanego mężczyzny. Jak przez mgłę dochodziły do niego zapewnienia, że cała akcja zakończyła się fiaskiem, że to nie ten, którego szukają. Okazało się, że na terenie huty mężczyzna nagrywał amatorskie filmy pornograficzne, do których zapraszał co bardziej zrozpaczone prostytutki próbujące zarobić, jak tylko się da. Czas odebrał im walory wymagane w branży, widmo bezrobocia zaglądało do portfela. Podejrzany logował się do Darkwebu w poszukiwaniu, jak zeznał: „świeższego towaru”. Tam namierzili go śledczy i błędnie połączyli zebrane informacje.

– Po co chcesz tam jechać? – pyta Lubosz.

– Dostałem info o jeszcze jednym IP. Analityk coś pomylił.

– Co ty pieprzysz?

– Słuchaj, ten ziomek, którego wtedy złapaliśmy, przyplątał się faktycznie na forum, na którym udzielała się Sylwia. Ale był przypadkowo. A my mamy jeszcze jedno logowanie z tego miejsca.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Byliśmy naprawdę blisko. Porywacz Sylwii na pewno tam przebywał. Gdzieś na terenie huty. Przynajmniej tak można sądzić po tym jednym wycieku danych, do których doszedł w końcu analityk. Mam nadzieję, że to nie pomyłka.

– Dobra, jaki jest plan?

– Chcę jeszcze raz bardzo dokładnie sprawdzić cały teren. Może nawet dostanę technika do pomocy. Pomyślałem, że będziesz chciał...

– Jasne. Zaraz się zbieram.

– Weź dobre buty. Mamy trochę spacerowania.

– Wierzysz, że naprawdę coś możemy znaleźć?

– Pomyśl. Dane z logowania. Plus ta fabryka „diamentów pamięci”. Kolczyki Sylwii z jej... kości. To nie może być przypadek. Ten skurwiel musiał tam być, może coś zauważył i się zainspirował. Nie wiem...

– A zeznania tych ludzi od biżuterii?

– Wciąż trwają. Chłopcy wiedzą, by wypytywać o coś, co mogło wzbudzić ich podejrzenia. Na przykład pojawienie się nowej osoby na terenie huty. Ale z tym ciężka sprawa. Działali głównie nocą. Teren jest ogromny. Do tego działające tam legalnie firemki. Szukanie igły w stogu siana.

– Okej. Ale myślałem, że przeszukaliście wszystko dokładnie – mówi Lubosz, trochę zrezygnowany, spoglądając na przysłuchującą się rozmowie Marcelę.

– Tak... ale na potrzeby „diamentów pamięci” i tego zboka. Ja mam wrażenie, że coś przeoczyliśmy. Trzeba głębiej poszukać.

W tym momencie jeszcze nie zdają sobie sprawy, że słowa o szukaniu głębiej to nie tylko pusty frazes.

## 8

Przed budynkiem domu opieki wciąż stoi karetka. Przez skrzydła głównego wejścia wychodzą sanitariusze.

Lubosz słyszy, jak mówią:

– Jak ja nienawidzę takich dni.

– Polska służba zdrowia powinna dać nam order. Przynajmniej nie zepsuliśmy im statystyk.

– Chyba order uśmiechu. Tego nam potrzeba.

Za późno. Świeć, Panie, nad jego duszą – wypowiada w myślach Arek.

Przed wejściem spotyka Dionizego, mieszkańca ośrodka, z którym czasami ucina sobie pogawędki, częstując papierosami, których mężczyźnie palić nie wolno.

– Ooo... pan Arek. Miło pana widzieć w ten przykry dzień. – Wskazuje laską na karetkę pogotowia ratunkowego.

– Witam, panie Dionizy. Bardzo przepraszam, ale muszę lecieć.

Lubosz nienawidzi tak się zachowywać. Zawsze obiecuje sobie, że wysłucha Dionizego, poświęci mu chociaż odrobinę czasu. Tylko tyle może dla niego zrobić.

– Nie zatrzymuję, nie zatrzymuję. Jednak chociaż chwilkę, gdyby pan mógł... Tak mnie to wyprowadziło z równowagi, że muszę zapalić, a te nasze gwiazdeczki pielęgniareczki ciągle mnie kontrolują, jakbym musiał się przed rodzicami ukrywać. Kto by pomyślał, że na starość przyjdzie mi palić po kątach jak uczniakowi... Ech.

Lubosz spogląda na zegarek. W tym samym momencie rozbrzmiewa telefon. Marek dzwoni ponownie.

– No co jest? – pyta Lubosz.

– Wiesz co... Mała zmiana planów. Wpadaj najpierw na komendę. Pomożesz w przesłuchaniu.

– Kogo?

– Dowiesz się na miejscu. Muszę kończyć. Myślę, że to ważny krok. A potem ruszamy do huty.

– Dobra. Zaraz będę.

Rozłącza się i spogląda ze skruchą na Dionizego.

– Przepraszam. Coraz więcej na głowie. Chodź pan szybko.

Bierze staruszka pod ramię i przeprowadza na bok, w stronę zagajnika, za którym zainstalowana jest ławka. To dobre miejsce, nierzucające się w oczy. Personel również rzadko chodzi alejką obok, więc Dionizy spokojnie będzie mógł puścić dymka. Lubosz podaje mu papierosa i odpala. Mężczyzna zaciąga się głośno i długo nie wypuszcza dymu z płuc.

– Panie Arku, pan to potrafi poprawić człowiekowi humor.

– Robię, co mogę.

Lubosz dochodzi do wniosku, że Marek i tak będzie na niego czekał. A być może jest to ostatnia rozmowa z Dionizym; nigdy nic nie wiadomo. W tym ośrodku życia, paradoksalnie, przyspiesza. Dlatego sam również zapala papierosa i dotrzymuje staruszkowi towarzystwa.

– Panie Arku, a ja jestem zmuszony zepsuć panu humor.

– Z jego powodu?

– Pamięta pan, jak niedawno mówiłem, że kręcił się tu taki podejrzany typ i wypytywał o pana?

– Co z nim?

– Znowu tutaj zachodził.

– Kiedy?

– Ano nie wiem, wczoraj, wcześniej wydawało mi się, że też go widziałem.

Lubosz pamięta, jak Dionizy opowiadał o niespodziewanej wizycie mężczyzny, który sprzedał mu bajkę o tym, że jest kolegą z pracy i chciałby spotkać się w końcu z Luboszem. Wtedy Arek odniósł nieodparte wrażenie, że musiał być to Oprak – człowiek, którego wolałby unikać.

– Dziękuję za informację. Niech pan czuwa.

– Proszę się nie martwić, panie Arku. Damy radę.

– No pewnie. Zbieram się już. Do zobaczenia.

Arek gasi peta w popielniczce przymocowanej do kosza na śmieci i pędzi w stronę bramy wjazdowej terenu ośrodka.

– Panie Arku! – woła jeszcze Dionizy.

– Tak?

– Jedno wiem na pewno. Ten facet nie wyglądał na pańskiego kolegę.

## 9

– Co mamy? – pyta Lubosz, odbierając od Marka teczkę.

– Chłopaki zgarnęli go dzisiaj. Śpieszmy się, bo każdy prawnik podważy to zatrzymanie – odpowiada Bogucki. – Nawet facet nie chce się fatygować, by po niego dzwonić. Leszek Pałącki. Prowadzi jakiś lewy biznes na terenie huty. Skupuje, albo raczej zbiera, używany sprzęt po Czechach i wydobywa co cenniejsze przewody. Taki złomiarz na większą skalę. Mam jednak coś specjalnego.

Wchodzą do sali przesłuchań, pustego, dusznego pomieszczenia, w którym mieści się wyłącznie biurko z dwoma krzesłami. Na jednym siedzi tęgi mężczyzna ubrany we flanelową koszulę z Juli. Potężny brzuch opina mu kamizelka w stylu wędkarskim. Leszek Pałącki ma małe oczka zerkające nerwowo na przybyłych policjantów i krótkie nóżki, którymi przebiera gorączkowo pod blatem. Tylko głowa wydaje się duża, osadzona głęboko w tułowiu; szyja z biegiem lat zanikła.

Marek zasiada naprzeciwko, kładąc akta na biurko.

Lubosz stoi z boku, oparty plecami o ścianę. Wyjmuje nową paczkę davidoffów, zdziera z niej folię, po czym z wyraźną ulgą zapala papierosa.

Zatrzymany rzuca mu błagające spojrzenie.

– Przepraszam. Mógłbym prosić jednego?

– Skończyły mi się – odpowiada Arek, chowając paczkę do kieszeni bluzy z kapturem.

Pałącki, skonsternowany, wbija wzrok w blat biurka.

– Leszek Pałącki, lat pięćdziesiąt trzy. Zamieszkały na Brynowie. Szkoła zawodowa, nie ukończył.

Arek już wie doskonale, że Marek zaczyna się zgrywać.

– Panie władzo, ja naprawdę mam wszystko spisane. Pokażę faktury, jak będzie trzeba. To znaczy moja księgowka pokaże.

– Oj Leszku, Leszku, możemy sobie mówić po imieniu? Nie lubię tego zwrotu z poprzedniego ustroju... Ale rozumiem i potrafię wybaczyć błędy. A ty, Arku?



– Ja nie wybaczam błędów – mówi Lubosz, wydmuchując dym wprost na przesłuchiwanego.

Marek zaczyna od standardowych pytań. Przedstawia Pałackiemu tło ostatnich zdarzeń, naciskając, by ten przypomniawsobie, czy na terenie huty, gdzie pracował, zauważył coś podejrzanego w ostatnim czasie. Teraz lub około trzech lat temu.

– Powiem tak: był pewien gość – oznajmia zatrzymany, odzyskując rezon. – Dawał pieniążki w kopercie, zawsze płacił terminowo i z nadwyżką. Panowie, wiem, do czego zmierzacie. Nie można było porozmawiać po prostu w normalnych okolicznościach? Po co od razu zatrzymanie?

– Za co płacił?

– Za prąd.

– Za co, kurwa? – wtrąca Arek.

– Umówiliśmy się, że o nic nie będziemy pytać, a on zrobi sobie przyłącze do naszej sieci. Poszliśmy na deal, że sprawdzę rachunki i dokładnie odliczę sobie dodatkowe zużycie, a on zapłaci za to pięćdziesiąt procent. Płacił ponad sto, więc wszystko było w porządku. Myślałem, że to jakiś ogrodnik. Jak sami wiecie, to miejsce przyciąga różnych typów.

– Zielsko?

– Dokładnie. Że maryskę uprawia i na lampy potrzebuje. Tak myślałem. Więc tym bardziej nie interesowało mnie, gdzie to dokładnie idzie. To znaczy kable wszystkie. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. A im więcej zarabiasz, tak samo.

– No chyba nie do końca, bo musimy tutaj rozmawiać, w tych – Marek spogląda na gołe, betonowe ściany – niezbyt przytulnych, spartańskich warunkach.

– Wie pan co? Prawdziwy biznesmen musi być gotowy na poświęcenia.

– Chyba janusz biznesu – mówi Lubosz. – Taki hojny byłeś, że wpadłeś przez prąd. Ja pierdołę... Święty Mikołaj z Tauronu.

– Bardzo śmieszne. I tak mi się nie dobierzecie do dupy. Wyślę kartkę z ciepłych krajów. Na gwiazdkę. Z hotelu, all inclusive. Specjalnie do komisarza.

– Leszku, a po co te nerwy? – pyta Bogucki. – Załatwmy wszystko po dżentelmeńsku. Ty dasz nam informacje, których potrzebujemy, a my tobie w zamian święty spokój. I polecisz sobie zwiedzać piramidki, na wielbłądach pojeździć, rzucić klątwę faraona. Pasi?

Śledczy wyjmuje wydrukowane fotografie, które kolejno przedstawia Pałackiemu.

Pierwsze zdjęcie przedstawia detektywa Krótkowskiego, który zniknął z pola widzenia Lubosza po tym, jak Arek zaczął się mocniej interesować aktami dotyczącymi Mateusza Kmity, a Marcela ustaliła, że prywatny detektyw tak naprawdę nie prowadził śledztwa w sprawie zaginięcia chłopaka w Anglii. Lubosz kupił nawet bilet na lotnisko East Midlands, by wyruszyć za granicę i dowiedzieć się jak najwięcej o Mateuszu Kmicie, odnalezionym niespodziewanie w tym samym samochodzie, co Sylwia. Więcej jednak dowiedział się z raportu detektywa.

Detektyw Krótkowski na zdjęciu wydaje się jeszcze większy niż w rzeczywistości. Mięsiste wargi, obwisłe policzki i dwa podbródki obsypane kilkudniowym zarostem. Ta siatka rysów twarzy układa się w sposób upodabniający go do buldoga.

– Widziałeś kiedyś tego człowieka na terenie huty?

Pałacki przygląda się zadrukowanej kartce z całkowitą obojętnością. Po chwili wydyma usta.

– Nie przypominam sobie.

– Leszku, herbatka z Beduinem się oddała.

– Ja to widzę inaczej – mówi Arek, kończąc papierosa i spoglądając w dokumenty złożone w jednej z teczek, którą wziął od Marka. – Dwa wpisy w BIG. Negatywne. Wpis w KR D, już nie muszę tłumaczyć jakiego rodzaju. Wszczęte postępowanie windykacyjne. Myślę, że najwyższy czas, by uruchomić komornika.

Na te słowa Pałacki traci rezon. Blednie wyraźnie, zaczyna nerwowo kręcić się na krześle.

– Leszku, pomożesz nam? – pyta Marek. – Czy jednak wolisz zająć się sprawami egzekucyjnymi?

– Komisarzu, muszę się przyjrzeć bliżej. – Bierze do ręki i studiuje wydruk przez dobre pół minuty. W końcu wzdycha zrezygnowany. – Nie kojarzę go.

Marek wyjmuje kolejne zdjęcie.

Żerkowski, seryjny zabójca nauczycielek. Według ustaleń przebywa w zakładzie karnym w Czarnem. Został skazany trzy lata przed zniknięciem Sylwii, a więc dokładnie sześć lat temu, co wyklucza go z kręgu podejrzanych. Na pewno

chciałby zemścić się na Arku, który doprowadził do jego zatrzymania. Zdołał mu to zresztą obwieścić, gdy policjanci prowadzili go do radiowozu. W tym kontekście pokazanie zdjęcia Żerkowskiego jest bezcelowe. Marek chce jednak poznać reakcje Leszka Pałackiego, by móc łatwiej ocenić, czy mężczyzna mija się z prawdą.

– Nigdy go nie widziałem.

– Nie chcesz się lepiej przyjrzeć?

Pałacki nachyla się nad leżącą na blacie fotografią, przygląda się uważnie, po czym kręci przecząco głową.

Następnie Marek wyjmuje i kładzie na stół serię zdjęć, tuż obok fotografii detektywa Krótkowskiego oraz Żerkowskiego. Pierwsze przedstawia Opraka, byłego śledczego, który był „kretem” w gangu.

Lubosz odkrył prawdziwe intencje Opraka. Tajniak zaczął tak naprawdę wieść wygodne życie po drugiej stronie barykady, sprzedając policji fałszywe informacje. Zdekspirował go. Niejednokrotnie się jednak zastanawiał, czy nie warto było poczekać. Czy nie pokrzyżował planów operacyjnych, wsypując Opraka? Cóż, takie dostał zadanie od „góry”.

Tuż obok Marek rzuca zdjęcie kierowcy z wypadku, który prowadził nissana sunny. Jakość jest słaba, stop-klatka wykonana z nagrania telefonem chłopca siedzącego w mercedesie podczas zatoru na drodze, gdy samochód z Sylwią, Mateuszem Kmitą oraz Rafałem Wawraszem wypadł poza jezdnię. Pod zdjęciem kładzie kolejne dwa, tym razem z kamery w szpitalu, dwa ujęcia również niewyraźne, czapka z daszkiem kryje głowę. Dodaje czwartą fotografię, na widok której Arek wyraźnie się ożywia.

Lubosz chce zadać kilka pytań, powstrzymuje się jednak, by nie psuć pracy śledczego.

Na stoliku, w utworzonym tak szeregu łąduje następna fotografia – Paweł Opolski, były chłopak Sylwii, ostatnia osoba, która widziała córkę Lubosza tuż przed zniknięciem.

Na blat trafia też zdjęcie Trewskiego.

Detektyw Krótkowski.

Mężczyzna podający się za księdza, kierowca nissana, porywacz Sylwii.

Żerkowski.

Oprak.

Opolski.

Wszyscy podejrzani, połączeni w niejasny sposób ze zniknięciem Sylwii.

– Przyjrzyj się dokładnie zdjęciom – nakazuje Bogucki. Zostawia na blacie równo ułożone fotografie oraz otwartą teczkę z dokumentami. – My skoczmy po kawę. A po powrocie oczekujemy konkretnych odpowiedzi. Więc zastanów się dobrze, czy twoją firemkę czeka świetlana przyszłość czy upadek. – Spogląda na Arka. – Kolega wspomniał o najbardziej prawdopodobnym rozwiązaniu. Komornik może szybko położyć łapę na całych twoich oszczędnościach. A jak nie będziesz płacił, to w areszcie lub więzieniu znajdą dla ciebie odpowiednią fuchę, co nie, Arek?

Lubosz gasi papierosa w słoiczku wypełnionym po brzegi petami.

– Tak, oni lubią takich bystrych biznesmenów. Będziesz im nieustannie pisać odwołania, apelacje, zgłoszenia do naczelnika i tak w kółko.

– Układ jest prosty – dodaje Marek. – Ty decydujesz.

## 10

– Myślisz, że on coś będzie wiedział? – pyta z powątpiewaniem Lubosz. – Sra w gacie przed komornikiem i tyle. Znajdzie byle powód, żeby puścić go wolno.

– Musiał coś widzieć – stwierdza Marek, patrząc na przesłuchiwanego przez lustro weneckie. – Był w tamtym miejscu na co dzień. Zna je na wylot. I pewnie każdego, kto tam się kręci.

Arek wyjmuje z paczki kolejnego już papierosa.

– Zakurzysz się na śmierć – komentuje Marek. – Albo przepalisz cały hajs.

– Myślę, że oba warianty są prawdopodobne.

Lubosz co chwila zbliża papierosa do ust. Jego dłoń drży. Marek z niepokojem spogląda na kolegę.

– Trzymasz się jakoś?

– Nie mam wyjścia – odpowiada Lubosz. – Tylko myśl o Sylwii pcha mnie do przodu.

– A Ewelina? Macie jakiś kontakt?

– A jak myślisz?

– Nadal w rękach pocieszyciela szamana?

– Wchodzisz na śliski grunt.

– Bo?

– Mam ci przypomnieć o zajebistym pomysle, w którego realizacji pomagałeś Ewelinie?

– Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy.

– To nadal we mnie siedzi.

– Nie wiem, jak to inaczej wytłumaczyć. Chcieliśmy jak najlepiej. Sylwia miała swoje problemy. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co czułem, gdy zobaczyłem ją w tym samochodzie. Na początku nie dowierzałem. To było niczym cud. Zaraz jednak byłem przerażony. Bałem się, że nie żyje. A później czułem osobisty przymus, by jej pomóc. Myślisz, że nie obchodziło mnie jej zdrowie? Chciałem ją odwiedzać jak najczęściej.

– Po co tak naprawdę byłeś wtedy w szpitalu?

– Zależy kiedy. Doglądałem, czy się wybudziła ze śpiączki. Gdy na siebie trafiliśmy, przyniosłem jej kolczyk, który znalazłem w samochodzie.

Arek kładzie stopę na siedzisko krzesła, opierając łokieć o kolano. W tej ekwilibrystycznej pozie powoli pali papierosa, wgapiając się w zatrzymanego, który siedzi za szybą.

– Arek, człowieku, robimy, co w naszej mocy... Obiecuję ci, że dorwiemy tego drania, znajdziemy Sylwię. Wtedy musisz wyjechać. Musicie sobie razem z tym wszystkim poradzić. Może wtedy... może jeszcze uda się odbudować relacje z Ewelina.

– To zamknięty rozdział.

– Masz kogoś? – pyta Marek bez ogródek.

– W sensie?

– Związku.

– Nie. Jestem wolnym ptakiem.

– Brzmi dwuznacznie.

Arek ani drgnie. Kiedyś przynajmniej uśmiechnąłby się na żart lub odpowiedziałby ciętą ripostą. Pewnie kontynuowałby, sprowadzając temat do sprośnych dowcipów. Teraz jest jak kamień i wulkan w jednym. Bogucki nie chciałby siedzieć w jego głowie i czytać z czarnych myśli kłębiących się w umyśle kolegi.

– Dobra, już nic nie mówię – dodaje Marek.

– Nie poruszaj tematu Eweliny w mojej obecności. Tylko tyle.

Arek wyjmuję kolejną fajkę.

– Ale to muszę skomentować. Jak nie rzucisz, to może coś zdrowszego?

– Nie rozumiem.

– Nie słyszałeś o tych nowych fajkach...

– E-papierosach?

– Nie. Te fajki bez dymu. Wkładasz taką mniejszą fajkę do urządzonego, które podgrzewa tytoń, ale go nie spala.

– Słyszałem o tym. Kolejne dziadostwo dla jeleni.

– Nie do końca. Podobno zdrowsze, bo bez dymu.

Arek odwraca głowę i w końcu się uśmiecha, wyjaśniając:

– To trochę taka masturbacja. Niby fajnie, ale... czegoś brakuje.

Marek wraca pamięcią do dawnych lat, gdy zaraz po pracy chodzili na piwo, wymieniali się anegdotami, mieli opracowaną teorię na każdy temat i chęć podboju świata, która wyparowała wraz z upływem czasu. Czy gdyby wtedy znali przyszłość, zachowywaliby się inaczej, poważniej? Czy zrobiliby wszystko, aby tak pokierować swoim życiem, by znaleźć się z dala od codziennych ludzkich tragedii, na które się uodpornili? Pracując w policji, mając styczność ze zbrodniami, których miejsca musieli badać, stali się obojętni. Dopiero osobista tragedia Lubosza wyrwała ich z wypracowanej latami obojętności. Oswajane demony wydostały się z piekła.

– Zobacz... – mówi Arek.

Patrzą przez lustro weneckie. Pałucki wyraźnie przypatruje się otwartej teczce pozostawionej przez Marka. Coś przykuwa jego uwagę w taki sposób, że mężczyzna aż się podnosi lekko i nachyla nad blatem.

Zdjęcie.

Sięga powoli po jedną z fotografii. Przygląda się jej z uwagą. Po chwili podnosi wzrok i przenosi go na swoje odbicie w lustrze, za którym chciałby dojrzeć śledczych, by przekazać im ważną wiadomość.

– Mam – mówi Pałacki, wyraźnie ożywiony. Widząc policjantów z powrotem, uderza grubym paluchem w fotografię leżącą na wierzchu. – To on. Tego faceta widziałem na terenie huty. Na sto procent.

– Kto ci pozwolił grzebać w moich dokumentach? – pyta Marek, zbijając przesłuchiwanego z tropu.

– Ja nie... To znaczy... – zaczyna się wykręcać. – Teczka była otwarta. Od razu to zdjęcie rzuciło mi się w oczy.

– Jesteś pewny, że go widziałeś?

– Na pewno.

– Gdzie dokładnie?

– Pewnie bym nie zapamiętał, bo i dlaczego. Ale to mi mocno utkwilo. Siedziałem do późna w biurze. Przez okno widzę plac, gdzie podjeżdżają ze złomem. Była noc, tylko lampy przed budynkiem oświetlały teren. Nagle coś mignęło mi w oknie, jakiś cień. Usłyszałem krzyk. Takie bardziej wołanie. Jezu, ale się wystraszyłem. Ten facet naraz wyrósł tuż przede mną. Wlepił twarz w szybę okna. Zaraz jednak odwrócił się i zaczął uciekać. Wybiegłem na zewnątrz, bo mnie to bardzo zaniepokoiło. No nie ukrywam, że bardziej z troski o własne interesy. Chciałem zobaczyć, co się dzieje.

– I? – wtrąca Arek.

– Facet biegł. Ale ktoś go zawołał i no... On zaraz zatrzymał się i wrócił posłusznie jak kundel. Z głową w dół, zgarbiony, nie spojrzał już na mnie.

– Gdzie wrócił? – dopytuje Lubosz.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że w stronę samochodu. Facet oślepił długimi. Stał obok, ale nie widziałem go przez te światła. Silnik miał zgaszony. Widziałem, jak mężczyzna ze zdjęcia idzie do tego światła, w stronę samochodu, a potem odjeżdżają.

– Jakie to było auto? – pyta Bogucki.

– Nie mam pojęcia. Jakiś sedan stary, chyba nissan, ale nie widziałem wyraźnie.



– Kiedy to wszystko się stało?

– Ja wiem... ze trzy miesiące temu.

Arek z Markiem spoglądają po sobie. Czas przed wypadkiem.

– Nie zastanowiła cię ta sytuacja? – docieka policjant.

– Właśnie zaciekawiała, dlatego w ogóle ruszyłem się z biura. Co miałem jeszcze zrobić? Nie wiedziałem, co się tak naprawdę dzieje. Poza tym nie takie rzeczy widywałem. Różne akcje odchodzą na tym zapomnianym przez Boga poletku.

Lubosz zbliża się do przesłuchiwanego, kładzie dłoń na blat i pochyla się bliżej.

– Co usłyszałeś?

– To znaczy?

– Co takiego zawołał ten mężczyzna z samochodu, że powstrzymał faceta przed ucieczką?

– Właśnie to miałem wam jeszcze powiedzieć. Trochę chora akcja, ale tak jak mówiłem, nie takie rzeczy widywałem, a u nas też panuje jedna zasada. Lepiej nie wtykać nosa do nie swoich spraw.

– Co usłyszałeś?

Pałacki robi długą pauzę, w końcu rzuca:

– Coś w stylu: sam o to prosileś. Wszystko gotowe i takie tam...

– Jakie tam? Mów, co dokładnie pamiętasz – rozkazuje Lubosz, wbijając kłyckie mocniej w twarde blat stołu.

Pałacki wyciera czoło wierzchem dłoni. Naraz to, co próbuje przekazać, jawi mu się jako kompletny stek bzdur. Czuje się niekomfortowo, zwłaszcza bombardowany przez natarczywe, wyczekujące spojrzenia śledczych. Musi jednak powtórzyć dokładnie to, co usłyszał tamtej nocy.

– Najpierw go przywołał, tak jak mówiłem, a ten facet szedł posłusznie jak zbity pies. Tak mi się to wryło w pamięć. Stałem z boku, całkiem w cieniu. Nie mógł mnie zobaczyć.

– I co jeszcze mówił? – dopytuje Lubosz.

– Coś naprawdę dziwnego. Nie kumam kompletnie, o czym ten facet gadał. Może powinniście szukać wśród nurków? Powtarzał, że czeka na niego skafander.

– Co?

– Tak powiedział. Wszystko gotowe. Czeka na ciebie skafander.

## 12

Nadchodzi południe ponurego, deszczowego dnia, gdy schowane za gęstymi chmurami słońce równie dobrze mogłoby zapowiadać wieczór. Lekka mżawka powoduje, że Marek nie może dobrać odpowiedniej szybkości wycieraczek samochodowych. Decyduje się ręcznie włączać mechanizm, co zaczyna go irytować. W dodatku nagrzewnica daje o sobie znać, łykając płyn chłodzący, co skutkuje tłustymi smugami odkładającymi się na szybach.

– Co za cholerna pogoda – narzeka Bogucki, próbując dojrzeć jezdnię przez zaparowane szyby.

– Gówniany cały rok – oznajmia Lubosz. – Weź coś zrób z tym autem. Można się zabić.

– Nagrzewnica do wymiany. Płyn ucieka. Byłem w warsztacie. Chcieli auto na minimum tydzień. Żeby się do tego dostać, trzeba rozebrać pół kokpitu. Policzą jak za zboże.

– Mogłeś wziąć służbowy.

– Nie zdążyłem. Zgarnęli mi wóz.

– Mam furę pożyczoną od kumpla.

Marek rzuca mu wymowne spojrzenie.

– Co tak patrzysz? Dzisiaj jeszcze nie piłem – broni się Arek.

– Nic nie mówię.

– Wodę piłem. Bo dowiedziałem się dzisiaj od pewnej osoby, że trzeba dużo wody pić. Uwierzysz? Jakie to proste.

– Zacząłeś chodzić do dietetyka? – Marek wychyla się zza kierownicy, by między zaparowanymi fragmentami szyby dojrzeć drogę, niczym fretka wyczuwająca niebezpieczeństwo.

– Jeszcze nie ocipiałem. Komisarz Holica sprzedał mi tę wiedzę.

– Dzisiaj z tobą rozmawiał?

– Aha. Miałem mieć spotkanie z komisją. Zamiast nich pojawił się Holica. Złożył mi propozycję nie do odrzucenia. Podobno Trewski zniknął. Wiesz coś o tym?

Arek streszcza poranną rozmowę z komisarzem Holicą.

– Wiem, że zniknął. O propozycji nie słyszałem.

– Mówił, że pomoże mi przed komisją. Dlaczego?

– Może chce zrekompensować ci ostatnią wizytę, gdy zaaranżował spotkanie, o które go prosiłem – wyjaśnia Bogucki. – Bardziej jednak obstawiałbym to, co powiedziałaś. Że chce, byś znalazł Trewskiego i mu dowalił.

– Okej, rozumiem, że nie chce sobie brudzić rączek i chce oddać przysługę znajomej. Że po prostu wykorzystuje okazję. Już pomógł mnie przywrócić. Mogę ci asystować w śledztwie. Ale czy to nie podpucha?

– Nie rozumiem.

– Odnajdę wam Trewskiego, postraszę go, kutas się poskarży, a komisja będzie miała kolejny argument na nieźrównoważonego emocjonalnie policjanta, którego w końcu należy odsunąć od służby.

– Nie mam pojęcia, czy coś tam nie jest lepione... Ale po co Holica miałby cię udupić? Z tego, co wiem, w tym tygodniu idzie na emeryturkę, ma być impreza.

– No to zajebicie... Faktycznie w takim razie wstawi się za mną w komisji. Wyśle list intencyjny, zanim pojedzie na ryby.

– Wiesz, wydaje się, że chce mieć chłop czystą kartę. By nikt nie łączył go z Trewskim. A przed emeryturą na pewno załatwi ci dobrą opinię.

– Jak dobrze go znasz?

– Średnio. Tylko od strony zawodowej. Profesjonalista. Nigdy mnie nie zawiódł. Zawsze skłonny do pomocy mimo różnicy pokoleń. On lubi pomagać, ale nie bezinteresownie. Taki typ, który wie, że sam może potrzebować przysługi.

– Mógł się ustawić z górą, żeby mnie udupić?

– Głową nie rączkę. Po prostu uważaj, jak dojdiesz do Trewskiego. Trzymaj nerwy na wodzy. I tyle.

## 13

Podjeżdżają pod budynki starej huty. Lubosz przypomina sobie ostatnią akcję, gdy pełen nadziei na schwytanie oprawcy Sylwii, wraz z grupą operacyjną wkroczył do biur. Arek pobiegł za podejrzanym, dorwał go na dnie nieczynnego basenu. Wpadł w szal. Całą swoją złość, całą frustrację i wszystkie emocje wylał poprzez pięści, którymi okładał mężczyznę. Pamięta wszystko jak przez mgłę. Siłę, którą wtedy poczuł, furię i mocne ręce policjantów odciągające go od bezbronego. A później już tylko wielkie rozczarowanie.

– Podjedziemy z drugiej strony – oznajmia Bogucki. – Bliżej biura Pałackiego.

Jadą po asfaltowej drodze znaczonej głębokimi pęknięciami, wzdłuż ogrodzenia z zardzewiałej siatki. Niebo przypomina zbyt długo gotowaną kaszę. Ciemne chmury powoli rozrastają się nad całym miastem, odzwierciedlając stan ducha Lubosza.

Zatrzymują samochód w przesmyku między dwoma budynkami, tuż obok budynku służącej Pałackiemu za biuro. Facet prowadzący wózek widłowy, na którym spoczywa paczka sprasowanego aluminium, rzuca policjantom podejrzliwe spojrzenie. Jak na zawołanie tuż za mężczyznami pojawia się niewysoki pracownik. Ma na sobie poprzecinaną materiałową kurtkę oraz spodnie ogrodniczki.

– Szukacie czegoś? – pyta, podchodząc coraz bliżej.

– Tak – odpowiada lakonicznie Lubosz. Marek z kolei w ogóle nie zwraca uwagi na mężczyznę, tylko otwiera bagażnik w poszukiwaniu latarek i łomu.

– Czego? – Konus krzyżuje ręce na piersi, niczym szeryf broniący miasteczka przed złymi gringos.

– Przygód.

Niski odwraca głowę w kierunku składu aluminium i pracujących tam mężczyzn. Arek uświadamia sobie, że wystarczy jedno skinienie faceta, umówiony znak, by pracownicy chętnie przełamali codzienną rutynę i spuścili obcym porządny łomot, tak dla rozrywki. Śledczy chcą jednak załatwić sprawę po cichu, bez zbędnego zamieszania.

- Spokojnie, kolego – zaczyna Arek. – Na pewno nie szukamy nieporozumień.
- Nie jestem twoim kolegą. Opuśćcie ten teren po dobroci czy mam wam pomóc?

Marek obrzuca Lubosza spojrzeniem wyrażającym poirytowanie na partnera, który zawsze ściąga problemy, jakby nie mógł załatwić bezkonfliktowo najprostszej rozmowy.

- To biuro Leszka Pałackiego?
- Zależy, kto pyta. Dobra, wypierdalać stąd!
- Uspokój się. – Marek wyjmuje odznakę policyjną.
- Eee... – Mężczyzna próbuje sklecić sensowne wytłumaczenie. – Proszę zrozumieć, różni się tu kręca. Trzeba pilnować interesu.
- Dobra. Wracając do Pałackiego...
- Tak, tutaj urzęduje, ale go nie ma raczej.
- Pewnie nie, bo godzinę temu rozmawiał z nami na komendzie – wtrąca Lubosz.
- W czymś mogę pomóc? – pyta, wyraźnie zbity z tropu pracownik.
- Musimy sprawdzić parę rzeczy – wyjaśnia Marek. – Nie zwracaj na nas uwagi.
- To ja już pójdę...

W powietrzu unosi się zapach wilgoci, osiadłej na wysokiej trawie porastającej teren za najbliższymi budynkami, oraz spalanej ropy. Z zachmurzonego nieba spada mżawka.

Marek podaje Arkowi łom, sam zaś umieszcza latarki w obu kieszeniach granatowych bojówek.

- Tylko nie zrób sobie krzywdy.
- Spoglądają na leciwe biuro Pałackiego, wzniesione z cegły i zardzewiałej blachy.
- Biuro prezesa – stwierdza Lubosz. – Jaki masz plan?
  - Widzisz tę skrzynkę elektryczną? – Wskazuje na szary prostokąt stojący nieopodal. – Pójdziemy po nitce do kłębka.

Marek kuca przy rozdzielni, wyjmując śrubokręt i sprawnymi ruchami otwiera panel. Szybko orientuje się, w którym miejscu mężczyzna płacący Pałackiemu za prąd wykonał nielegalne przyłącze. Lokalizuje gruby kabel z czarnym materiałem izolacyjnym biegnący po ziemi, tuż za ścianą budynku biura.

Idą wzdłuż kabla prowadzonego przy zabudowaniach. Jest dobrze schowany, niewidoczny dla przypadkowego przechodnia. Kryje się za składowiskami złomu, blachy, palet i zużytych opon. Gdy kończą się zabudowania, a za nimi zaczyna zaniedbany ogród porośnięty dzikimi krzewami i samosiejkami, śledczy uważnie przyglądają się biegnącemu przez wysokie trawy przewodowi, który co chwilę znika im z oczu.

– I co dalej? – pyta Lubosz, który sceptycznie odnosi się do pomysłu Marka, by jeszcze raz przeszukać teren huty. – Co mielibyśmy znaleźć? Technicy już wykonali swoją robotę.

– To ostatnie logowanie musiało być z miejsca, do którego idzie ten przewód. Jestem o tym przekonany.

– Oby. – Arek wyjmuje i zapala papierosa.

– To brakujący element układanki. Jeśli mamy wyraźny ślad, logowanie na forum, na którym pisała Sylwia, gdzieś z tego terenu, nie sądzę, żebym się mylił. Zeznania Pałackiego. To byłby zbyt duży zbieg okoliczności. Coś w tym wszystkim musi być.

Lubosz robi głęboki wdech, czując, jak dym przyjemnie wypełnia mu płuca. Stara się nie myśleć, co w tej chwili może przeżywać Sylwia. Musi odpędzać od siebie opętające wizje, inaczej nie będzie w stanie funkcjonować. Właśnie teraz musi skupić się z całych sił, wykrzesać z siebie ostatnie pokłady nadziei i iść naprzód, by uratować córkę. Musi zawalczyć o jej życie. Ma tylko nadzieję, że nie jest za późno.

– Chodź – ponagla go Marek.

Lubosz wyrzuca papierosa; nienawidzi palić w pośpiechu. Uznaje złotą zasadę, że papierosa wypala się w miejscu, tak jak konsumuje się posiłek. Spożywanie

w ruchu prowadzi do bólu żołądka.

Przedzierają się przez gęste zarośla, niekoszoną trawę i dziko rosnące krzewy malin oraz chwastów. Co rusz do ich ubrań przyczepia się łodyga nabita kolcami. Śledczy starają się iść za kablem, za który pociągają, by wydobyć go ze ściółki. Wyglądają, jakby szukali grzybów, choć teren, na którym się znajdują, bardziej przypomina okolice wyludnionej Prypeci niż leśne zakątki.

Po kwadransie zmudnego marszu docierają do opuszczonego budynku z powybijanymi szybami.

– Chyba to mamy – przyznaje Marek.

Szybko jednak orientują się, że przewód odbija pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w prawo i przechodzi pod siatką okalającą teren huty.

Za ogrodzeniem znajduje się równie zaniedbany teren: liczne, przypadkowo wyrastające krzewy oraz połacie wysokiej trawy połamanej w wielu miejscach pod ciężarem deszczu. W tle zza koron drzew wylania się kolejny budynek, całkiem inny niż wszystkie należące do nieczynnej huty.

– Co to, do cholery, jest... – mówi ściszym głosem Marek.

Śledczy spoglądają po sobie, jakby czytając w myślach.

Dopada ich przeświadczenie, że są coraz bliżej odkrycia czegoś naprawdę przełomowego.

Prawda natomiast skrywa się za murami opuszczonego hotelu.



## 15

Czterokondygnacyjny budynek w kształcie litery L z licznymi balkonami, odpadającym tynkiem, odchodzącą z framug okiennych farbą oraz wybitymi szybami wylania się zza koron drzew. Upadający hotel pracowniczy, pod koniec lat poprzedniego ustroju święcący największe sukcesy, jeśli za takie można było uznać tabuny gości, głównie partyjnych dygnitarzy oraz pracowników fizycznych z rodzinami, teraz budzi wyłącznie nostalgię za minioną epoką.

Arek z Markiem pokonują kolejne metry, zbliżając się do budynku. Już nawet nie spoglądają na biegnący nieopodal przewód elektryczny. Chcą jak najszybciej zagłębić się w czeluści opuszczonego hotelu.

– Słyszałeś o tym? – pyta Lubosz, wskazując na boczną ścianę.

– Raczej tak, ale nie skojarzyłem, że ten hotel stoi w tym miejscu. To komunistyczny relikw. Upadł wraz z rozwojem dzikiego kapitalizmu. Podobna sprawa jak z kurortem HPR w Porąbce-Kozubniku, niedaleko góry Żar.

– O tym czytałem. Czego tam nie było... Basen, korty tenisowe, polskie Davos. Wszystko rozkradli.

– Później produkowali tam narkotyki. A jeszcze później pustostany zamieniły się w raj dla grających w paintball.

– Ale teraz w końcu zabrali się do tego. Jakiś prywatny inwestor. Można kupić apartamenty.

– Skusisz się?

– Na pewno. Jak tylko wygram w Lotto.

Mijają zaniedbany ogród oraz plac zabaw, który wygląda koszmarnie. Zardzewiała huśtawka tkwi bez ruchu. Ostatni raz tego typu konstrukcję Lubosz widział kilkanaście lat wcześniej na osiedlowych placach zabaw. Ciężkie, zespawane rurki oraz skrzypiące zawiasy sprawiające wrażenie, jakby w pewnym momencie żeliwny materiał miał pęknąć, a bawiące się dziecko wylecieć i zaliczyć bolesny upadek. Lubosz w czasach szkolnych sam był świadkiem śmiertelnego wypadku spowodowanego przestarzałymi materiałami, z którymi na co dzień miały do czynienia dzieci. Dziesięcioletni kolega wyskoczył w górę i zawiesił ręce

na poprzeczce prowizorycznej bramki. Spaw rurki nie wytrzymał. Chłopak nie przewidział takiego obrotu spraw. Upadł niefortunnie, rozbijając głowę o asfalt. Czas usunął wtedy wszystkie traumy. Nie było psychologów. Życie toczyło się dalej. Lubosz zapomniał o tym, aż do dziś. Tragedia jednego osiedla. Gdy o tym myśli, wie, że jeśli do podobnego zdarzenia doszłoby obecnie, rodzice tego dziecka poruszyliby niebo i ziemię, by znaleźć winnego – firmę, zarządcę, kogokolwiek – i ukarać go. Dziwne to były czasy. Teraz sam nie potrafi jednak sprawić, by odpowiedzialnego za zniknięcie Sylwii spotkała stosowna kara.

– Żyjesz? – Marek potrząsa Luboszem. – Co się tak zapatrzyłeś na te huśtawki?

– Co? Nic. Chodźmy dalej.

Podchodzą pod sam budynek. Główne drzwi blokują wbite w futryny deski. Marek sprawdza ich krawędzie, oceniając, czy rzeczywiście stanowią przeszkodę w wejściu do środka, czy są jednak tylko atrapą, by zniechęcić postronne osoby.

– Mocno siedzą – przyznaje, szarpiąc za jedną z nich.

– Ten hotel nie wygląda aż tak źle. Musi być dobrze zabezpieczony, bo inaczej zule już dawno znaleźliby sobie tutaj melinę. – Lubosz rozgląda się wokół. – Zobacz, że nie ma tu nawet żadnych butelek, puszek, jedynie jakieś pety. – Nachyla się, badając grunt.

– Idealne miejsce dla gówniarzy na potajemne spotkania.

– Pewnie się urywają tutaj na wagary.

– Eee tam, gdzie? Teraz na wagary to się do galerii handlowej chodzi – stwierdza Marek.

– A ty co? Pedagog Korczak?

Idą wzdłuż bocznej ściany budynku. W oknach wpadających do podpiwniczenia praktycznie nic nie widać z powodu wysokich pokrzyw porastających teren.

– Kiedy zamknęli ten hotel? – pyta Lubosz.

– Nie mam pojęcia.

– W całkiem niezłym stanie to jest. – Rozgląda się dokoła.

– I w dobrym punkcie. Daleko od ruchu, daleko od ciekawskich spojrzeń. Arek, to musi być tutaj.

– Oby.

Z tyłu budynku trawa jest wyraźnie połamana, a w wielu miejscach śledczy zauważają odciski butów. Łodygi pokrzyw leżą na glebie lub pochylone na bok wskazują na niedawną obecność człowieka.

– *Voilà!* – Marek się ożywia, patrząc na ślady prowadzące do ukrytych pod gęstą roślinnością schodków i kierujące się wprost do pomieszczeń piwnicy. – To mamy nasze wejście.

Dwuskrzydłowe drzwi również są jednak zabezpieczone przytwierdzonymi do elewacji deskami. Ale kilka metrów obok ze ściany wyziera kłapa zsypu na węgiel. Wieko otwiera się lekko, lecz z głośnym zgrzytem nienaoliwionych zawiasów.

Lubosz spogląda na wąską rurę, wewnątrz której panuje totalna ciemność.

– Zapraszam do środka! – Marek zamaszystym gestem wskazuje na zsyp.

Arek wyjmuje latarkę, nachyla się do otworu i dostrzega resztki węgla, ale tuż pod ścianą zauważa coś jeszcze. W pierwszej chwili nie potrafi rozpoznać przedmiotu, gdy jednak wkłada głowę głębiej, widzi stary materac.

– Chyba faktycznie ktoś tędy wchodził i zapewnił sobie miękkie lądowanie.

Lubosz powoli wkłada nogi do rury i próbuje wsunąć cały tułów. Zsyp jest wąski, ale na szczęście krótki. Stopy zwisają mu w powietrzu. Wyciąga ręce nad głowę i wykonuje ruch całym ciałem w taki sposób, że zsuwa się na materac. Od razu wstaje, po czym kicha. W nozdrza uderza go kurz i pył z pokruszonego węgla.

– Jestem. Złóż.

Marek również wsuwa się do zsypu. W tym czasie Lubosz rzuca światło latarki na pomieszczenie służące za kotłownię, na którego końcu wyrasta piec centralnego ogrzewania.

Marek otrzepuje się z brudu.

– Tak wielki budynek ogrzewany c.o.?

– Wątpię. Pewnie tylko pomieszczenia gospodarcze.

Przechodzą dalej, następnie przez korytarz docierają do magazynu, w którym walają się najróżniejsze pudła, palety, ubrania oraz makulatura. Lubosz nachyla się nad jednym z kartonów i podnosi kasetę magnetofonową.

– Jezu... znak czasów. Pamiętasz to?

– Słuchało się.

Oświetla latarką kasetę kompaktową wetkniętą w pudełko z czerwoną okładką przedstawiającą płytę Kazika *Melassa*.

– A to? Dzem. – Marek wskazuje na album Riedla.

– Prawdziwy wehikuł czasu to masz tutaj.

Światło pada na numery magazynu „Piłka Nożna”. Na rozkładówce Paul Scholes skaczący do główki i zapowiedź artykułu *Oblicza wojowników* ze zdjęciami Świerczewskiego i Ledwonia.

Adam Ledwoń – aż ciarki przechodzą po plecach Lubosza, gdy przypomina sobie, w jaki sposób piłkarz pożegnał się z życiem. Ma nadzieję, że w tym obcym, opuszczonym budynku nie znajdą żadnego wisielca. Lubosz wielokrotnie bywał na miejscu zbrodni. Jednak to właśnie widok samobójców najbardziej wbijał mu się w pamięć. Może dlatego, że... Kolejny raz uświadamia sobie, jak wydarzenia z dzieciństwa wpływają na psychikę człowieka, jak odzywają się po wielu latach, jakby przez ten czas czuwały gdzieś ukryte.

Wakacyjny szkolny wyjazd. Plaża, gdzieś w okolicach Kołobrzegu, w oddalonej wsi, gdzie trudno było o turystów. Cała jego klasa bawiła się nad brzegiem morza. Zachciało mu się sikać. Dojście do plaży przecinał pas usłany zaroślami i drzewami. Arek pobiegł do zagajnika, nie informując opiekunek. Spojrzał na jedno drzewo, na kolejny krzew, i następny. Jeszcze kilka kroków, bo koleżanki z plaży mogłyby go dojrzeć. Zaczerwienił się. Poczł wstyd. Zapuścił się głębiej. Nagle podniósł głowę. Przed nim wyrósł mężczyzna, dobrze zbudowany. Cały w bieli. Miał białe spodnie i lekką, przewiewną koszulę tego samego koloru. Nosił brodę. W ręce trzymał sznur. Wyraźnie speszył się na widok chłopaka.

Lubosz doskonale pamięta ten złowieszco dyndający sznur. Przestraszył się i z krzykiem wybiegł na plażę. Tłumaczył, że jakiś dziwny pan na niego patrzył. Nauczyciele wzięli go za rękę i podprowadzili z powrotem do lasku, aby pokazał, w którym to było miejscu. Wtedy zobaczył tego mężczyznę po raz kolejny. Sznur był napięty, a spojrzenie jeszcze gorsze. Ciało kołysało się jak oglądane kilka chwil wcześniej morskie fale.

Marek kładzie dłoń na ramieniu Lubosza.

– Arek, co się z tobą dzieje?

– Ale że co?

– Odpływasz ciągle. Skup się. Mamy robotę do wykonania.

Jakoś trudno oczyścić umysł. By nie myśleć opętańczo o Sylwii, ucieka gdzieś w inne rejony, w wydarzenia z dalekiej przeszłości, co do których był pewien, że leżą głęboko pod płaszczem minionego czasu. Od kilku lat jest chodzącą bombą, dosłownie. Czuje to w sobie, ten gniew i emocjonalne rozkołysanie. Nie postradał jednak zmysłów. Wie, że w takiej sytuacji powinien z kimś porozmawiać, z psychologiem, księdzem, obojętnie. Tyle tylko, że czuje do wszystkich innych ludzi wstręt. Jedynie w sobie szuka siły. Znajdzie ją.

Wychodzą na piętro. Szerokie korytarze, przestronny hol z pełnią światła wpadającego przez ogromne okna, teraz jednak z powodu pogody toną w półmroku. Wnętrze hotelowe nie ucierpiało od niechcianych gości. Śledczy rozglądają się dokoła. Nigdzie nie dostrzegają aktów wandalizmu. Tylko ząb czasu zrobił swoje. A także firmy przejmujące niektóre elementy wyposażenia. W wielu miejscach można dostrzec porysowane framugi czy ukruszony tynk na ścianie; rezultat wynoszenia mebli.

– Co robimy? – szepce Arek.

– Zaczekaj.

Nasłuchują.

W całym budynku panuje grobowa cisza.

Zimny dreszcz przebiega Arkowi po plecach. Dziwnie się czuje w tym obcym, wymarłym wnętrzu, które kiedyś tętniło życiem, które było świadkiem ludzkich wzruszeń i dramatów. Przypomina mu się dzieciństwo i buszowanie po starych, opuszczonych domach. Takie zabawy przynosiły wiele frajdy. Poza jednym elementem. Nie wiedzieć czemu Arek nie lubił znajdować rodzinnych zdjęć pozostawionych przez właścicieli. Zawsze wtedy osoby z tych portretów śniły mu się w nocy; jakby dusze zmarłych wciąż pozostawały zamknięte w fotografiach.

Spogląda więc niechętnie na ramkę z oparciem stojącą na biurku recepcji. Przedstawia kilkuletnią dziewczynkę w zielonej sukience w białe grochy. W jednej ręczce trzyma sznurek z napompowanym balonem w kształcie Tweety'ego. Ogromny żółty łeb kreskówkowego ptaka góruje nad jej małą główką, rzucając rozciągnięty cień na połowę twarzy dziewczynki. Zdjęcie jest zdecydowanie nieudane. Mimo to wylądowało w miejscu pracy, prawdopodobnie matki dziewczynki, która była recepcjonistką. Lubosz jeszcze raz rzuca okiem na cień zdający się pochłaniać twarz dziecka.

Wzdryga się.

– Idziemy dalej? – pyta.

Zanim Marek odpowie, za ich plecami rozlega się trzask.

Odwracają się gwałtownie, ale nie dostrzegają żadnego ruchu. Tym razem ciemność wyrasta z głębi korytarza. Arek układa w głowie absurdalny scenariusz; gdyby nagle w tej czerni ujrzał coś żółtego, przypominającego balon z fotografii, chyba straciłby rozum.

Tkwią w bezruchu, nasłuchując.

– Mam wrażenie, że to coś z piwnicy – oznajmia Bogucki.

– Ktoś nas zauważył?

– Przekonajmy się.

Marek wyjmuje broń, chociaż wie, że nie powinien tego robić, i stawiając stopy najciszej, jak tylko to możliwe, udaje się w stronę piwnicy, z której przyszli. Arek towarzyszy mu, podążając kilka kroków za nim. Próbują zachować ciszę, ale już pierwsze drzwi wydają z siebie potworny jęk.

Marek się spręża. Wie, że jeśli ktoś wszedł za nimi, doskonale zdaje sobie sprawę z obecności intruzów w hotelu. Nie odwracając się, daje Arkowi znak lewą ręką, by ten został trochę bardziej z tyłu. Ruszają niżej, pokonują schody, kilka pomieszczeń i na powrót znajdują się w składzie węgla. Policjant trzyma latarkę tuż pod pistoletem i sprawnymi ruchami wymierza snop światła w kolejne narożniki i załamania.

Nigdzie ani śladu żywej duszy.

– Gdyby ktoś dostał się do środka, nie mógłby przejść inną drogą – oświadcza Marek.

– Chyba że nie znamy tutaj każdego korytarza.

Coś chrobocze.

Marek rzuca światło latarki na usypisko opału.

– No to mamy naszego szpiega.

Po kawałkach węgla przetacza się jeź. Próbuje utrzymać równowagę.

– Skorzystał z okazji i wszedł przez właz. Chyba już tutaj przezimuje.

– Dobra, idziemy na górę – rzuca Arek, powoli tracąc cierpliwość. Ma wrażenie, że ta cała wizyta w hotelu to strata czasu i szukanie na oślep. Marek z tonu głosu

kolegi od razu wyczytuje jego myśli.

– Jeśli nie sprawdzimy dokładnie, jeśli pominiemy choć drobne oznaki nadziei na coś nowego w śledztwie, będziemy później tego żałować. Nikt nie będzie czekał na nas z otwartymi rękami.

– Nie oczekuję tego. Ale ruszmy dupy, bo tutaj skiśniemy.

Przeczesaują parter, zaglądając do kolejnych pokoi. Na piętrze również nie znajdują niczego podejrzanego. Każdy pokój wygląda podobnie. Ta sama tapeta, te same kolory ścian i sufitu. Do niektórych przynależy niewielka łazienka. Na jednym poziomie w dwóch skrzydłach znajdują się cztery zewnętrzne łazienki: dwie damskie i dwie męskie. Większość pomieszczeń została opróżniona z mebli. Pozostały jedynie zniszczone meblościanki, łóżka bez materacy, z odsłoniętymi sprężynami, niestabilne biurka, połamane krzesła. Na parapetach tkwią jeszcze pełne popielniczki, płaskie, imitujące kryształ, często przysłonięte przez pożółkłe firanki opadające z drewnianych karniszy. W kilku pokojach przy wyjściu na balkon stoi grzejnik elektryczny. W paru miejscach śledczych aż cofnęło z powodu smrodu. Przykry zapach ekskrementów i moczu dał im do zrozumienia, że gdzieś znajduje się dodatkowe wejście do hotelu, wykorzystywane przez dachowce, dla których pokoje usytuowane na południowej stronie są idealne do wygrzewania się w ciepłe słońca.

Sprawdzają ostatnie piętro. Wchodzą do już przedostatniego pokoju na końcu korytarza. Ze środka bucha stęchlizna. Marek doskakuje do okna i uchyla je, by wpuścić świeże powietrze.

– Tlenu...

Arek wchodzi szybko do łazienki. Nie dostrzega nic szczególnego, poza zasłoniętą wanną. Chwyta za materiał. Przez moment czuje się, jak bohater *Lśnienia*. Nie chciałby zobaczyć nagiej starej kobiety biorącej prysznic w tym wymazanym z pamięci pomieszczeniu hotelowym. Ściąga zasłonę. Zamiast fikcyjnych straszylek widzi tylko pustą emaliowaną wannę, upstrzoną rdzawymi zaciekami.

Wraca do pokoju, gdzie Marek usiłuje na powrót zamknąć okno.

– I co? Nic tu, kurwa, nie ma – przyznaje zrezygnowany Lubosz.

– Okej, tylko nie zapominaj o dwóch rzeczach. Po pierwsze logowanie gdzieś z tego terenu lub pobliskiego. No, musimy dalej to sprawdzać. Po drugie ten prąd.

W jakimś celu facet prowadził tutaj czynne przyłącze energii elektrycznej. Trzeba dokładniej przeszukać piwnice. Mam wrażenie, że przeoczyliśmy jakiś korytarz, przejście, nie wiem, coś ważnego.

– Da się to otworzyć? – Lubosz wskazuje na drzwi od balkonu. – Zajaralbym sobie chociaż.

Trzy uchwyty blokujące wyjście z trudem ustępują. Drzwi są jednak podwójne. W drugiej części szyby kołyszają się niebezpiecznie. Kit we framugach ma dużo ubytków.

Śledczy wychodzą.

Lubosz od razu wyjmuje paczkę, wyciąga papierosa i zapala. Momentalnie czuje się lepiej, mimo że tytoń mu nie smakuje – złapał za dużo wilgoci.

Chwytają za poręcz balkonu, nachylając się. W oddali widać zabudowania huty i korony drzew, poniżej na bliższym planie kilka blaszanych garaży, zarośnięte trawą stojaki na rowery i szklarnię.

Nagle Arek czuje na skroniach mrowie. Zaciąga się papierosem bardzo mocno, po czym wskazuje palcem punkt poniżej.

– A to co jest?

– Chyba to mamy.

Kilka metrów dalej, bardziej po prawej stronie, z tyłu hotelu, tuż za gęstwiną żywopłotu stoi dwupiętrowy budynek wzniesiony w tym samym stylu co hotel. Tuż przed nim wyrasta słup z dużą puszką, spod której wystaje kilka przewodów.

Śledczy spoglądają po sobie.

Na frontowej ścianie budynku widnieje skorodowana tabliczka z napisem:

ADMINISTRACJA.



Śledczy podchodzą coraz bliżej budynku administracji. Czują napięcie, ten policyjny zew, jakby naraz stali się wygłodniałymi drapieżnikami, którym ktoś rzucił mięso. Nie opuszcza ich przecucie, że jeśli trop z logowaniem na forum gdzieś z terenu huty lub sąsiadującym obszarem jest słuszny, uzyska potwierdzenie właśnie we wnętrzu murów, przed którymi się znajdują. Tym bardziej że oprócz starej linii telefonicznej oraz elektrycznej do obiektu doprowadzono dzikie przyłącze. To nie może stanowić przypadku.

– Patrz – mówi Lubosz, kucając i przesuwając dłonią po trawie. – Jest połamana.

Marek przygląda się śladom.

– Czekaj, czekaj. – Przechodzi na bok, przekrzywia głowę i patrzy pod dziwnym kątem. – Chyba widzę tutaj dwie koleiny. Trawa jest specyficznie pochylona.

– Samochód?

– Raczej tak.

Lubosz przypatruje się charakterystycznym wgłębieniom.

– I to chyba całkiem świeże – dodaje.

Jak na sygnał, Marek dotyka kabury pistoletu, sprawdzając, czy broń leży na swoim miejscu.

Deszcz zacina mocno. Przychodzi naraz, jako efekt zbliżającej się burzy. Niebo ciemnieje jeszcze bardziej. W oddali słychać grzmot.

– Idealny czas, by wejść do środka – stwierdza Lubosz.

– Sprawdźmy jeszcze z tyłu.

Obchodzą budynek obsadzony tujami, żywopłotem oraz różnymi gatunkami drzew oddalonymi niesymetrycznie, w promieniu kilku metrów od ścian. Tak rozsiana roślinność sprawia, że obiekt administracji byłego hotelu jest praktycznie niewidoczny z każdego punktu obserwacyjnego poza balkonami na piętrze ośrodka.

Po jednej stronie, wzdłuż ściany biegnie przedsionek, do którego prowadzi dwuskrzydłowa, mosiężna brama. Może to sugerować wjazd do garażu

wkomponowanego w bryłę budynku lub wejście do magazynu wymagające przestrzeni na duże gabaryty. Parę metrów dalej osadzono kolejne drzwi. I to na tym wejściu śledczy postanawiają się skupić.

– Dobra, Arek, śpieszmy się, bo nas tu zaleje na amen.

Coraz mocniejsze strugi deszczu lecą z nieba. Lepiej mężczyznom włosy, ściekają po twarzach. Marek wzdryga się, czując narastający chłód, a może napięcie spowodowane odkryciem kolejnego tropu.

– Jak wejdziemy? – pyta Lubosz, patrząc na metalowe drzwi z wkładką wpuszczaną głęboko do zamka. Komisarz zawsze zwraca uwagę na ten mały szczegół, o którym wielu ludzi nie ma pojęcia. Chodzi o to, by przed zamontowaniem całego zamka do drzwi idealnie dobrać wkładkę. Nie może wystawać poza obrys zamka, w miejscu gdzie jest montowana, zwłaszcza po stronie zewnętrznej. To idealna zachęta dla włamywacza. Wystarczy, że wystający element wkładki weźmie w kleszcze i przekręci z całej siły, by konstrukcja, zazwyczaj mieszanka niklu i mosiądzu, po prostu pękła. Lubosz w pierwszej chwili myśli o takim rozwiązaniu, ale zaraz przekonuje się, że nie ma na to szans.

– Masz łom? – pyta Marek.

– Kurwa, zostawiłem w hotelu.

– To jedyny sposób, by się tędy dostać.

– To skocz po niego.

– Ja?

– Ty prowadzisz tę akcję. Nie muszę ci przypominać, że...

– Dobra już – urywa Bogucki. – Gdzie go zostawiłeś?

– Pewnie przy okienku zsypu na węgiel.

– Czekaj tu – mówi poirytowany, nie starając się ukryć swoich emocji. Woli jednak nie drażnić Arka, schodzić mu z drogi, gdy tylko się da, a przede wszystkim pomagać. Chociaż tyle może dla niego zrobić.

– Nigdzie się nie wybieram.

Marek znika za węglem budynku, a jego kroki są niesłyszalne wśród deszczu. Arek kuca, przywierając plecami do ściany, aby na ile tylko zdoła, skryć się przed ulewą. Zapala papierosa i zaciąga się, leniwie wypuszczając dym. Mógłby tak trwać, wtopić się w zimny mur, zapaść pod ziemię, nie ma już sił dalej tego

ciągnąć. Czasami myśli, że piekło jest na ziemi, w tym życiu, gdzie ludzie doznają tylu cierpień. Coraz częściej dopadają go zatrute myśli, takie same jak wtedy, gdy chciał rozbroić ładunek wybuchowy.

– No wiedziałem – mówi Marek – że będę dymał po sprzęt, a ty sobie papieroska zapalisz. – Naraz jednak uznaje, że musi uważać na słowa, uważać na Arka, który chyba nie jest w tak dobrej formie, by towarzyszyć mu w śledztwie. Tym bardziej niepotrzebnie Holica przydzielił Lubosza do odnalezienia Trewskiego; musi pogadać z nim na ten temat. Patrzy w zaczerwienione oczy kolegi, który powoli się podnosi. – Dajesz, Arek. Mamy robotę. – Wkłada mu łom do ręki.

Lubosz od stanu całkowitego rozklejenia przechodzi w totalną złość. Jest jak morderczy przyrząd w rękach szaleńca, zdolny zniszczyć wszystko, co spotka na swojej drodze. Wciska zakończenie łomu w szczelinę między skrzydłem drzwi a framugą, po czym pociąga z całej siły. Próbuje znowu. Ponawia szarpnięcie na tyle mocno, że wyłamuje zamek.

Mężczyźni wchodzą do środka. Jest ciemno. Przez chwilę nie widzą kompletnie nic. W nozdrza uderza ich zatechły zapach. Włączają latarki. Snopy światła wędrują po ścianach niczym świetliki.

Nigdzie nie dostrzegają włącznika lamp. W pomieszczeniu wisi kilka półek z puszkami farby, szczotkami, pudełkiem śrub, kluczy, wiertarką i wieloma innymi akcesoriami, które można znaleźć w każdym dobrze wyposażonym warsztacie.

Przechodzą dalej.

Znajdują się w o wiele większym miejscu, do którego prowadzą dwuskrzydłowe drzwi. Widzieli je wcześniej, gdy byli na zewnątrz. Pod ścianą ustawione są cztery opony. A na środku coś dużego, pokrytego szarą, materiałową płachtą.

– Świeć – nakazuje Lubosz, oddając Markowi latarkę. Sam chwytą plandekę z jednej strony i zdejmują ją gwałtownie.

– Kurwa mać... – przeklina cicho, z niedowierzaniem.

Na środku garażu stoi biały fiat ducato.

Takim samym samochodem pod szpital podjechał mężczyzna, który uprowadził Sylwię.

- Jednak pan wrócił.
  - Miałem masę spraw. Naprawdę. Dlatego przełożyłem spotkanie. Przepraszam.
  - Nic nie szkodzi. Ważne, że chce pan ruszyć z terapią.
  - Myślała pani, że się obraziłem?
  - A obraził się pan?
  - Byłem trochę opryskliwy.
  - Nie zauważyłam.
  - Czy powinienem zmienić terapeutę?
  - To jakiś test?
  - Nie... Tak tylko próbuję panią wyprowadzić z równowagi.
  - Dlaczego?
  - A dlaczego nie? Człowiek jedynie w sytuacji stresowej pokazuje swoje prawdziwe oblicze.
    - Proszę mi wierzyć, że ja tutaj niczego nie udaję. Wykonuję obowiązki zawodowe. Nie musi mnie pan sprawdzać. Tylko zaufać. Wtedy nasze spotkania będą miały sens.
    - Dobrze. Już jestem zdyscyplinowany.
    - Czym był więc pan tak zajęty?
    - Dużo pracy.
    - Czym się pan zajmuje?
    - Nie chcę na razie o tym mówić. Trochę to wszystko mnie już przytłacza. Chociaż muszę przyznać, że przez lata to właśnie wykonywany zawód był moim azylem.
    - Uciekał pan w to?
    - Chodzi pani o pracoholizm? Hmm... Nie wiem. Bardziej traktowałem go jako schronienie.
    - Przed czym?

– Przed samym sobą.

Śledczy eksplorują kolejne pomieszczenia, oświetlając je latarką. Przez przysłonięte roletami okna wpada niewiele światła. Co chwilę budynek zdaje się drżeć w posadach od grzmotów szalejącej na zewnątrz burzy. Hałas dudniącego o parapety deszczu staje się ich sprzymierzeńcem; policjanci mogą poruszać się swobodnie, bez obawy, że każdy najdrobniejszy dźwięk zdradzi ich obecność. Marek trzyma broń w pogotowiu, ale nie wydaje mu się, żeby ktokolwiek miał znajdować się w budynku administracji.

Przeczesaują kolejne pokoje biurowe zawałone szafkami, biurkami i starym sprzętem komputerowym. Jedno pomieszczenie służyło za jadalnię. Na środku wciąż stoi stół, a na jego blacie spoczywają do góry nogami krzesła. Jedno z nich jednak znajduje się u szczytu stołu i jest lekko odsunięte, jakby ktoś dopiero wstał i skończył posiłek. W tym samym miejscu na blacie Arek dostrzega okruchy chleba. Kolejny raz dostaje gęszej skórki. Organizm funduje mu zastrzyk adrenaliny.

Wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

Wśród odgłosów gromu oraz ulewy w pomieszczeniu rozbrzmiewa przeciągły, ledwo słyszalny dźwięk. Charakterystyczny dla starej lodówki.

– Podłączona do prądu – mówi szeptem Lubosz.

– Sprawdź ją. – Bogucki rzuca mu lateksowe rękawiczki.

Lubosz naciąga je na dłonie, po czym nachyla się nad niedużą lodówką i pociąga za drzwiczki.

Fetor wkręca się w jego nozdrza. Arek przysłania nos, chowając go w przedramieniu. Oddycha przez materiał bluzy.

W lodówce znajduje się obrosła pleśnią szynka oraz kawałek sera pokryty biało-zielonym nalotem. Na jednej z półek leży kawałek chleba. Poniżej Arek znajduje kilka konserw rybnych, gulaszową, pasztety w puszcze, paprykarz. Nadal jednak nie widzi źródła potwornego smrodu. To nie może być tylko wędlina i ser. Na bocznych półkach znajduje trzy butelki mocnego piwa, a tuż obok styropianowy pojemnik. Zdejmuje plastikowe wieko i kolejny raz chowa nos w bluzie, próbując nie czuć unoszącego się w powietrzu przykrego zapachu. W środku znajdują się

porośłe pleśnią resztki niezjedzonej porcji kebabu. Pośród białego i ciemnozielonego, puszystego nalotu trudno dojrzeć kawałki mięsa. Arek zamyka szybko pojemnik i odkłada go na miejsce.

– Musimy tutaj znaleźć coś więcej – zauważa. – Facet nie zdążył po sobie posprzątać.

– Ten biały ducato mówi wszystko. To jest przełom.

Sprawdzają również pomieszczenie sanitarne. Dwa natryski oddzielone ścianką, odchodzące płytki ceramiczne, które pamiętają poprzedni ustrój, niewielka umywalka z pajęczyną pęknięć oraz sedes z białym plastikowym pojemnikiem na wodę. W słupku pod umywalką Lubosz znajduje kilka butelek płynu Biały Jeleń oraz otwartą butelkę żelu antybakteryjnego. W kubku stoją trzy szczoteczki do zębów, dwie już mocno zużyte, z postrzępionym włosiem. Policjanci, spoglądając na przedmioty, na których poszukiwany przestępca prawdopodobnie pozostawił materiał genetyczny, myślą o nich w kategoriach krainy obfitości. Technicy będą mieli masę pracy.

Na piętrze znajdują puste pomieszczenia służące niegdyś za pokoje pracownicze. Lubosz z dudniącym tętnem uchyla każde drzwi, mając nadzieję, że naraz zobaczy swoją córkę. Wizualizuje obraz zakneblowanej Sylwii przykutej do kaloryfera, oczekującej na pomoc; przełyka z trudem ślinę. W pokojach nie ma jednak żywej duszy. Nic podejrzanego, nic, co wskazywałoby nawet na obecność osoby podejrzanego o porwanie Sylwii.

– Arek. Nie ma tutaj nic podejrzanego poza samochodem i oznakami, że facet, którego poszukujemy, ukrywał się w tym budynku – oznajmia Marek, schodząc z góry.

– Zaczekaj. – Lubosz przechodzi w głąb korytarza, tuż za ścianą oddzielającą klatkę schodową od reszty pomieszczenia. Rzuca światło latarki w mrok i dostrzega jeszcze jedno, obite blachą drzwi, jedyne, których dotąd nie sprawdzili.

Bogucki ustawia się przy ścianie, zajmując pozycję wygodną do ewentualnego oddania strzału, a właściwie, by zagrozić bronią niespodziewanej osobie po drugiej stronie.

Lubosz pociąga za klamkę.

Zamknięte.

Przetrzęsneli wcześniej wszystkie półki i szuflady, ale nie znaleźli ani kluczyków od samochodu, ani żadnych innych.

Arek przywiera do pomalowanej na bordowo blachy drzwi, przykładając ucho, próbując usłyszeć coś z pomieszczenia, do którego prowadzą. Zamyka oczy i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zwraca się w myślach bezpośrednio do Boga, aby sprawił, by Sylwia jak najszybciej się odnalazła. Jakże chciałby ją ponownie spotkać... Gdyby mógł cofnąć czas, siedziałby przed jej salą szpitalną nieustannie, niczym pies strzegący posesji. Gdyby tylko wiedział, potrafił przewidzieć... To, co się dzieje, przekracza jednak granice rozsądku. Dlatego Arek przyjmuje już wszystko, co przyniesie los.

Marek, cały czas celując w drzwi, podaje mu nóż szwajcarski. Lubosz zabiera się do pracy – najpierw pozbywa się klamki, następnie majstruje przy zamku. Na szczęście trafia na słabe zabezpieczenia, najprostszy zatrzask, do którego wystarczy użyć odrobiny precyzji i siły, by szybko ustąpił. Popycha drzwi do środka.

Przed nimi ukazują się schody prowadzące do piwnicy.

Powoli, uważnie śledczy stawiają kolejne kroki.

Im niżej schodzą, tym bardziej staje się wyczuwalny specyficzny zapach chemikaliów i czegoś jeszcze.

Piwnica jest ogromna. Zdaje się o wiele większa niż fundamenty, z których wyrasta budynek. Idealne miejsce, by działać w ukryciu.

Tuż przy wejściu na ścianie znajduje się włącznik światła. Lubosz pociąga za nieduży pstryczek. Rząd podwieszonych pod sufitem jarzeniówek rozświetla całe pomieszczenie.

Przed ich oczami rozciąga się prawdziwe laboratorium. Profesjonalne stoły z blatem wykonanym ze stali. Szklane pojemniki. Najróżniejsze przyrządy: nożyce, skalpele, mikroskopy, menzurki, słoje, kolby, krystalizatory, lejki, probówki, szkiełka, tygle, pipety i wymazówki.

Lubosz spogląda po półkach. Nie potrafi nazwać większości akcesoriów laboratoryjnych, nie ma pojęcia, do czego służą. Pod ścianą po lewej stoją w rzędzie niebieskie wiadra z plastikowymi pokrywami.

Z każdym kolejnym krokiem mężczyźni nabierają coraz głębszego przekonania, że miejsce, w którym się znajdują, przypomina laboratorium doktora Mengele.



– Chryste... – szepcze Marek, rozglądając się wokół.

W centralnym punkcie dostrzegają coś, co sprawia, że włos jeży im się na głowie.

Potężne krzesło przymocowane do stalowych przewodnic, które z kolei przytwierdzone zostały do betonowej podłogi za pomocą kołków rozporowych, wyróżnia się na tle innych przedmiotów i wyposażenia. Konstrukcja wykonana z nieoszlifowanego drewna ma podpórki pod ręce, a na nich metalowe kajdany do spięcia rygłem. Tam gdzie powinny spocząć nogi siedzącej osoby, widnieją skórzane pasy. Taka sama metoda zastosowana jest do krępowania w okolicy szyi; pas ze ściągającą klamrą wisi przybity do oparcia krzesła. Tuż przy nim, na podłodze, leży kilka szklanych misek.

Lubosz próbuje odeprzeć czarne myśli. Blokuje wyobraźnię, która stara się podsunąć mu okropne obrazy i przedstawić, co jakiś zwyrodnialec mógł robić uwięzionej dziewczynie. W jednej chwili ma ogromną potrzebę, by zapalić.

– Patrz... – mówi Marek, jakby do siebie, i od razu kieruje się w stronę półki, na której znajduje maszynkę do wykonywania tatuażu oraz buteleczki z tuszem. – Skurwiel tutaj robił te tatuaże... Ale jak udało mu się przetworzyć dźwięk w odpowiedni wzór fali? Musiałby mieć niebywałe umiejętności. Szukamy też w tym środowisku. Jest wielu podejrzanych typów z przeszłością, ale na razie jak kamień w wodę.

– Niekoniecznie musi być w tym dobry – stwierdza Arek. – Wystarczy to. – Wskazuje na drukarkę, z której pojemnika na papier wyjmuje blok samoprzylepnej kartki. – Musiał generować w programie szablon. Naklejał formę na rękę i zabierał się do pracy.

Przypomina sobie tatuaże dźwiękowe wykonane na ciałach Wawrasza, Kmity i Sylwii, kierujące groźbę wprost do niego. Marek wspominał mu wcześniej, że niektórzy śledczy dostali zadanie, by podążyć tym tropem i sprawdzić środowisko polskich tatuażystów. Teraz już wie, że był to kompletnie nietrafiony pomysł.

Lubosz otwiera lodówkę. W środku dostrzega probówki wypełnione krwią oraz szklane pojemniki z zawartością, którą trudno rozpoznać na pierwszy rzut oka. Dopiero gdy unosi jedno naczynie w stronę światła, dochodzi do niego, co tak naprawdę trzyma w dłoni.

– Co to, do cholery, jest? – pyta Marek.

W pojemniku znajduje się ludzki naskórek. Niektóre kawałki są bardzo suche, cienkie, wręcz przezroczyste. Inne z kolei sprawiają wrażenie, jakby ktoś wyciął nieduże fragmenty skóry z ciała człowieka.

Bogucki przechodzi dalej, spoglądając na słoiki ustawione rzędem na blacie szafki.

– Niedobrze mi – stwierdza i odwraca się na moment.

Lubosz lustruje kolejne naczynia. W poszczególnych słoiczkach znajdują się obcięte paznokcie.

W kolejnych kępkę włosów.

Jedno z naczyń zawiera kilka włosów i dużo białego nalotu, jakby...

Arek odkręca wieko i pociąga nosem. Czuje charakterystyczny zapach suchej skóry, przepoconych włosów i naturalnego łoju, czyli sebum. Nie ma wątpliwości, że w naczyniu spoczywają drobinki łupieżu oraz łuszczącej się ludzkiej skóry.

– Co to, kurwa, za psychol? – Marek stara się podsumować widok pojemników, a zwłaszcza tego, co zawierają.

Lubosz się nie odzywa. Uważnie sprawdza każdy szczegół. Próbuje ułożyć racjonalne wytłumaczenie tego, co właśnie odnaleźli w piwnicy wyglądającej niczym laboratorium nazistowskiego szaleńca. W tym momencie nie przychodzi mu do głowy żadne rozsądne wyjaśnienie. Jedynie to, że wokół jest pełno materiału genetycznego, multum śladów DNA – ale do czego miałyby służyć porywaczowi Sylwii? Co ten zwyrodnialec zamierzał zrobić z tymi biednymi ludźmi?

Im dłużej śledczy rozglądają się po piwnicy, tym bardziej przeraża ich jej widok. Na metalowej tacy znajdują ręczną tarkę do sera o małych oczkach. Otwory są zapchane żółtawymi drobkami naskórka. W paru miejscach na oczkach zastygła krew.

– Zaraz się porzygam – oznajmia Marek, odwracając się w stronę schodów, którymi przyszli, i próbując oddychać głęboko.

Lubosz działa analitycznie. Włosy, naskórek, krew, paznokcie – materiał genetyczny pobrany w niewiadomym celu. Arek jest jednak pewien, że części ciała należą do zaginionych osób, które miały styczność z porywaczem.

– Marek... Doszliśmy do źródła, rozumiesz? On działał tutaj cały czas. Tuż pod naszym nosem.

– Ale wciąż nie wiemy, kim jest. Dlaczego to robił? Dlaczego wytatuował zaginione osoby? Jak do nich dotarł?

– Mam już pewną koncepcję.

– Jaką?

– Te zaginione osoby. One same go znalazły.

– Co?

– Wszystkie chciały zniknąć z tego świata. Ukryć się. Chciały, by ktoś wymazał je z pamięci bliskich.

Arek streszcza Markowi ostatnią rozmowę z Marceliną i ich wspólne wnioski.

– Chcesz powiedzieć, że ten ktoś zajął się tym, by zniknęli? Ale co robili przez cały ten czas?

– Nie mam pojęcia – przyznaje Lubosz.

– I po co te tatuaże? Arek, posłuchaj mnie... To musi być ktoś, kto chce ci zaszkodzić. Nie potrafię inaczej wytłumaczyć tych tatuaży. Ktoś, kto z jakiegoś powodu chce się na tobie zemścić. Dlatego porwał Sylwię.

Arek przeczesuje dłonią włosy. Tak bardzo chce mu się palić. Czuje duszność i suchość w ustach. Najchętniej wyszedłby z piwnicy jak najszybciej, by tylko zaczerpnąć powietrza. Kolejny raz myśli wprawiają go w fatalny nastrój. Próbuje się kontrolować, ale organizm dyktuje własne warunki. Podpowiada mu, że jak tylko wróci do domu, otworzy butelkę wódki, zaleje obojętnie jakim sokiem i odpocznie. Lubosz jest w pełni świadomy swoich pragnień – dlatego tym bardziej czuje wściekłość na siebie. Coraz trudniej przychodzi mu kontrolowanie nałogu.

Burza na zewnątrz musi być potężna. Aż do piwnicy przedostają się odgłosy powtarzających się w równych odstępach grzmotów. Pomimo nasilającej się nawałnicy śledczy chcą jak najszybciej wydostać się z budynku. Wiedzą jednak, że nie skończyli swojej pracy.

Spoglądają w ciszy na drzwi znajdujące się na końcu pomieszczenia po lewej stronie.

Marek zajmuje pozycję gotową do ataku i pokazuje Luboszowi, by trzymał się tuż za nim. Pociąga za klamkę i popycha drzwi w panujący wewnątrz mrok.

Od razu uderza ich okropny zapach.

Nie potrafią rozpoznać jego źródła.

Marek wymierza snop światła w ciemność.

Nagle odruchowo cofa się o krok, wpadając na Lubosza.

– Boże... Co to jest?! Widziałeś to?

Lubosz go wymija. Przykłada dłoń do ściany po lewej stronie, tuż za drzwiami, próbując na oślep wyczuć włącznik. Po chwili dopina celu.

Pomieszczenie rozświecła się na fioletowo.

Lubosz czuje, jak zimny dreszcz przeszywa jego ciało.

Z trudem łapią powietrze, które jest gęste i pełne wilgoci.

Chcą wyjść, ale ciekawość, by podejść bliżej, wręcz hipnotyzuje.

Nie są w stanie jednoznacznie określić, na co tak naprawdę patrzą.

– Proszę opowiedzieć o swoim dzieciństwie. O najlepszym wspomnieniu oraz tym najgorszym. Co budzi w panu negatywne emocje? Może to być wydarzenie, ale także jakaś postać, słowa, które wypowiedziała.

– To pomoże pani w wydaniu diagnozy?

– Otwarcie się na traumę lub przede wszystkim jej poszukiwania, a następnie uświadomienie i zrozumienie, nie tylko pomogą mi w pracy terapeuty i w podjęciu dalszych kroków, ale przede wszystkim okażą się wartościowe dla pana.

– Czyli mam opowiedzieć o swoim dzieciństwie?

– Od tego zacznijmy.

– Jeszcze jedno. Czy obowiązuje panią tajemnica zawodowa?

– Oczywiście. Proszę się nie obawiać. Obowiązek zachowania tajemnicy zawodowej nakłada na mnie ustawa o zawodzie psychologów oraz Kodeks Etyczno-Zawodowy Psychologa. Ponadto obliguje mnie do tego konstytucja.

– To dobrze. Ale nie wspomniała pani o wyjątkach.

– To znaczy?

– O ile mi wiadomo, Kodeks karny może uchylić tajemnicę zawodową psychologa w przypadku zagrożenia mojego życia, czyjegoś życia, usiłowania zabójstwa czy ludobójstwa.

– Widzę, że jest pan biegły w aktach prawnych. Prawnik?

– Nie... chodzi mi tylko o to, by dała mi pani słowo, że po tym, co powiem, nie zostaną powiadomione organy ścigania.

Chwila ciszy.

– Dziękuję. Myślę, że po zakończeniu mojej opowieści tym bardziej nie przyjdzie to pani do głowy.

\*\*\*

Mieszkaliśmy na zapyziałej wsi, ukryci głęboko przed światem, w miejscowości, przez którą przebiegały dwie krzyżujące się lokalne drogi. Wzdłuż nich stały:

kościół, remiza i sklep. By dotrzeć do szkoły lub ośrodka, trzeba było pokonać kilka kilometrów. Nic więcej tam nie było oprócz ciekawskich spojrzeń, plotek i sąsiedzkich kłótni. I też zło się pojawiło. Za moją sprawą.

Mieszkaliśmy blisko lasu. Biednie, tylko z mamusią i moim bratem, Pawłem. Z naszego domu widać było inne gospodarstwa, oddalone od siebie hektarami pól uprawnych. My sialiśmy tylko zboże, żeby nakarmić kury. Oprócz tego uprawialiśmy ziemniaki i różne warzywa. Kur było sporo, nie mieliśmy ogrodzenia, więc często, gdy zbliżał się zmierzch, biegałem dobrą godzinę, by wszystkie zagonić do zagrody. Mamcia była bardzo wyczulona na punkcie tych ptaków, bo sprzedawała jajka, a dochód z tego handlu był oprócz zasiłku jedynym źródłem utrzymania naszej rodziny.

Chodziłem do trzeciej klasy, Paweł do drugiej. Nierozłączni bracia. Pomagaliśmy mamie w gospodarstwie, wspólnie bawiliśmy się w chowanego, ukrywając się w kopczykach siana stojących na łąkach. Lubiliśmy też udawać Czterech Pancernych. Siadaliśmy na starych, zardzewiałych bronach, w rękach trzymaliśmy imitujące broń, wyjęte ze stożyny żerdki i walczyliśmy z niewidzialnym wrogiem. Byliśmy niepokonani.

Pyta pani o ojca? Nigdy go nie poznałem. Mam pewne przypuszczenie, co mogło się z nim stać, w zasadzie to wiem, ale na razie zachowam to dla siebie. Później, gdy już otworzę się całkowicie przed panią, moja teoria na jego temat będzie bardziej prawdopodobna. Ojciec to temat tabu, tylko raz zapytałem matkę o niego. Gdzie jest i co teraz może robić? Odpowiedziała jedynie, że na pewno smaży się w piekle.

Z Pawłem często chodziliśmy do lasu, a tam w miejsce mało znane, tak przynajmniej nam się wydawało. Czuliśmy się jak odkrywcy, jak bohaterowie powieści przygodowych zasiedlający tajemniczą wyspę. Pokonywaliśmy ścieżkę gęsto porośniętą przez dzikie krzewy, jakieś czterdzieści pięć minut, może godzinę od naszego domu, po czym docieraliśmy do urwiska, pod którym rozpościerał się naturalny zalew. Wystarczyło przejść kilkadziesiąt metrów wzdłuż rozpadliny, gdzie teren opadał, by dostać się do wody i zanurzyć w niej ręce. Nieraz siedzieliśmy na krawędzi kamiennego uskoku, rzucaliśmy kamieniami do mętnej wody, wyobrażając sobie, że celujemy w potwory zamieszkujące nieznaną głębiny. Jeziora są równie niebezpieczne jak ukryte w mroku ulice. Nigdy nie wiadomo, co czai się w czarnej otchłani. Tak samo jest z duszą człowieka. Wierzy

pani, że każdy z nas ma duszę? Ja nie, a jeśli się mylę, to powiedzenie „z duszą na ramieniu” należałoby traktować poważnie. Tyle że chyba to dusza boi się zamieszkać w moim ciele.

Zbliżał się wieczór. Już dawno mieliśmy być w domu. Zabawa w żołnierzy za bardzo się przeciągnęła. Wiedzieliśmy, że mamusia spuści nam łomot. To, co się wtedy stało, zmieniło mnie na zawsze.

Słońce było już nisko. Purpurowa poświata przebijała się przez korony drzew. Zorientowałem się, że musimy jak najszybciej wracać. Zacząłem wołać Pawła, ale nie słyszałem, by coś odpowiedział.

Bawiliśmy się następująco. Staliśmy przy urwisku, plecami do siebie, po czym na znak szliśmy aż dwieście kroków, każdy w swoją stronę, by później zbliżyć się, próbując pozostać w ukryciu jak najdłużej, niczym żołnierze, za broń mający kije. Umowa była zawsze taka sama. Idziemy w miarę na wprost, wykorzystując do kamuflażu, co tylko się da. Wygrywał ten, kto najwcześniej dotarł do punktu startu. Wygrywał także ten, który dostrzegł drugą osobę.

Już dawno powinienem zobaczyć Pawła, ale nigdzie się nie pokazywał. Zacząłem krzyczeć, że to już koniec gry, że musimy wracać do domu. Ale on zawsze wszystko robił po swojemu.

Stałem blisko urwiska. Naraz za plecami usłyszałam jego śmiech. W tym samym momencie zdzielił mnie kijem w żebra. Za mocno. Aż odebrało mi dech w piersi. Padłem na ziemię.

– Już nie żyjesz! – krzyknął, po czym wymierzył do mnie, niczym z prawdziwego karabinu.

Kopnął mnie.

– Leż! Dlaczego zdradziłeś położenie naszej bazy? Jesteś zdrajcą. – Kontynuował zabawę, nie dostrzegając, jak bardzo boli mnie w boku.

– Przestań – wysapałem.

– Milcz, psie. Wiesz, co się robi z takimi jak ty? Zakopuje żywcem.

Końcówką kija machał mi przed oczyma. Czułem się bardzo niekomfortowo. Cały czas wodził mi kawałkiem drewna przed nosem. Bałem się, że zaraz wbije go przez przypadek w moje oko. Może właśnie z poczucia zagrożenia to zrobiłem? Człowiek osaczony, gdy czuje duszność, traci zmysły. Moje cholernie się wyostrzyły w tamtym momencie.

Paweł przycisnął końcówkę kija do mojego czoła.

Tego było za wiele. Ująłem kij i pociągnąłem mocno w swoją stronę. Brat poleciał do przodu, próbował utrzymać równowagę, lekko odskakując w bok, a wtedy zaczepił szpicem buta o kamień. Potknął się.

I poleciał wprost przed siebie. W dół urwiska.

Wydaje mi się, że tak to się skończyło.

Wielokrotnie wypierałem ten obraz z pamięci.

Czasami mam wrażenie, że jeszcze trzymał się krawędzi urwiska, ostatkiem sił, opuszkami palców niczym wspinacz skalny, próbował się ratować. Wtedy z niewytłumaczalnego gniewu podszedłem do niego, spojrzałem z góry i wałęsam podeszwą w jego dłoń. Chrupnęło, jakbym rozgniół karalucha.

Skalna ściana w tamtym miejscu nie była płaska. W jednym punkcie prostopadle wychylał się z niej stożek. I właśnie o ten skalny słup Paweł uderzył głową. Kolejny raz usłyszałem ten intrygujący dźwięk pękającej kości, jakby kruszyły się kostki lodu.

Pamiętam, że nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się stało. Mój mózg zarejestrował to jako coś, co należało ukryć przed mamusią. Coś na podobieństwo szkolnej bójki, wpisania uwagi do dzienniczka czy kradzieży jabłek z sadu należącego do sąsiada. Jednak widoku, jaki później zobaczyłem, nie zapomnę do końca życia.

Mama stała kilka metrów ode mnie. Przykładała dłoń do ust. Jej klatka piersiowa poruszała się spazmatycznie, jakby nie mogła złapać oddechu. Dopiero wtedy naprawdę poczułem, że mój świat rozpada się na kawałki. Widziała wszystko na tyle dobrze, by ocenić, co zaszło.

Zacząłem płakać. Trząsłem się jak w chorobie. Nie umiałem nad tym zapanować. Czy to był wypadek? Czy właśnie zabiłem swojego brata? Czy naprawdę pomogłem mu spaść z urwiska?

Ciało Pawełka unosiło się na powierzchni wody. Miał rozłożone ręce, jakby skakał ze spadochronem. Jego lot już się skończył, tak tragicznie.

Pyta pani, czy widzę go w snach? Nie... mam gorsze koszmary.

Mamusia wyciągnęła Pawła z wody. Zaskoczyła mnie jej reakcja. Teraz wiem, że chciała mnie chronić. Ulepiła mnie z gliny na nowo. Ukształtowała. Nadała rzece nowy bieg. Tak... wszystko dzięki mamusi.



– Zapamiętaj sobie raz na zawsze to, co teraz powiem. – Chwyła mnie mocno za kark. Nie potrafiłem patrzeć jej prosto w oczy. Mój wzrok wciąż uciekał na kruche ciało Pawełka, na jego rozbitą, nabrzmiąłą czaszkę. – Słuchaj mnie! To był wypadek, rozumiesz?! Wypadek, pamiętaj! Musisz przyjąć to jako wypadek. Nie jesteś mordercą. Musimy trzymać się razem, ratować naszą przyszłość, twoją przyszłość. Pawełek by tego chciał. Zapomnisz o tym, pomogę ci. Musisz sobie wmówić, wymyślić całą tę sytuację od początku. To był wypadek. Musisz to wymazać z pamięci. Wypadek...

Cieężko mi o tym mówić. Muszę chwilę odpocząć. Mogę wody?

Gdy widziałem ostatni raz jego ciało, uderzył mnie jeden szczegół. Paweł miał sine, lekko wykręcone palce u jednej dłoni. Tak to zapamiętałem, chociaż chciałbym pozbyć się tego koszmaru. Pomoże mi pani?

W pierwszej chwili Lubosz myśli, że to człowiek leżący bezwładnie na betonowym blacie. Gdy jednak wzrok powoli oswaja się z otoczeniem, ciemnością i fioletową poświatą, Arek dostrzega coś na kształt ubrania. Czarny skafander, którego widok wywołuje ciarki na plecach. Rozciągnięty, płaski, jakby opinał ciało człowieka, które naraz wyparowało.

Śliski materiał zszyto niewidocznymi w słabym świetle nićmi. Cały kostium składa się z jednej części tworzącej kaptur, koszulę wraz z rękawiczkami oraz spodnie, których nogawki mają zakończenia w kształcie stóp. Wzdłuż tułowia widać wąskie paski z tej samej tkaniny co reszta kombinezonu, które wplecione zostały w szlufki biegnące przez cały tułów. Do kaptura przyszyta jest ciemna woalka mająca zasłonić twarz, pogrążyć ją w całkowitym mroku.

W pomieszczeniu znajduje się jeszcze jeden tego typu kombinezon. Wisi na wieszaku. Wygląda jak prawdziwa postać, ubrana w jednolity strój. Lubosz ma wrażenie, jakby ktoś zza czarnego płótna spoglądał na każdy jego ruch, jakby zaraz miał wykonać kolejny krok, zbliżyć się powoli, a potem skoczyć mu do gardła. Oprócz tajemniczych ubrań przywodzących na myśl skafandry, w piwnicy mieszczą się drewniane palety, a na nich ułożone są białe płótna przykrywające jakieś podłużne, prostokątne pojemniki, wielkością odpowiadające trumnom. Nad każdym z nich, w centralnym punkcie tworzą coś na kształt stożka. Na wysokości głowy przez całe pomieszczenie przebiega napięta linka, do której przytwierdzono płótna w taki sposób, że wyglądają jak rozłożone namioty tipi.

Tkaniny są wilgotne. Coś, co znajduje się wewnątrz materiałowych przysłon, wydziela specyficzny zapach lasu, przypomina Luboszowi znajomą woń.

Gęste powietrze nie jest odżywczym paliwem dla organizmów. Zatrzuwa wszystko wokół, nie napędza do działania. Arek czuje zawroty głowy. Chciałby już wyjść, zapalić i zastanowić się spokojnie nad odkryciem. Chciałby wiedzieć, czego właśnie jest świadkiem.

Śledczy nie rozmawiają. Nie wiedzą, co powiedzieć. Żadnym słowem nie potrafią opisać kotłujących się w nich emocji. Są doświadczonymi policjantami.

Ale nigdy wcześniej nie widzieli nic podobnego. Nic tak niepokojącego. Najbardziej przeraża ich to, że nie są w stanie dopasować znalezionych elementów do żadnych innych stałych. Znalezienie budynku, a następnie samochodu, którym poszukiwany mężczyzna posłużył się, by uprowadzić Sylwię ze szpitala, sprawiło, że poczuli się jak chwytający wiatr w żagle. Z każdym kolejnym krokiem, z każdym znalezionym przedmiotem, naczyniem, ampułką, z kolejnym szczegółem, aż do odkrycia tajemniczego pomieszczenia z białymi całunami i materiałowymi skafandrami, czują się jak w całkowicie obcej dzielnicy, jakby zapomnieli drogi do domu.

Lubosz przygląda się czarnemu kombinezonowi rozłożonemu na betonowym podeście. Kuca, szukając odpowiedniej perspektywy. Ma wrażenie, że skafander nie jest w środku pusty. Delikatnie odchyła woal. Włącza latarkę.

Materiał pokryty jest niebieskawym i zielonym nalotem. Przypomina kamień obsypany porostami. W niektórych miejscach niejednorodnej warstwy wyrastają niewielkie grzyby o cienkich nóżkach, drobnych kapeluszkach i zwartych blaszkach.

Lubosz w pierwszej chwili myśli, że z jakiegoś powodu, prawdopodobnie wilgotnych warunków panujących w tej części piwnicy, pasożyty dostały się do tkaniny kombinezonu. Zaraz jednak śledczy sprawdzają białe płótna, które wciąż są lekko mokre. Arek nachyla się nad zdjętym całunem i próbuje nabrać powietrza przez nos. Czuje zapach grzybów, drożdży i glukozy.

– Grzyby... – stwierdza Marek, wciąż oszołomiony odkryciem. – Co musiało się tutaj znajdować, że mają taką pożywkę?

– Marek, chyba nie bardzo rozumiesz... Ten materiał służy do uprawy.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Te grzyby zostały sztucznie wyhodowane. Wszystko na to wskazuje.

– Ale dlaczego są uprawiane na tych kombinezonach? Może to przypadek. Rozprzestrzeniły się.

– Sam mi powiedz. Nie mam pojęcia, co się tutaj dzieje.

– Dobra. Załatwiam nakaz przeszukania i sprowadzam techników.

Wtedy słyszą hałas.

W pierwszej chwili myślą, że to kolejny odgłos gromu.

Ale ten dźwięk przypomina Luboszowi huk zamykanych z impetem drzwi.

Spoglądają po sobie rozszerzonymi lękiem oczami.

Ktoś wszedł do budynku.

A zaraz potem słyszą warkot zapalonego silnika.

## 21

– Możemy kontynuować.

– Czy panią to porusza? Ta cała opowieść?

– Jestem po to, by pomóc. Nie oceniać.

– Dobrze. Chciałem wiedzieć, czy po tym, co powiedziałem, nie znienawidziła mnie pani.

– Próbuję zrozumieć. I nie wydawać wyroków. Proszę kontynuować. Proszę się otworzyć i uwolnić wszystkie emocje, które się w panu kotłują.

– Ale i tak mnie pani ocenia. Sposób, w jaki o tym opowiadam, drobne gesty, wszystko.

– Taką mam pracę, ale skupmy się na panu.

– Dobrze. Zanim wrócę do moich wspomnień, chciałbym jeszcze podpytać, jakie ma pani wnioski, takie ad hoc? Co pani widzi, gdy mówię?

– Hmm... Wydaje mi się, że przykłada pan bardzo dużą wagę do sposobu mówienia. Chodzi o język, dobór słów, a przede wszystkim wymowę.

– Dziękuję. Staram się. Miałem sporo braków, które chciałem nadrobić. Wykupiłem wizyty u logopedy, ponieważ przeszkadzało mi seplenienie.

– Widać postęp.

– Tak, choć niestety nadal to nie jest to, ale dowiedziałem się, że nic więcej nie mogę już zrobić. Nie poprawię wymowy ze względu na budowę żuchwy, podniebienia. Poza tym w grę wchodzi jeszcze uzębienie, jego kształt.

– Czy pracował pan nad innymi brakami?

– Tak. Uważam, że człowiek jest jak zwierzę, które można wytresować. Jak w tym znanym doświadczeniu. Pies Pawłowa. Coś pani powinna o tym wiedzieć.

– Mówi pan bardziej o odruchach bezwarunkowych.

– Ale czy nasze życie nie składa się z tego typu wyuczonych automatyzmów? Polityk będzie kłamał bez mrugnięcia okiem. Wpuszczony w określone sytuacje, zachowa się w sposób wyćwiczony. Nawet nie będzie się nad tym zastanawiał. Morderca. Wie pani, co mówią statystyki? Mordercy, którzy zabili więcej niż jedną

osobę, stanowią większość. Dlaczego? Ponieważ dostosowują się do tej nowej sytuacji. Nie mówię o przypadkowym pozbawieniu życia drugiej osoby. Mówię o świadomym wyborze. Później to odruch, jak szybkie odbicie kierownicą w lewo, gdy niespodziewanie z bocznej drogi wyjeżdża samochód. Mam wrażenie, że zaczyna się mnie pani bać.

– A powinnam?

– To zależy, jakie ma pani plany względem życia.

– Nie rozumiem. Proszę to rozwinąć.

– Czy miała pani kiedyś ochotę, by kompletnie zniknąć? By świat o pani zapomniał. Ktoś wymazał wszystkie pani czyny.

– Kto o tym nie myślał? Ja uciekam wtedy nad morze. Odpoczywam od wszystkiego, od całego zgiełku.

– Znam sposób, jak to zrobić. Tak na zawsze, by zniknąć, ale trwać...

\*\*\*

Znaleźliśmy z mamą idealne miejsce, gdzie mógłby spoczywać Pawełek. Pamiętam wszystko jak przez mgłę. Mama mówiła, żebym wymazał te niechciane wspomnienia, ale na początku nie było łatwo. Ona wszystkim się zajęła. Uderzające było to, że potrafiła wymazać swojego syna, jakby nigdy nie istniał. W następnych latach dawało się to jej we znaki. Nie była taka mocna psychicznie, jak później myślałem, gdy dorosłem. Bo proszę mi wierzyć, że po takiej traumie dorasta się bardzo szybko.

Matka sporo piła. Puszczaly jej nerwy. A wtedy wyładowywała całą złość i żal właśnie na mnie. I wszystkie jej rady, żebym zapomniał o tym, co się stało, można było między bajki włożyć. Z każdym jej ciosem przypominałem sobie dobitnie o losie Pawła. Przed oczami stawały mi zdarzenia, które sprowokowałem, by zabić niewinnego chłopca.

Zakopaliśmy go w lesie, pod świerkiem, który do dzisiaj żywi się jego komórkami. Zagajnik jest trudno dostępny, słońce ogrzewa korony drzew, krzewy, ale nie przedostaje się do środka, przez co ściółka zachowuje odpowiednią wilgotność, jest lekka, przepuszczalna i kwaśna.

Wtedy, a w zasadzie po czasie, przekonałem się, że niektórzy ludzie po prostu znikają. Stają się tajemnicą, której nikt nie potrafi odkryć. Znikają za życia,

niewidoczni... Skoro ten schemat się sprawdza, można go stosować; tego dowiedziałem się po czasie.

Czy uroniłem łzę po wydarzeniach związanych z Pawełkiem? Nie pamiętam. Niepotrzebnie zaczynał wtedy te głupie żarty. A ja nie panowałem nad sobą. Z perspektywy lat patrzę na to wszystko jak na film. Jakby ktoś wtedy mną sterował. Dlatego nie czuję się winny.

Z matką już dawno nie wracałem do tego tematu, a ona również milczy jak grób. Dzięki temu czuję się naprawdę wolny. Bałem się, że postrada zmysły, zacznie coś pleść bez ładu i składu, a ludzie, którzy pamiętali Pawełka, połączą fakty. Dobrze, że nie wraca do tych wspomnień.

Ojca znalazłem po latach. Jakież było zdziwienie, gdy pewnego dnia pojawiłem się w progu jego domu. Pomimo że byłem już mężczyzną w kwiecie wieku, rozpoznał mnie, jakbym całe życie wychowywał się pod jego okiem. Zaprosił mnie do środka. Siedzieliśmy w ogromnym i zadbanym ogrodzie. Poprosiłem o kawę, a on nalał sobie whisky. Spodziewał się wyrzutów, może tego, że będę upominał się o pieniądze. Ale z każdą minutą, gdy rozmawiałem o tym pięknym ogrodzie, czuł się coraz bardziej niepewnie. Mieszkał sam, żona od niego odeszła. Był już na emeryturze, zajmował się wyłącznie ogrodem, który odgradzał go od całego świata i spojrzeń sąsiadów. Ciekawy jest fakt, że im więcej krzewów, drzew oraz żywopłotu sadił przez te całe lata, tym głębszy grób sobie kopał. Nie wiedział tego. Nie miał pojęcia, że ta szczelna ściana roślinności pomoże mi wykonać plan.

Po naszym spotkaniu ojciec zniknął, rozpląnął się w ciemnej materii.

Miejsce pochówku Pawełka stało się najpiękniejszym grobem w historii świata. Dlaczego? Ponieważ natura zajęła się jego ciałem, sama stworzyła to terrarium wiecznej symbiozy.

Zrozumiałem wtedy bardzo wiele. Na przykład to, że natura sama potrafi zadbać o materię, przetrwać ją i sprawić, by człowiek mógł trwać w pełnej symbiozie z przyrodą. Tamtego wieczoru, gdy promienie zachodzącego słońca kładły się na ziemię, pod którą spoczywał mój brat, zrozumiałem, jak można wymazać człowieka, sprawić, by zniknął z tego świata dla innych, a jednocześnie istniał wiecznie. Jeszcze nie wiedziałem wtedy o swoim rodzącym się credo.

Spojrzałem kolejny raz na miejsce, gdzie leżało ciało Pawełka. Ten niewielki obszar, niczym obrys zwłok dokonany przez techników kryminalistyki, porastały

grzyby.

Grzyby szukające pokarmu.

Ukrywały Pawełka przed całym światem.



Mężczyźni wybiegają z piwnicy. Marek odbezpiecza broń. Lubosz pędzi tuż za nim.

Warkot silnika jest na tyle głośny, że wypełnia całą przestrzeń budynku. Oznacza to, że kierowca nie zdążył jeszcze opuścić garażu.

Gdy wpadają do środka, widzą otwartą bramę garażową. Słychać trzask zamykanych drzwi kierowcy.

Samochód rusza z piskiem.

Lubosz w ostatniej chwili chwyta za klamkę tylnych drzwi i w momencie gdy samochód zaczyna przyspieszać, wślizguje się do przestrzeni ładunkowej. Szybko traci równowagę. Pada na podłogę. Auto zarzuca na wszystkie strony. Drzwi zatrząskują się pod wpływem nagłego hamowania.

Arka ogarnia ciemność. Leży, dotykając ręką ścian zabudowanych płytą ze sklejki. Jedyne światło dociera przez niewielkie okienko w przegrodzie oddzielającej przestrzeń kierowcy i pasażera od luku do przewożenia towaru.

Lubosz gorączkowo rozważa kolejny krok.

Słyszy wystrzał z pistoletu. Jeden, drugi. W duchu ma nadzieję, że Marek wycelował w oponę. Samochód podskakuje na nierównościach. Lubosz nie potrafi ocenić, czy strzały były skuteczne.

Kierowca musiał skupić się mocno na prowadzeniu auta. Arkowi wydaje się, że uciekający nie zauważył, iż ktoś dostał się do przestrzeni transportowej. A może jednak usłyszał trzask zamykanych drzwi? Arek nie potrafi tego rozstrzygnąć. Jeśli kierowca nie wie o jego obecności, zapowiada się ciekawa podróż.

Zakończona niespodzianką.

Stara się leżeć bez ruchu. Nieoczekiwanie ogarnia go radość, niesamowite podekscytowanie. Ma wrażenie, jakby znowu ktoś podłączył go do prądu. Wszystko dzięki pełnej nadziei myśli – a jeśli mężczyzna jedzie w miejsce, gdzie przetrzymuje Sylwię?

Arek chwyta się tego przeświadczenia. W ciemnościach, zwrócony twarzą do śmierdzącej podłogi, uśmiecha się. Nie martwi się faktem, że nie posiada przy

sobie broni. Jego ciało wzburzone skrajnymi emocjami stanowi narzędzie do zadawania bólu. W tej chwili czuje w pełni, że jest stworzony do wymierzania sprawiedliwości.

Nie może jednak ulec pokusie, by sprawdzić, kto siedzi za kierownicą fiata ducato, kto ponosi odpowiedzialność za ponowne porwanie Sylwii. Wystarczy lekko się wychylić i zobaczyć twarz potwora.

Samochodem nadal porządnie buja. Coś mocno uderza Arka w kręgosłup. Wbija się boleśnie w nerki. W mroku widać tylko zarys jakiegoś ciężkiego urządzenia, które przy wchodzeniu ostro w zakręty przesuwają się to w jedną, to w drugą stronę. Lubosz wykręca ciało i czołga się ku przegrodzie z okienkiem. Słyszy charczenie silnika zmuszonego do pracy na wysokich obrotach oraz uderzenia kamyków o nadkola.

Opiera się o ścianę, stając w kucki. Powoli podnosi się, przywierając do przegrody. Zauważa włosy mężczyzny kierującego pojazdem. Wtedy w jednej sekundzie następuje koniec świata.

Słychać przeraźliwy zgrzyt i gruchot. Arek ląduje na podłodze. Coś spada mu na głowę, plecy, uderza w łydkę. Wydaje mu się, że samochód nagle zamienił się w aluminiową puszkę zgniataną w dłoni olbrzyma. Hałas jest nie do zniesienia.

Naraz jednak nastaje cisza.

Tylko krople deszczu uderzają tępo o blachę samochodu.

Szkoło okienka prowadzącego do kokpitu rozsypało się w drobny mak.

Czuć swąd palących się chemikaliów.

Lubosz z trudem wstaje i na ślepo, chwiejąc się, dopada do drzwi przestrzeni ładunkowej. Znajduje klamkę, po czym otwiera jedno skrzydło i wychodzi na zewnątrz.

Traci grunt pod nogami. Osuwa się niżej, podeszwy butów ślizgają się po mokrej powierzchni. Pada wprost do zagłębienia z wodą.

Szybko orientuje się, że wpadł do głębokiego kanału.

Samochód również. Lewą stroną całkowicie leży na pochylonej ścianie rowu. Deszcz wciąż nie daje za wygraną, zacina ostrymi strugami. Arek gramoli się z ziemi. Opierając się o bok auta, przechodzi wzdłuż niego aż do kabiny.

Dopiero wtedy uświadamia sobie, co się stało.

Samochód wypadł z ostrego wirażu i wylądował w rowie. Maskę od strony kierowcy jest kompletnie zgnieciona. Z bebeczków fiata wydobywa się czarny dym, a pomiędzy jego kłębami Lubosz dostrzega grubą gałąź, która przeszła przednią szybę.

Otwiera drzwi pasażera i wdrapuje się do kokpitu.

Kierowca tkwi nieruchomo w fotelu. Z jego przebitej szyi i klatki piersiowej wylewa się krew. Ręce wciąż upiornie spoczywają na kierownicy.

Arek go rozpoznaje. Ten sam mężczyzna, przebrany za kapłana, stał przy jednym z grobów na cmentarzu po ceremonii pogrzebowej Opolskiego. Ten sam facet udawał księdza niosącego pomoc przez udzielenie sakramentu namaszczenia po wypadku samochodowym.

Wypadku, z którego Sylwia cudem wyszła zwycięsko.

Tylko po to, by mężczyzna, którego Arek ma na wyciągnięcie dłoni, znowu mógł ją porwać.

Arek słyszy rżenie. Z ust mężczyzny wypływają bańki krwi.

Coraz bardziej czuć zapach benzyny.

Lubosz nachyla się nad kierowcą.

Ten próbuje odwrócić głowę w stronę śledczego, ale wbite w jego ciało gałęzie uniemożliwiają mu wykonanie ruchu. Kieruje tylko wzrok w prawo. Spojrzenie wyraża totalne zaskoczenie i... rezygnację.

– Słuchaj... – wydusza z siebie Lubosz. – Pomogę ci. Wyjdiesz z tego. Powiedz tylko, gdzie jest moja córka.

W oczach mężczyzny pojawiają się łzy. Łzy bólu i pogodzenia się ze śmiercią. Próbuje coś powiedzieć, ale nie jest w stanie otworzyć szerzej ust, z których sączy się krew. Tylko przez nozdrza wydobywają się z głębi gardła nieartykułowane dźwięki. Naraz zaczyna się trząść.

Arek nigdy wcześniej nie pomyślałby, że może współczuć osobie, która wyrządziła tyle zła. Widok uchodzącego z mężczyzny życia robi na nim ogromne wrażenie. Jeszcze kilka chwil wcześniej chciałby go zabić gołymi rękami, teraz pragnie jednak, by porywacz przeżył. Ale nie z litości. Szybko znajduje kilka argumentów.

Mężczyzna musi przeżyć, bo od tego zależy życie innej osoby.

Jego śmierć może oznaczać koniec również dla Sylwii.

– Co chcesz powiedzieć? – Lubosz nachyla się nad kierowcą, który zalewa się krwią. Jest jej coraz więcej. Kolejne strużki życia toczą się na zewnątrz. – Gdzie moja córka? Błagam... Powiedz mi to!

– Syyyyy... – charczy tylko. Ból rozszerza jego źrenice.

– Gdzie Sylwia? Proszę...

Cała zgnieciona maska, silnik, węzowisko przewodów – wszystko staje w płomieniach. Lubosz wciąż patrzy w oczy umierającego mężczyzny, nie mogąc pogodzić się z tym, że właśnie traci ostatnią nadzieję na odzyskanie córki.

Wybuchają kolejne przewody, przez które sączy się paliwo. Arek czuje swąd topiącego się plastiku. W kabinie jest coraz cieplej.

Spogląda na mężczyznę tkwiącego za kierownicą. Chciałby wydostać go z samochodu, ale gałęzie przebijające jego ciało są niczym gwoździe. Rozbrzmiewa kolejny trzask.

Arek wyskakuje z kabiny. Podbiega parę kroków i odwraca się. Języki ognia wdzierają się do wnętrza samochodu. Wędrują po kokpicie, podsufitce, aż w końcu obejmują ubrania kierowcy.

Słyszą stłumiony jęk.

Arek obserwuje teatr śmierci. Niemal na własnej skórze czuje ciepło ognia, które pali żywcem uwięzionego w środku człowieka.

Po chwili następuje wybuch. Siła eksplozji w zbiorniku paliwa wręcz podnosi samochód o kilka centymetrów. Lubosz upada na plecy. Osłania twarz rękawem.

Nie wstając z ziemi, przesuwa się jak najdalej od płonącego auta.

Wciąż słyszy wrzask.

W oddali słyszą również syreny nadjeżdżających pojazdów policji.

Okropne odgłosy cierpiącego nie robią na Luboszu wrażenia. Arek ucieka myślą do córki. Zastanawia się, gdzie jest. Czy czeka właśnie na przyjazd oprawcy? Może codziennie to właśnie ten mężczyzna daje jej jeść i pić, by mogła przeżyć kolejny dzień? Czy ucieszy się, że dzisiaj już nie będzie musiała go widzieć? Napelni ją nadzieja na ucieczkę? A może właśnie nieobecność porywacza niepokoi ją z powodu warunków i miejsca, w którym się znajduje?

Lubosz wolno sprawdza kieszenie w poszukiwaniu papierosa. Działa odruchowo; wyjmuje fajkę i zapala. Tytoń smakuje okropnie.

Deszcz przestaje padać, jakby dawał znak, że samochód, a w nim kierowca Sylwii, może doszczętnie spłonąć.

Lubosz wie, że mężczyzna, którego jazgot przestał być słyszalny, właśnie wstąpił do piekieł, jeszcze tutaj, na tym świecie i w tej rzeczywistości.

Ta wiedza nie dodaje mu jednak otuchy.

## 23

Telefon wibruje w kieszeni Lubosza. Śledczy nawet tego nie zauważa. Ratownik medyczny opatula go kocem termicznym, próbuje pomóc mu podnieść się z ziemi i mówi coś do niego, ale Arek nie zwraca na to uwagi. Wgapia się tępo w płonący samochód, przyjmując, że kierowca fiata właśnie zabiera do grobu wszystkie tajemnice związane ze zniknięciem Sylwii.

– Pójdziemy do karetki – oznajmia młody chłopak.

– Co? – odpowiada Lubosz.

– Nic panu nie jest?

Arek ponownie traci kontakt z rzeczywistością na rzecz własnych myśli. To się nie może tak skończyć – stwierdza. Przypomina sobie przesłuchanie Leszka Pałackiego, który patrząc na zdjęcia podejrzanych w sprawie zaginięcia trzech osób odnalezionych po latach w nissanie sunny, wskazał palcem na fotografię przedstawiającą Rafała Wawrasza. To właśnie tego człowieka widział na terenie huty. Wawrasz posłusznie wykonywał polecenia trudnego do zidentyfikowania mężczyzny. Czy mógł to być właśnie kierowca ducato, który porwał Sylwię ze szpitala, a wcześniej podszywał się pod księdza? A może za wszystkim stoi ktoś inny? Może ten porywacz był tylko pionkiem w o wiele większej grze? Lubosz chce wierzyć w taką wersję, ponieważ to oznaczałoby, że ktoś wciąż wie, gdzie przebywa Sylwia. Ktoś, kogo należy wytropić.

– Arek... kurwa...

Bogucki w asyście dwóch innych funkcjonariuszy zbliża się do Lubosza. Wyraźnie kuleje na prawą nogę. Stara się jednak zachować wyprostowaną postawę, ukrywając kontuzję.

– Wiedziałem, że coś odwalisz... – rzuca.

Lubosz spogląda na kolegę bez emocji, jakby właśnie wybudził się z głębokiego snu.

– To był wypadek. Sam wpakował się na drzewo – relacjonuje zdarzenia.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Ten facet raczej nie był najlepszym kierowcą.

Strażacy zaczynają gasić samochód dostawczy. Powietrze przepelnione jest słodkim zapachem zwęglonego ciała. Bogucki od razu wyczuwa charakterystyczny swąd spalonych włosów.

– Kim on był? Widziałeś go?

– Tak – odpowiada Arek. – To ten sam gość z wypadku nissana sunny.

– Ksiądz?

– Przebieraniec.

– Jesteś pewien?

– Niestety.

Bogucki odwraca głowę, przeczesując dłonią włosy. Podziela myśli Lubosza; bardzo trudno będzie ustalić, gdzie znajduje się obecnie Sylwia.

Lubosz zapala kolejnego papierosa.

– Nic ci nie jest? – pyta w końcu Marek.

– Bez zmian.

Bogucki chodzi w miejscu. Jest podenerwowany. Nagle wypala do Arka:

– Kurwa. Trzeba zmienić priorytety. Całe śledztwo jest źle prowadzone.

– To znaczy?

– Za bardzo skupiliśmy się na Sylwii. Na tym, co bezpośrednio z nią związane. Na jej porwaniu ze szpitala i tym facecie, którego... już po prostu nie ma. Z którego nic więcej nie wyciągnęliśmy.

– Bo nie zdążyliśmy.

– Tak. Nie zdążyliśmy – przyznaje Marek. – Ale to nie znaczy, że śledztwo się urywa. Może od początku szliśmy złą drogą?

– Na mnie nie patrz. Ja nie wydawałem poleceń. Wciąż jestem zawieszony.

– Ale masz szukać Trewskiego. Skup się na tym. Dostaniesz wsparcie. Ustalamy miejsce jego ostatniego pobytu.

– Chętnie. Tylko pamiętaj, co robiliśmy przez te godziny. Nie przyjechałem tutaj na wczasy.

– Gość się przekręcił. Ale mamy laboratorium. Technicy już je dokładnie sprawdzają. Mamy nowe dowody. Miejsce, gdzie wykonywane były tatuaże. Trzeba na to położyć nacisk. Musisz, Arek, się skupić. Musisz spojrzeć w głąb

siebie i zastanowić się, dlaczego ktoś chce ci zaszkodzić. Te tatuaże... Przecież ten świr stworzył komunikaty skierowane specjalnie do ciebie.

– Albo chciał, żebyśmy tak myśleli.

– Dlaczego?

– Z powodu Sylwii. Stary, to się w ogóle nie spina. Co mam ci powiedzieć? Każdy z nas założył komuś za skórę, ale nie do tego stopnia, żeby robić coś takiego. To musi być jakiś psychopata.

– Jest tutaj. – Marek wskazuje ręką na dogaszany pojazd. – Ale już z nim nie utniesz pogawędki.

– Nie masz żadnych dowodów, że to on stał za wszystkim.

Marek znowu zaczyna krążyć w kółko, co chwilę zmieniając kierunek, jakby odbijał się od ścian.

– Nic, kurwa, nie mam.

Lubosz zrzuca z siebie koc termiczny. Podchodzi bliżej Boguckiego i patrząc mu prosto w oczy, stwierdza:

– Krótkowski... Trzeba skupić się na tym grubasie.

– Bo?

– Zostawił mi kolejne akta.

– Co? Jakie akta?

– Rafała Wawrasza. Ze śledztwa w sprawie jego zaginięcia.

– Nie wierzę... I dopiero teraz mi o tym mówisz? Gość rozplywa się w powietrzu, zostawia ci akta w sprawie dawnego śledztwa. Co więcej, prowadził sprawy dwóch osób, które znalazły się w nissanie, a ty mi dopiero teraz o tym mówisz?

– To wątek poboczny. W odpowiednim czasie chciałem to sprawdzić.

– Arek, kurwa, ciebie trzeba izolować...

Lubosz chwytą Boguckiego za poły kurtki.

– Jesteś ostatnią osobą, która może mnie oceniać w tej sprawie. Wiesz doskonale dlaczego. Już sobie to wyjaśniliśmy. Więc skup się na robocie. Mam swoje tropy i działam według własnego planu. Gdy dowiedzieliśmy się, że Wawrasz był na terenie huty, że ktoś wydawał mu rozkazy, a ten od razu się podporządkował, pomyślałem o Krótkowskim.

– Bo?



– Czytałem nowe akta. To nie wygląda na case'y ze śledztwa, lecz na pamiętniki.

– Nie rozumiem.

– On pisze w taki sposób, jakby to były wspomnienia. Zna za dużo szczegółów. W sprawie akt ze zniknięcia Kmity twierdził, że takie przedstawienie faktów pozwala mu lepiej zobrazować całe śledztwo. Bzdura. Według mnie on musiał być w stałym kontakcie z zaginionymi osobami.

– O czym ty gadasz?

– Zna tyle szczegółów z ich życia, że tylko Kmity i Wawrasz sami, osobiście, mogli mu je przekazać.

– To oznacza, że...

– Że ten skurwysyn cały czas miał z nimi styczność.

– I pewnie z Sylwią też – przyznaje Marek. – Zniknął. Wystraszył się śledztwa, więc zaczął sprzątać. Ten koleś mógł być od czarnej roboty. Tylko dlaczego w takim razie zostawiał ci te cholerne wspominki?

Lubosz nachyla się nad Boguckim i ścisza głos:

– Mam swoją teorię. Krótkowski w jakiś pokręcony sposób był zamieszany w te zniknięcia. Może pomagał skurwielowi, który stoi za tym wszystkim? Może ten miał na detektywa haka i go szantażował?

– Skąd takie wnioski?

– Odpowiedź wydaje się banalnie prosta. Gdyby za tym wszystkim stał on, dlaczego zostawiałby akta? Dlaczego wręcz sam przypominał nimi o całej sprawie?

– Może to jakaś zmyłka? Tak jak z tatuażami.

– Marek, wydaje mi się, że on chciał nam pomóc.

– Co?

Arek urywa w pół zdania. Ktoś głośno krzyczy obok pojazdu. Strażacy i prokurator kotłują się przy spalonym fiacie, dyskutując głośno. Śledczy domyślają się, że ktoś przekroczył swoje kompetencje i doszło do małej scysji.

– Z jakiegoś powodu zostawił mi akta, żeby pomóc.

– Dlaczego od razu nie przeszedł do sedna?

– Musiał być pod obserwacją.

– Wszystko to dosyć mętne. Daj mi te jego zapiski. Musimy to sprawdzić.

- Nie mam ich w tej chwili.
- Gdzie są?
- Dałem takiej dziennikarce. Pomaga nam.
- Jezu... – kwituje Marek. – To jedźmy do niej po to. Według ciebie ktoś tu po sobie sprząta, więc trzeba zacząć od przyjrzenia się śmieciom.
- Jednego masz tutaj. – Lubosz wskazuje na zwęglone auto. – Sam się zutilizował. Słuchaj. Krótkowski. Jest tylko jeden powód, dla którego zniknął.
- Jaki?
- Ponieważ chciał nam pomóc.

Mijają kolejne dni, podczas których śledztwo w sprawie zaginięcia Sylwii ani drgnie. Marek przekonuje Lubosza, że policjanci pracują pełną parą, sprawdzają wszystkie możliwe tropy, ale bez efektów. Udało im się ustalić pochodzenie auta, w którym spłonął poszukiwany mężczyzna. Fiat ducato był tak naprawdę składakiem kilku innych skradzionych wozów, kupionym na czarnym rynku. Większość części pochodziła z pojazdów zarejestrowanych na Białorusi i Ukrainie. W jaki sposób samochód trafił do Polski – trudno było ustalić. Dla Marka i Lubosza istotny stał się jednak fakt, że osoba, która wykorzystywała go do pracy, doskonale obracała się w światku przestępczym, wiedziała, jak zdobyć przedmioty i urządzenia, by później trudno było ją zidentyfikować.

Danych kierowcy, który spłonął w samochodzie, nie udało się ustalić. Trafił do akt jako NN; jego ślady DNA nie pasowały do żadnej policyjnej kartoteki.

Przez kilka dni Lubosz usilnie starał się skontaktować z Marceliną, ale wciąż bez skutku. Kilka razy wydzwaniał do jej mieszkania, gdzie nikt jednak nie otwierał drzwi.

– Co ta twoja dziennikareczka odwała? – pyta Marek, parkując nieopodal bloku Marceli.

– Może wyjechała zrobić materiał? Nie mam pojęcia. Dziwnie to wygląda – przyznaje Lubosz. Patrzy na budynek, w którym Marcelina mieszka wraz z Igą, policjantką.

– Zostanę w środku. Muszę jeszcze zadzwonić – oznajmia Bogucki.

– Jesteś przekonany, że ta Iga ma dzisiaj wolny dzień?

– Tak. Dowiedziałem się, że wychodzi jej to z grafiku. Miała nockę i teraz trzy dni odpoczynku. Swoją drogą nie wiedziałem, że jest lesbą.

– Masz z tym problem?

– Nie... ale trochę szkoda.

Lubosz rusza w kierunku bloku. Używa domofonu, ale nikt nie otwiera. Postanawia wejść do środka wraz z jednym lokatorem, który wraca do mieszkania

z torbą zakupów. Nie zwraca w ogóle uwagi na Lubosza wślizgującego się między zamykające się drzwi.

Arek szybko wbiega na górę. Po chwili znajduje się przed drzwiami prowadzącymi do mieszkania Marceli. Naciska na przycisk dzwonka. Słyszy jego dźwięk wydobywający się z wnętrza. Próbuje kilkakrotnie, ale bez rezultatu. Przykłada ucho do drzwi i nasłuchuje. Wyczuwa czyjaś obecność w mieszkaniu, jakiś ruch, lekki, przytłumiony szelest.

– Marcela? Otwórz, proszę. Tu Arek.

Rozlega się szcęk dwóch zamków. W uchylonych drzwiach pojawia się Iga. Spogląda na Arka wzrokiem bazyliuszka.

– Cześć. Zastąłem Marcelę?

– Nie.

– Nie wiesz, gdzie ją znajdę? Nie mogę się do niej dodzwonić.

– Nie wiem. To już twój problem.

– Na pewno? Jeśli nie wiesz, gdzie przebywa twoja dziewczyna, to trochę słabo. Chyba że już się od ciebie wyprowadziła, co w sumie byłoby mi na rękę.

– Nie sądzę.

– Jesteś bardzo wylewna.

– Wybacz, ale zazwyczaj nie ucinam sobie pogawędek z nieznajomymi.

– Pogadaj lepiej ze swoim PMS-em.

– Prostack – prycha, ale wyraźnie się rumieni.

– Gdzie jest Marcela? – ponawia pytanie Arek.

Iga zamyka mu drzwi przed nosem. Lubosz uderza dłonią o drewnianą powierzchnię, blokując je. Przez moment siłuje się z Iga, napiera coraz mocniej, poszerzając prześwit między skrzydłem a futryną.

– Co ty, kurwa, robisz? – piszczy Iga.

– Nie przeklinaj, bo tego nie lubię. – Arek przepycha drzwi i wchodzi do środka.

– Kiedy ostatni raz widziałaś się z Marceliną? – Rozgląda się po wnętrzu.

– Wyjdź stąd!

– Bo wezwiesz policję?

Lubosz zagląda do łazienki, następnie do sypialni. Dostrzega ubrania Marceli. Kobiety nie ma jednak w mieszkaniu.

– Wynoś się stąd.

– Po co te nerwy? – odpowiada Arek. Kierując się do wyjścia, wyjmując papierosa i wkłada go do ust.

– Podobno starasz się o powrót do służby? Jeśli robisz to w taki sposób, to gratuluję.

– Dzięki za troskę.

Iga żegna go jasnym przekazem – samotnym środkowym palcem podstawionym agresywnie pod samą twarz.

– Jeśli Marcela się zjawi, daj jej znać, żeby oddzwoniła.

– A jak twoja córka? Znalazła się?

Lubosz nie potrafi sobie wytłumaczyć, dlaczego ta kobieta żywi do niego aż taką nienawiść. Już samo jej spojrzenie jest niczym kłusujący wąż, a każde wypowiedziane zdanie mogłoby zostać poprzedzone syczeniem jak u grzechotnika. Zdążył się uodpornić na docinki ludzi z pracy lub pretensje przypadkowo spotkanych osób. Jednak ostatnie słowa Igi zabolęły. W połączeniu z prowokacyjną postawą całego ciała, sztucznie wydętych warg i błakającego się w kącikach ust uśmiešku, napastliwa wypowiedź nie może po nim spłynąć. Arek gotuje się w środku, czuje ponownie dobrze znane emocje, które uczył się tłumić, przebywając w ośrodku dla policjantów, jeszcze kilka miesięcy temu.

Jeszcze kilka miesięcy temu za taką odpowiedź rozerwałby ją na strzępy. Teraz ostentacyjnie zapala papierosa, zaciąga się i wydmuchuje dym prosto na twarz kobiety, mówiąc:

– Miłego dnia.

Odwraca się i wychodzi na klatkę schodową.

Przecina chodnik i szybkim krokiem udaje się w stronę zaparkowanego samochodu.

Po chwili opada na fotel.

– I co? – pyta Marek.

– I nic – odpowiada Lubosz, wzdychając głośno. – Niby nic nie wie.

– Nie mogłeś jej docisnąć?

– Jak?

– Może dziennikarka jest w mieszkaniu?

– Byłem w środku.

– Wpuściła cię?

– Powiedzmy, że się wprosiłem.

– Arek, słuchaj, ja muszę dostać te notatki Krótkowskiego. To może być bardzo ważne.

– Nie wyczaruję ich z kapelusza.

– Tak trudno było zrobić kopię?

– Nie dobijaj mnie. Nie miałem do tego głowy.

– Okej, twój stały tekst.

Lubosz coraz częściej uświadamia sobie, że Marek po prostu go drażni – zachowaniem, ciągłym utyskiwaniem i wymaganiami. Zdecydowanie musi odpocząć od jego towarzystwa, inaczej zawarty rozejm szybko się skończy. Odnosi wrażenie, że Marek nie pomaga, a oficjalne działania policji nie wnoszą nic do rozwoju śledztwa. Arek wie, że coraz bliżej mu do szarego obywatela krytykującego działania policji niż do śledczego. Chciałby powiedzieć na głos to, co wielokrotnie słyszał od rodzin ofiar prowadzonych śledztw – nic nie robicie! Nie macie kompletnie nic, partacze. Nie ma już na to sił, nie chce kolejnych starć.

– Marcela musi się wkrótce odezwać. Zależy jej na sprawie Sylwii. Robi z tego materiał. Podobno.

– Tak sobie myślę o tej twojej dziennikarce. Żeby tylko nie wpakowała się w kłopoty z powodu tych akt.

Lubosz rozważa ostatnią uwagę Marka. Ma nadzieję, że kolega jest w błędzie i jego czarnowidztwo nijak ma się do rzeczywistości. Nagłe zniknięcie Marceli wydaje się jednak mocno niepokojące, zwłaszcza w kontekście posiadanych przez nią danych i ostatnich odkryć, według których sprawca zaginięć wyraźnie zaczął po sobie sprzątać. A jeśli mężczyzna, który zginął za kierownicą ducato, dotarł wcześniej do Marceli? – myśli.

– Dobra, jedziemy na bazę – oznajmia Bogucki, wciskając mocno gaz po zapaleniu się zielonego światła sygnalizacji.

– Po co?

- Pojawiła się ekspertyza materiału z laboratorium.
- I?
- Podobno jest grubo. Ściągnęli nawet mykologa, żeby z nami pogadał.
- Kogo? – pyta Lubosz, nie mogąc sobie przypomnieć znaczenia słowa.
- Jakiegoś fachowca od... grzybów.

## 25

Bogucki wraz z Luboszem przecinają korytarz Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach. Naprzeciw im wychodzi młody aspirant przekazujący informację, do którego gabinetu mają się udać. Po drodze śledczy spotykają również komisarza Holicę, który na ich widok podnosi białą teczkę i wymachuje nią niczym policyjnym lizakiem.

– Lubosz, dobrze, że cię widzę. Musimy pogadać o Trewskim. Czy ustaliłeś już...

– Nie teraz – przerywa mu Marek. – Czekają na nas.

– Co macie takie miny?

– Jest podobno przełom w sprawie córki Arka – odpowiada Bogucki, nie zatrzymując się.

– Dobra. Wpadnij do mnie później – rzuca komisarz do Lubosza, po czym dodaje już zdecydowanie ciszej: – Pamiętasz o umowie?

Arek ignoruje Holicę. Ma po dziurki w nosie jego żądań, oczekiwań i rozkazów. Najmniej myśli o Trewskim. W tym momencie liczy się tylko Sylwia i fakty mogące zbliżyć ich do rozwiązania zagadki jej zniknięcia.

– Lubosz! To nie był mój pomysł, wiesz o tym dobrze! – woła jeszcze Holicę za śledczym, który ma ochotę pokazać mu środkowy palec.

Aspirant otwiera drzwi do jednego z gabinetów. W środku znajduje się ogromny stół, przymocowany do ściany telewizor oraz flipchart z blokiem papieru zakreślonym notatkami pozostałymi z poprzedniej narady. Kreatywny uczestnik spotkania napisał flamastrem: „Horst to gupi ciul”. Prawdopodobnie chodziło o żart z jednego z policjantów, o którym w tych murach krążyły legendy; Arek nie miał okazji go poznać. Raczej by się nie dogadali.

Za stołem siedzi znany im biegły, Tomasz Machnacki, który od razu zaprasza ich, by usiedli. W pokoju znajduje się jeszcze mężczyzna w podeszłym wieku, w gustownych okularach. Nieznajomy jest elegancko ubrany w garnitur w kratę, przejawiający jednak oznaki minionego stylu. Uważnie śledzi zachowanie policjantów, rzuca im krótkie spojrzenia, wygląda na nieco speszzonego. Jego



głowa lekko się trzęsie. Lubosz dostrzega u mężczyzny pierwsze stadium drżenia samoistnego, choroby często występującej u osób w podeszłym wieku.

– Witajcie, panowie. Przeprowadziliśmy badania laboratoryjne i mam dla was prawdziwe rewelacje – zapewnia Machnacki. – Poznajcie również znanego profesora nauk medycznych i cenionego mykologa, pana Mikołaja Ochabskiego.

– Dzień dobry panom – mówi cicho profesor, dając znak powitalny lekkim skinieniem głowy.

Na stole leżą wiązane teczki zawierające ekspertyzy. Machnacki wskazuje palcem na jedną z nich.

– Mamy rzeczy, które stanowią precedens – oznajmia.

Lubosz nerwowo dotyka paczki papierosów schowanej w kieszeni spodni i zerka na czujki dymu podwieszane pod sufitem.

– Co dokładnie? – pyta zachrypniętym głosem.

– Uwierzcie mi, że o tym śledztwie będą pisać podręczniki kryminalistyczne.

Lubosz przysłuchuje się z uwagą. Czuje, jak narasta w nim napięcie, które zniwelować mogłaby tylko solidna dawka nikotyny. Nie interesuje go, czy sprawa zniknięcia Sylwii okaże się dochodzeniowym fenomenem; chce tylko dostać fakty, które zbliżą policjantów do odnalezienia jego córki.

– Musieliśmy poradzić się pana profesora, ponieważ dochodzenie jest bardzo nietypowe w pewnym aspekcie – kontynuuje Machnacki. – Ale do rzeczy. Zanim oddam głos profesorowi, zerknijcie na raporty.

Biegły wręcza Luboszowi i Boguckiemu wyniki ekspertyz DNA. Pożądane ślady materiału genetycznego znalazły się w odkrytym przez śledczych laboratorium. Technicy dopasowali je i porównali z wcześniej pobranymi próbkami. W środku znajdowało się DNA pasujące do każdego z uczestników wypadku samochodowego, czyli Sylwii Lubosz, Rafała Wawrasza oraz Mateusza Kmity. Co więcej, zebrany materiał dowodowy wskazuje, że w laboratorium przebywał również kierowca, który później, podczas ucieczki, spłonął w ducato.

– Wszystkie zaginione osoby musiały znajdować się w tym laboratorium.

– Tyle już wiemy – przyznaje Lubosz.

– Ale nie wiecie najważniejszej rzeczy. Co dokładnie robił i planował przestępca odpowiedzialny za zniknięcie twojej córki, Arku.

– I już niestety od niego osobiście się tego nie dowiemy – dodaje Marek.

– Tutaj raczej się mylisz – odpowiada z przekonaniem Machnacki.

– Słucham cię uważnie.

– Badania wykazały, że w pomieszczeniu najwięcej było śladów DNA i daktyloskopijnych jeszcze jednej osoby. Nie mamy żadnych danych, by móc je zestawić z zebrany materiałem.

– Czyli uważasz, że to nie ten kierowca? – dopytuje Marek.

– Jego odcisków jest bardzo mało. Na wszystkich narzędziach laboratoryjnych przeważają niezidentyfikowane ślady daktyloskopijne. To oznacza, że wciąż nie macie osoby, która działa w tej sprawie najwięcej.

– Kurwa – przeklina siarczyście Arek, zapomniawszy, że nie jest w pomieszczeniu sam. Profesor otwiera szeroko oczy zaskoczony żywiołową reakcją śledczego. Po chwili spuszcza głowę, wgapiając się w blat stołu, jakby chciał dać wyraz pogodzeniu się z tym, że właśnie wszedł do środowiska o określonych prawach, w które nie należy ingerować.

– Wiedziałem, że to nie koniec! – Bogucki uderza pięścią w stół.

Lubosz doskonale potrafi rozpoznać swoje stany emocjonalne. Nauczył się tego, spędzając wiele czasu na terapii. Przyrównuje je często do naczynia napełnianego odpowiednim płynem. Ostatnio była to czarna, gęsta smoła, spowalniająca ruchy i trzeźwe spojrzenie na świat, breja oznaczająca beznadzieję. Teraz Arek czuje się, jakby ktoś wlewał mu do organizmu eliksir życia, doładowany energetyk niepozwalający mu usiedzieć w spokoju. Gdzieś, w nieokreślonym miejscu, nadal przebywa na wolności mężczyzna, który wyrządził Sylwii wielkie zło.

– Arek, trzeba jak najszybciej znaleźć tę twoją dziennikarkę – orzeka Bogucki. – Zdjąć odciski palców i zestawić je z laboratorium. Wtedy będziemy mieć Krótkowskiego jak na dłoni.

– Albo i nie.

– Jego odciski muszą znajdować się na notatkach, które pozostawił. Tak samo jak łapska, które kładł na sprzętach.

– Widzę, że już znalazłeś sprawcę.

– Arek, zacznij wreszcie trzeźwo myśleć. Facet wie wszystko o zaginionych osobach. Zostawia zapiski z rzekomo prowadzonych prywatnych dochodzeń jako

detektyw. Licencję już dawno mu cofnęli. Kiedy jest nam najbardziej potrzebny, rozplywa się w powietrzu. Czego jeszcze chcesz?

Machnacki unosi rękę.

– Panowie, spokojnie. Załatwicie swoje sprawy później. To nie koniec sensacji.

Śledczy ponownie zamieniają się w słuch. Technik kontynuuje:

– Zbadaliśmy teren i zabezpieczyliśmy dowody na miejscu. Mieliście cholerne szczęście. Ten gość, który spłonął w ducato, mógł w każdej chwili was zabić.

Lubosz spogląda pytająco na Machnackiego.

– W całej piwnicy podłożono ładunki wybuchowe, które po zdetonowaniu rozniosłyby budynek w drobny mak.

Bogucki otwiera usta.

– Zapalnik umieszczony był w łazience, za bojlerem. Myślmy, że to zabezpieczenie, by w odpowiednim momencie zniszczyć wszystkie dowody. Prawdopodobnie mężczyzna nie zdążył dostać się do zapalnika.

Na moment zapada cisza. W pomieszczeniu słychać tylko przytłumione głosy dochodzące z korytarza oraz wentylator pracujący w laptopie należącym do Machnackiego. Funkcjonariusz spogląda na zaskoczonych kolegów, dodając:

– Panowie, mieliście po prostu cholerne szczęście.

Sytuacja stała się podbramkowa, ale nie beznadziejna. Bywał w gorszych, ale i tak czuje nóż na gardle. Jak długo jeszcze uda mu się prowadzić tę grę? Czy zdąży przed pojmaniem? Co mają śledczy, a co wciąż jest dla nich zagadką?

Odnalezienie laboratorium komplikuje plan. Mocno komplikuje. Zwłaszcza że ten idiota kolejny raz spartolił robotę. Miał zniszczyć wszystkie dowody. Dlaczego tego nie zrobił? Jedyłą odpowiedzią może być obecność Lubosza na miejscu. Może śledczy już odnaleźli piwnicę i dlatego nie zdetonował ładunków wybuchowych? Zresztą, sam go przed tym przestrzegł. Przed śmiercią Lubosza. Ma inny pomysł, jak go ukarać, dlatego do pewnego czasu funkcjonariusz musi pozostać nietykalny. Miał nadzieję, że tatuaże zrobią swoje. Jednak zdarzył się wypadek. Chciał inaczej się z nim zabawić. Później niestety musiał improwizować, co w zasadzie całkiem dobrze mu wychodzi.

Może najwyższy czas odejść? Wyjawić tajemnice, wywołać prawdziwą burzę medialną, poruszyć widzów na całym świecie? Czy to naprawdę może się udać? Do tego przecież dążył przez całe życie. Czy na pewno? Czy to, co robił, nie wymknęło się jednak spod kontroli?

Nie, jeszcze nie pora. Musi zakończyć to, co rozpoczął. Dopiero wtedy docenią jego dzieło, opus magnum, rolę, którą odegrał przypadkiem; to los sprawił, że zbieg okoliczności ukształtował jego psychikę, dał do rąk narzędzia i napełnił go odwagą do czynienia rzeczy wyjątkowych. Nie myślał o sobie we wzniosłych kategoriach, jak inni – mordercy, którzy sądzą, że są artystami *ars mortis*. Pragnął tylko pokazać tym ludziom, że nie doceniają tego, co przyniosło im życie, czyli wypadek komórek, mieszanina pierwiastków i materii. Chcieli zniknąć z tego świata? Potrafi ich wymazać, ale za karę będą trwać wiecznie. Utrwali ich jestestwo jak zamkniętego w bursztynie chrabąszcza.

Nie przypuszczał, że śledczy są tak blisko. Byłoby całkiem inaczej, gdyby nie ten grubas. Niepotrzebnie obdarzył go zaufaniem. Miał za słabą psychikę. Nie potrafił wypełnić planu. Gdyby wcześniej odkrył jego brak lojalności, może zapobiegłby podrzucaniu przez niego kolejnych tropów, z których skrzętnie korzystała policja? To był błąd, że dopuścił go do przetrzymywanych. Grubas spędzał z nimi za dużo

czasu. Za bardzo się zaprzyjaźnił, za dużo gadał. W dodatku spisywał ich historie, co jest równoznaczne ze zbieraniem materiałów na mnie – myśli. Co chciał z nimi zrobić? A może cały czas grał, bał się haków, które na niego zebrałem, ale tak naprawdę zbierał dowody, aby mnie zniszczyć? Prywatny detektyw, który rozszyfrowałby moje zamiary oraz ujawniłby dotychczasowe czyny, byłby sławny. O to chodziło tej parszywej świni.

Naraz zaczyna się trząść. Ile jeszcze wytrzyma? Przez ostatnie kilkanaście lat był pewny siebie, wiedział, co robi, co zamierza i nie oglądał się za siebie. A teraz? Zaczyna tracić panowanie nad sobą. Nie chce skończyć w zakładzie karnym jako psychopata, lecz człowiek, za którym stoją cele wyższe, motywacje, za które będzie do końca życia przyjmował peany. A potem ma nadzieję rozpaść się tak jak ofiary na milion kawałków, narodzić się na nowo w innej postaci, trwać i jednoczyć się z biomaterią wyznawców, naśladowców, którzy pójdą w jego ślady, kultywując dzieło życia.

Czy jednak będzie potrafił to zrobić? Łapie się na tym, że za bardzo kocha życie, te maksymalne emocje, jakich doznaje dzięki temu, co czyni w ukryciu. Te mrozące krew w żyłach chwile, gdy może zostać zdemaskowany, a później przeogromne podniecenie, gdy patrzy przyszej ofierze prosto w oczy, rozpoznaje to błagalne spojrzenie. Ta władza daje mu ogromną siłę i satysfakcję niemogącą się równać z niczym innym. Gdy był nastolatkiem, przerażała go myśl, że już nie będzie w stanie spojrzeć na kobietę z pożądaniem, że fizjologia odmówi posłuszeństwa, a seks będzie tylko wspomnieniem. Teraz wie, że nawet zaspokojenie potrzeb seksualnych ani w jednym procencie nie pokrywa się z podnieceniem, jakie odczuwa, pracując nad swoim planem. Jest w pełni świadomy własnych słabości, wie, że będą opisywać jego dewiacje, przeniesienie popędu na inny obiekt, blokady, przeanalizują dzieciństwo, rolę matki, seksualne frustracje, traumę... Niech piszą, badają, głowią się, może nawet wysnują zgodną interpretację i naprawdę zrozumieją, dlaczego tak postępował. Nigdy jednak nie poczują tego, czego sam doświadcza.

Lubosz zdaje sobie sprawę, że to nie koniec rewelacji związanych z odkryciem laboratorium, w którym poszukiwany przetrzymywał Sylwię, Wawrasza i Kmitę. Inaczej śledczy nie sprowadzaliby do siedziby profesora Mikołaja Ochabskiego. Arek spodziewa się, że ten zaraz zacznie mówić na temat znalezionych grzybów, ale wciąż wiele do powiedzenia ma jednak Machnacki.

– Dokonałiśmy bardzo dokładnych przeszukań. Oto zdjęcia. – Tomasz przesuwa laptop na środek stołu, ale nie podnosi klapy. – Są to miejsca, gdzie przetrzymywano zaginione osoby. Arku, nie wiem, czy jesteś gotowy, by to oglądać?

– Jestem gotowy na wszystko – odpowiada Lubosz.

– W kolejnej piwnicy znaleziono włazy. Po otwarciu prowadziły do pomieszczeń położonych dalsze dwa metry poniżej poziomu gruntu.

Machnacki wybudza komputer z uśpienia, wpisuje hasło do systemu, po czym otwiera program do przeglądania zdjęć. Następnie podaje laptop Arkowi.

Lubosz klika w strzałkę na klawiaturze, przerzucając cyfrowe fotografie. Spogląda na mroczne wnętrza oświetlone lampą błyskową. Wilgotny beton, doły dwa na dwa metry, przypominające bardziej zbiornik na odchody niż miejsca, w których mogły egzystować jakiegokolwiek istoty. Prowadzą do nich drabinki przytwierdzone pionowo do ściany. Do sufitu przymocowano plafon, ale wewnątrz celi nie ma żadnego włącznika, co oznacza, że o świetle decydował ktoś na górze. W centralnym punkcie podłogi usytuowana została kratka ściekowa. Kolejne zdjęcie niemal daje odpowiedź, w jaki sposób sprzątano po załatwionych potrzebach fizjologicznych przetrzymywanych osób; do kranu przytwierdzono wąż, którym z góry polewano cały loch. Lubosz, oglądając te zdjęcia, niemal widzi biedną Sylwię leżącą na wąskiej pryczy przymocowanej wzdłuż jednej ze ścian. Nie czuje, jak mocno zaciska palce na obudowie laptopa.

– Mówił pan, trzy lata w takich warunkach? – odzywa się niespodziewanie profesor Mikołaj Ochabski. – Toż to istnie okropieństwo.

– Tego jeszcze nie wiemy. Nie możemy stwierdzić, ile czasu zaginione osoby spędzały w tej piwnicy – wyjaśnia Machnacki.

– Pan jest ojcem jednej z ofiar? – To pytanie mykolog kieruje do Arka.

– Kto to jest? – zwraca się Lubosz do Tomasza, ignorując profesora.

– Nazywam się Mikołaj Ochabski, ale to raczej pana nie zainteresuje – odpowiada mężczyzna, kręcąc się na krześle, jakby próbował zająć optymalną pozycją do kontynuowania wywodu. – Poproszono mnie o wsparcie merytoryczne z powodu niesamowitych odkryć, które panowie oraz technicy policyjni poczynili w tym przykrym dla wszystkich miejscu. – Spogląda na Lubosza. – Wyczuwam pańską niechęć. Rozumiem, że doświadczony śledczy, w dodatku uwikłany osobiście w tę dramatyczną historię, niechętnie słucha mądrzenia się jajogłowego, bo domyślam się, jak jestem postrzegany tutaj, ale proszę mi wierzyć, że chcę pomóc. A jeśli wysłuchają mnie panowie do końca, gwarantuję, że szybko dojdą panowie do wniosku, że moje doświadczenie i wiedza, którą zaraz przekażę, będą kluczowe w waszym śledztwie. A więc?

Lubosz milczy. Potwornie chce mu się palić. Ten zgubny nałóg zaczyna go coraz bardziej irytować. Nie może skupić się na niczym, jeśli w powietrzu nie rozsuwa się dym palonego tytoniu.

– Proszę kontynuować, profesorze – mówi Bogucki. – Słuchamy.

– Czy panowie zdają sobie sprawę, co tak naprawdę odnaleźli na płótnach w jednej z piwnic? – pyta Ochabski.

– Chcemy się dowiedzieć. Na pierwszy rzut oka była to po prostu pleśń i jakieś szczepy grzybów. Domyślam się, że ktoś stworzył odpowiednie warunki do ich rozwoju.

– Dokładnie. Osoba, która wykonała całą konstrukcję, ma wiedzę na temat uprawy grzybów i ich odmian w zakresie tak zwanych grup. Ten materiał, który panowie znaleźli, utrzymywał odpowiednią wilgotność w celu stworzenia mycelium, czyli grzybni. Nie jest to jakąś wielką sztuką, bowiem grzyby mogą rozwijać się na różnego rodzaju podłożu. Może to być ściółka leśna, kora drzewa, konkretny rodzaj gleby, żywe drzewo, a nawet larwy owadów. Trzeba uświadomić sobie jedną bardzo ważną rzecz, niezauważalną dla laika. Grzyby jako to, co widzialne, czyli organizmy bezzieleniowe znane większości w postaci bytowania w lesie czy na łąkach, składające się z kapelusza, kołnierza, trzonu, blaszek i bulwy,

to tak naprawdę owocniki grzybów. Oczywiście mamy różne odmiany grzybów i dziesiątki klasyfikacji, którymi nie chcę tutaj panów zanudzać. Dla przykładu i zobrazowania skali podam tylko, że to, co widzimy w obskurnych miejscach, na zawilgoconych ścianach, też jest grzybem, tak samo jak grzybem są pasożyty atakujące na przykład ludzką skórę. Ale nie będziemy roztrząsać naszego problemu w takich kategoriach.

Śledczy nie ukrywają lekkiego zniecierpliwienia, wiercąc się na krzesłach i przecierając twarz dłońmi. Słuchają wywodu profesora, zdając się być myślami całkiem gdzieś indziej.

– Kontynuując, liczą się zarodniki, tak zwane spory, wyrosłe z grzybni, która potrafi kształtować się jako rozbudowane, silne włókna, tworząc korzenie i bardzo mocne wrzeciona. Wyrosłe w następstwie trzony potrafią być mięsiste i naprawdę rozwinięte, z niezliczoną siecią rozgałęzień. Mówiąc o takich grzybach, ze szczegółowo zaplanowanym mycelium, dokładnie kontrolowanym, najwyższy czas przejść do szybkiego podziału grzybów ze względu na sposób odżywiania. Te hodowane w tkaninach znalezionej w piwnicy to saprotrofy.

– Jak profesor się domyśla, niewiele nam to mówi – oświadcza Lubosz.

– Saprotrofy, czyli organizmy cudzożywne. W zbadanej biosferze, którą stworzono w laboratorium, występowały odmiany grzybów zaliczanych do reducentów oraz destruentów.

– Błagam...

– Reducent od redukować, a w tym przypadku bardziej od *reduco*, czyli podporządkowywać oraz destruent, analogicznie „burzyciel” od *destruo*, niszczyć. To właśnie do nich należą saprofity. Przytoczyłem tylko wyższą klasyfikację. Są to po prostu organizmy czerpiące pokarm z martwej materii organicznej.

– Arku, w laboratorium znaleziono twoje DNA... – wtrąca Machnacki.

– Nie rozumiem.

– W naczyniach i próbkach oraz na kombinezonie znaleziono twój naskórek, włosy, a nawet paznokcie – wyjaśnia Machnacki.

Arek nie wierzy w to, co właśnie usłyszał. Skąd jego materiał biologiczny wziął się w piwnicy, w której przetrzymywano Sylwię?

– Najwięcej twoich śladów DNA odkryto na kombinezonie, w jego wewnętrznej części. To oznacza, że...



– Pozwoli pan, że ja to wyjaśnię. Już bez karkołomnych wywodów i dygresji. Panie Arku, osoba, której szukacie, karmiła grzyby pana naskórkiem i paznokciami w jednym celu. Aby te żywe organizmy mogły się przygotować.

Lubosz słucha otępiały. Pyta przez ściśnięte gardło:

– Przygotować do czego?

– Do pośmiertnego rozłożenia materii całego pańskiego ciała.

Marcela spogląda na telefon. Dziesiątki nieodebranych połączeń, głównie od Arka. Gdyby tylko mogła oddzwonić...

Napada ją dręcząca myśl, że może należało porzucić całą tę cholernie brudną sprawę. Może powinna skupić się na rzeczach ważniejszych. Jej mama zawsze powtarzała, że lepiej próbować utrzymać się na powierzchni własnego jeziora, nawet jeśli woda jest bardzo zimna, niż taplać się w obcym bagnie. Sprawa zaginięcia Sylwii ją przerasta. Dziennikarka zaczyna żałować, że w ogóle poznała Lubosza.

Gdyby nie on...

Teraz z przerażenia nie może wykonać ruchu. Jak dotąd, szła przez życie po jasno wyznaczonej ścieżce, a obecnie ma wrażenie, jakby ktoś próbował usunąć jej grunt spod stóp.

Ten strach... tak bardzo paraliżuje. Wszystkie fakty, zebrane razem, składają się w niepokojący obraz. Wszystko posypało się jak domek z kart. Miała nadzieję odetchnąć, skupić się na tym, co podstawowe, by dać z siebie tyle ciepła, ile tylko jest w stanie. Nie tak to sobie wyobrażała. Wpadła w jeszcze większy mrok, z którego nie było drogi wyjścia.

Ma jednak notatki. To jedyny sposób, by zająć czymś głowę. Jeśli przynajmniej nie będzie w stanie skupić się na treści, łatwiej uda jej się zasnąć. Na to liczyła. Notatki Krótkowskiego chciała wyrzucić, pozbyć się tych okropnych, zduszających historii. Wciąż chce je spalić i już nigdy więcej nie zobaczyć Lubosza. W sytuacji, w której się znalazła, przypuszcza, że ponowne spotkanie z Arkiem stanie się czymś niemożliwym.

Coś natomiast pcha ją wciąż do tych zapisków. Spojrzy w nie jeszcze raz. Ostatni. Może dzięki temu dowie się, co tak naprawdę dopadło Sylwię, Wawrasza i Kmitę – ofiary własnych pragnień, przypadku i niewłaściwych ludzi spotkanych na swej drodze.

Ten ostatni raz.

A później już nigdy nie zobaczy Lubosza.

# **CZĘŚĆ DRUGA**

# 1

Sprawa Wawrasza była inna niż wszystkie. Ustaliłem bardzo wiele, w tym dokładny moment, w którym Rafał Wawrasz, listonosz z Bystrzycy Kłodzkiej, rozpląnął się w powietrzu. Tak przynajmniej mi się wydaje. Na pewno to była chwila, w której chciał zniknąć na zawsze, chciał, aby ten świat go przetrawił i wymazał, bo na pamięć ten człowiek nie zasługiwał.

W fakty, które zdobyłem, trudno uwierzyć. Jakkolwiek jednak by brzmiały, musicie dać im wiarę. Bo tylko zaufanie, bezgraniczna wiara doprowadzi do końca tego śledztwa.

Jak odnotowano w aktach Wydziału Kryminalnego w Kłodzku, Rafał Wawrasz wyszedł z domu około godziny szóstej trzydzieści, w piątek osiemnastego lipca dwa tysiące ósmego roku. Złożył podpis w placówce Poczty Polskiej, odebrał przesyłki, głównie listy, widokówki oraz koperty z lichymi emeryturami wyczekiwanymi przez staruszków, które upchał do skórzanej torby. Później już nigdy więcej nikt go nie widział. Jak mówią niektórzy – rozpląnął się w powietrzu. Czy to możliwe? Raczej nie, dlatego robię to, co robię. Szukam prawdy. Gdy zabrałem się do poszukiwań, wiedziano niewiele, tyle tylko, że w toku początkowych czynności policyjnych znaleziono kopertę, którą miał dostarczyć adresatowi właśnie Wawrasz. Wewnątrz powinna znajdować się gotówka przeznaczona na wypłatę emerytury. Koperta była jednak otwarta i pusta.

Jedna z teorii zakłada, że ktoś napadł na listonosza. Chciał zabrać mu torbę z pieniędzmi. Może doszło do bójki? Może Wawrasz miał w ręce akurat tę kopertę, która wypadła, a złodziej wyjął z niej zawartość, torbę zaś z resztą przesyłek zabrał ze sobą.

Druga koncepcja jest rozwinięciem pierwszej. Uznano, że skoro torba nigdy się nie odnalazła, złodziej zabił Wawrasza i ukrył ciało. Następnie zniknął z miasta.

Trzecie rozwiązanie bardzo spodobało się lokalnej policji, ponieważ było wygodne – idealne do szybkiego umorzenia śledztwa, odłożenia akt do archiwum, by tam w ciszy mogły obrastać kurzem. Podejrzewano, że Rafał Wawrasz po prostu uciekł z torbą gotówki. Zaszył się gdzieś, pobalował, pieniądze szybko się

skończyły, wtedy miał się różnych zajęć, pracował na czarno, w ukryciu przed skarbowką, w cieniu tego świata.

Jest jednak jeszcze czwarta koncepcja.

Nieznana nikomu.

Zakładająca, że Rafał Wawrasz był królem życia. Ale tylko przez chwilę.

Że ten z pozoru biedny listonosz to również znakomity aktor.

Niektóre sprawy zaszły jednak za daleko.

Na tyle, że Rafał Wawrasz wręcz pragnął, by ktoś go wymazał. Raz na zawsze.

Ale po kolei.

## 2

Wawrasz oglądał telewizję, siedząc w starym, głębokim fotelu. Mebel był już mocno wysłużony. Mężczyzna użytkował go od lat. Lubił go za miękkie oparcie, wygodne siedzisko i ruchomą podstawkę pod nogi. Za naciśnięciem jednego guzika mechanizm fotela uruchamiał się, zmieniając pozycję na półleżącą. Tuż obok na stoliku leżał pilot oraz stała puszka piwa.

Można powiedzieć, że Wawrasz miał nudne życie, z którym nie potrafił się pogodzić. Nie potrafił też jednak znaleźć w sobie tyle odwagi i siły, by cokolwiek zmienić. Czterdziestoletni kawaler pozostawał na utrzymaniu Poczty Polskiej i swojej mamy, z którą dzielił dom, ceglana bryła z płaskim dachem. Matka mieszkała na górze, bo musiała mieć widok na ulicę i innych sąsiadów, których obserwowała nieustannie, podpierając się na wytartych parapetach. Wawrasz zaanektował parter i odrębny garaż służący jedynie za rupieciarnię. Nie stać go było na zakup samochodu, ale wcale go też nie potrzebował. Wystarczył mu rower, którym bez problemu potrafił dotrzeć do każdego baru w mieście. Nie uważał się za pijaka, mimo że przepijał znaczącą część wypłaty. Na jego koncie co miesiąc pojawiała się suma dwóch tysięcy stu czterdziestu trzech złotych, niekiedy wpadł jakiś dodatek.

Czasami, gdy już wypił za dużo, zwłaszcza w piątkowy wieczór, ustawiał głośniejszą dźwięk telewizji, by przygłucha matka go nie słyszała, i wył jak pies. Zaciskał pięści, walił nimi po fotelu i kanapie, na której często spędzał całe noce, ponieważ nie miał już sił, by zawlec się do łóżka. Każdego dnia, gdy spoglądał w lustro, uświadamiał sobie, że życie gdzieś mu uciekło. Że już nie będzie powrotu do tego, co było. Już nic nie da się naprawić.

Nie cieszył się niczym. Niejakie zainteresowanie przejawiał jedynie, gdy chodziło o picie alkoholu, oglądanie meczów i teleturniejów oraz pornografii w internecie, co również dodatkowo go frustrowało i przypominało mu o samotności. Łapał się na tym, że patrzy na nagie wirtualne kobiety niczym nastolatek... wtedy uświadamiał sobie, jak bardzo jest żałosny w swoim jestestwie. Życie tak się potoczyło – usprawiedliwiał się. Tak miało być. Zostały mu tylko fantazje z erotycznych filmów, które, oglądane na monitorze kineskopowym

i komputerze z przedpotopową konfiguracją, często zrywało z braku wydajności PC oraz również z powodu słabego łącza internetowego.

Wszystko jest do dupy – myślał wtedy. Wiedział też, że idealnie wpasował się każdym aspektem w peryferyjne życie w Bystrzycy Kłodzkiej. To miasto było tak brzydkie, tak ohydne i brudne, że wielokrotnie zastanawiał się, dlaczego w ogóle przyjeżdżają tutaj turyści. Zaniedbane uliczki, architektura z przypadku, każdy budynek z innej parafii, stare elewacje, wałające się wszędzie psie gówna i hordy psów, najczęściej bezpańskich lub puszczonej samopas. W ciągu dziesięciu lat pracy zawodowej pięciokrotnie musiał udać się do lekarza, by dostać zastrzyk z surowicy przeciw ich ugryzieniom. Nie cierpiał tych „sraczy”. W ogóle nie lubił zwierząt. W sumie ludzi też nie lubił.

Dopijał właśnie czwarte piwo. Najwyższa pora, by przejść na coś mocniejszego, zwłaszcza że była sobota. Mógł więc odespać kaca, a w południe podleczyć go rosołem od matki. Niedzielny obiad u niej „na piętrze” był w zasadzie jedną z nielicznych okazji, kiedy spędzali razem czas. O ile matka była bardzo ciekawska względem innych ludzi, to do życia swojego syna po prostu się nie wtrącała. Pomimo skończonych czterdziestu lat wciąż był jej oczkiem w głowie, ukochanym synusiem, który mógłby, co prawda, częściej trzymać się jej spódnicy, ale wiadomo... Rafałek ma już swoje życie. Nie komentowała jego późnych powrotów do domu ani też nadmiernego picia.

– Panie! – mówiła bardzo głośno. – Całe szczęście, że nie kurzy. Bo to pieroństwo straszne. A że lubił się napić... Kto nie lubi? A facet to musi. Tak już ten świat jest stworzony. Mam nadzieję, że go pan odnajdzie.

Czasami mocno go irytowała, namawiając, by poszedł do kościoła. Robiła mu wyrzuty, że nie chodzi na msze. Twierdziła, że pan Bóg go za to ukarze.

Wawrasz omijał kościoły z dwóch powodów. Po pierwsze po sobotniej libacji nie miałby sił, by zwlec się na mszę świętą, po drugie szkoda mu było rzucać drobne na tacę. Wolał za to kupić piwo. A nie chciał być obgadany przez innych, że taki sknerus albo że nie ma pieniędzy.

– Pogubił się totalnie ten chłopak – opowiadał miejscowy proboszcz. – Chłopak? Co ja gadam, stary koń. Kobieta by sobie znalazł, rodzinę założył, może to trzymałoby go w pionie? Jeszcze tej zimy, przed jego zniknięciem natknąłem się na Wawrasza przed domem, podczas kolędy. Nie zdążył się ukryć przede mną, dzikus jeden. Zapytałem go wprost, bo z ludźmi to trzeba bezpośrednio. Tak mu

mówię: „Czemu ty, Rafale, matce zmartwień przysparzasz i do kościoła nie chodzisz?”. A on mi na to tylko: „Bo ślisko jest”. Heh, ślisko, to nie przyjdzie... Taki dowcipniś.

Miał też inne pomysły na wydanie drobnych. Na poczcie był punkt Lotto, więc czasami „puszczał” kupon, a najczęściej kupował zdraпки. Lubił te chwile emocji, gdy jednogroszówką pocierał o kartonik, odsłaniając kolejne wydrukowane elementy. Największą wygraną było dwieście złotych. Cieszył się jak dziecko, opowiadał każdemu w pracy o swoim szczęściu.

Zachodził też do pobliskiego baru, mordowni lejącej piwo za cztery złote, w której stały automaty do gier. Wrzucał niekiedy pięćdziesiąt złotych, ustawiał grę za najniższą stawkę i siedział tak przez trzy godziny, wgapiając się w przesuwające się na ekranie rzędy owoców. Był to okres jeszcze przed ustawą hazardową, gdy automaty do gier można było znaleźć w prawie każdym barze.

– Wawrasz? Dziwny facet, z kompleksami, nasz listonosz – mówił właściciel lokalu. – Przychodził tu często, ale z nikim się nie zaprzyjaźniał. Ignorował próby rozmowy. Trochę był wyniosły, nie wiem... eee... zarozumiały? Ale nie miał wrogów, to na pewno. Ile to razy musiałem go wynosić na zewnątrz, bo zasnął albo przy maszynie, albo nad stolikiem. W tygodniu też wpadał, ale rano zawsze był na posterunku. Czy słońce, czy kac, roznosił listy. Chciałem mu nawet starego simsona sprzedać. Za bezcen. Żeby szybciej robotę mógł skończyć. I nie musiałby ciągle na tym rowerze, który przeważnie i tak trzeba było prowadzić, bo widzi pan, jakie tutaj podjazdy u nas. Popatrzył wtedy na mnie zaskoczony i odparł, że jak skończy wcześniej, to co on będzie robił przez resztę dnia.

Wawrasz wstał z fotela i poszedł do kuchni. Połowę szklanki wypełnił wódką, po czym wlał odrobinę soku jabłkowego. Wrócił do pokoju, odłożył drinka i rozsiadł się w fotelu. Upił spory łyk. Zauważył, że ma jeszcze chwilę. Włączył więc telegazetę i sprawdził wyniki meczów. Po spożytej dawce alkoholu pikselowe napisy wydawały się niewyraźne. Musiał wstać i podejść bliżej, by odczytać rezultaty spotkań.

W końcu wybiła upragniona godzina.

Ostatnie emocje tego dnia.

Przełączył na kanał Polsatu.



### 3

Poglądził swój kupon Dużego Lotka. Zawsze skreślał te same liczby: 3, 21, 26, 36, 39 i 45. Nie miały one żadnego głębszego znaczenia. Po prostu kiedyś przeczytał artykuł o różnych systemach gry i zdecydował się zawsze obstawiać te same liczby. Robił to już od kilku lat. Niektórzy określali tę grę mianem podatku od głupoty. Rafał Wawrasz zazwyczaj był zawiedziony wynikiem. Liczyły się jednak emocje tuż przed losowaniem.

– Przed nami wielki finał. Do wygrania kwota rzędu trzydziestu czterech milionów złotych. Chyba już nikt nie ma wątpliwości, o które losowanie chodzi – zabrzmiał ładny głos prezenterki.

– Takie pieniądze są dziś do wygrania w Dużym Lotku – dopowiedział mężczyzna, którego frywolny styl bycia działał Wawraszowi na nerwy. – Aniu, czyli co? Życzymy powodzenia.

– Trzymamy kciuki!

– I startujeeeeemyyyy!

Wawrasz upił kolejny łyk wódki. Z przykrością stwierdził, że szklanka za szybko zrobiła się pusta, ale w tamtej chwili nie mógł wyjść do kuchni.

– W kasecie maszyny losującej znajduje się czterdzieści dziewięć kolejno ułożonych kul. Komora mieszania jest pusta. Zwalniamy blokadę.

Rozbrzmiewa charakterystyczny dźwięk uderzających o siebie kuleczek.

– I losujemy sześć liczb!

Wgapiał się w pędzące we wszystkie strony kolorowe kuleczki: różowe, niebieskie, żółte, zielone i pomarańczowe. Przypominały mu pierwszy etap zapłodnienia, gdy plemniki próbują utorować sobie drogę do jajników, o którym wieki temu opowiadała nauczycielka biologii. Nie potrafił odpowiedzieć, dlaczego mieszające się kule Lotto kojarzą mu się z prokreacją.

Co rusz przenosił wzrok na swój kupon, na nierówno skreślone długopisem liczby. Najbardziej nie ufał zasiadającej w studio komisji, która obrosła legendami. Wiele było teorii na ich temat: że są podstawieni, że to ustawione, że to nagrane i zmontowane z różnych dni, ktoś nawet wysnuł teorię, że komisja jest

hologramem emitowanym podczas każdej gry. A i tak najbardziej ciekawił wszystkich jeden fakt – ile zarabiają za ten moment kontroli losowania.

Lubił marzyć, napawał się fantazjami, w których zostaje milionerem. Widział się na plaży, w tropikalnym kraju, gdzie opalone dziewczyny podawały mu drinka. Siedział na leżaku, mocząc nogi w ciepłym oceanie. Tak... mógłby to zrealizować, wystarczyłaby piątka trafionych liczb. Ten jeden, jedyny raz poszedłby do kościoła i ostentacyjnie wrzuciłby na tacę plik banknotów. Chciałby wtedy widzieć miny wszystkich naokoło. Albo wszedłby do baru i postawił kolejkę, a potem następną. A gdy klienci pytaliby się, co się stało, Wawrasz uniósłby kolejny kieliszek i zostawił pytanie bez odpowiedzi. Może wsparłby najbiedniejszych mieszkańców Bystrzycy? Czasami aż go coś ścisnęło w środku, gdy przekazywał rentę schorowanym osobom... Pomaganie byłoby fajne. Tak, na pewno pomógłby potrzebującym.

Do wygrania była rekordowa suma trzydziestu czterech milionów złotych. Po opodatkowaniu zostałaby kwota dwudziestu dziewięciu milionów i siedmiuset tysięcy złotych. A może i więcej, bo tuż przed zamknięciem kolektur, gdy w grze pojawia się imponująca kwota wygranej, zawsze motywuje to ludzi do wzięcia udziału w losowaniu. Wawrasz miał już obliczony każdy element zwycięstwa. Na czas losowania Lotto żył marzeniami.

Stworzył nawet swój pomysł na tak zwane obywatelskie losowania. Powinni to opatentować. Losowanie po numerze PESEL. Jeden los to pięć złotych. Zwycięzca zgarnia wszystko. Cztery gry na miesiąc dawałyby czterdziestu ośmiu szczęśliwych milionerów rocznie. Szansa na wygraną wzrosłaby zdecydowanie. Dlaczego to nie jest rozwiązane w taki sposób?

Maszyna zasysała kolejne kulki, a prowadząca po chwili zaczęła czytać:

– Wylosowane liczby to: czterdzieści pięć, trzydzieści dziewięć, trzydzieści sześć, dwadzieścia jeden, trzy i dwadzieścia sześć.

– Kolejne miliony trafiają do naszych graaaaaaczyyyy – podsumował prowadzący, wykonując wyuczone gesty ręką. Był to aktor, Daniel Wieleba, ale tego Wawrasz nie mógł wiedzieć.

– Oczywiście wygrywają tylko ci, którzy grają – wtórowała mu kobieta.

Następnie odegrali zaplanowaną scenkę kłótni o to, kto z nich odczyta jeszcze raz wyniki wszystkich gier.

Wawrasz odłożył kupon, zerwał się z fotela i wziął pierwszą z brzegu gazetę oraz długopis. W górnym rogu strony z programem telewizyjnym zapisał kolejno odczytywane numery. Już wiedział, że ma przynajmniej trójkę. Niektóre liczby wydawały mu się znajome.

Wrócił do kuchni i napełnił ponownie szklanę. Z gotowym drinkiem rozsiadł się w fotelu. Na kolanach rozłożył kupon i wziął do ręki program telewizyjny. Porównał numery Dużego Lotka.

Zrobił to kilkakrotnie. I jeszcze raz. Drżącą ręką odłożył wydrukowany blankiet potwierdzający zakład oraz karteczkę z ręcznie skreślonymi liczbami. Włączył telegazetę, wybijając na pilocie numer 850. Poczuł, jak oblewa go fala gorąca.

Zaczął się histerycznie śmiać.

Wszystkie sześć wylosowanych liczb pokrywało się z tymi skreślonymi na blankiecie oraz na wydruku kuponu.

Wygrał.

Wawrasz w jednej chwili został milionerem.

Wtedy zaczęło się jego piekło.

## 4

On, Rafał Wawrasz, listonosz, mieszkaniec Bystrzycy Kłodzkiej, syn i zdyscyplinowany alkoholik, kawaler, znudzony życiem, został milionerem.

Jednego wieczoru stał się beneficjentem głównej nagrody Lotto, wynoszącej ponad trzydzieści milionów złotych. Momentalnie wytrzeźwiał, jakby alkohol wręcz wyparował z jego organizmu. Spojrzał w okno w poczuciu, że naraz ludzie całego świata spojrzeli właśnie na niego. Zgasił światło, rzucił się na łóżko, przyłożył twarz do poduszki i krzyczał – długo, opętańczo, aż do zdarcia gardła. Później podniósł się, przewalił na plecy i zanosił śmiechem.

Tak to musiało wyglądać. W jego pokoju wciąż leży ta sama gazeta, na której zapisał numery wygranej. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, nawet policja, gdy odwiedziła matkę Wawrasza, prosząc o pozwolenie na sprawdzenie mieszkania. Liczby szczęścia i jednocześnie przekleństwa.

Tej samej nocy Wawrasz zamknął zamek w drzwiach na kolejny spust, a nawet przyłożył krzesło, blokując wejście. Po ciemku ruszył na poszukiwania najlepszego miejsca do ukrycia kuponu. Najpierw pomyślał o oczywistych schowkach, czyli szufladach. Włożył kupon wraz ze spiętym blankietem skreślonych liczb na dno, tuż pod bielizną, ale uznał, że wyjmując skarpetki i majtki, może przypadkiem zahaczyć o karteczkę i ją zniszczyć. Włączył małą lampkę w sypialni, otworzył szafę i zlustrował jej wnętrze. Kieszenie spodni czy kurtki nie wchodziły w grę. Może wyściółka nieużywanego kapelusza, który dostał na urodziny? Również szybko zrezygnował, przypomniawszy sobie jedną z nielicznych książek, które przeczytał w młodości – *Kapelusz za sto tysięcy*. To nie byłaby bezpieczna skrytka. Może strych? – ale na samą myśl, że matka mogłaby tam szperać, aż przeszedł go dreszcz. Matka mu nie uwierzy, matka nie może się dowiedzieć, bo wypapla od razu wszystkim.

Nosić kupon cały czas w portfelu, zanim odbierze nagrodę główną, byłoby sporym ryzykiem. Pozostawić potwierdzenie wygranej w domu... równie szalone. Przecież dom w każdej chwili ktoś może obrabować lub, nie daj Boże, spalić. A jak długo będzie czekał na odbiór wygranej? W ogóle w jaki sposób dostanie

pieniądze? Co musi zrobić? Gdzie się udać? Do Warszawy? Chyba zwariuje podczas drogi...

Usiadł znowu na łóżku. Zawirowało mu w głowie. Czuł się tak lekko, kolejne wizje życia w luksusie przychodziły do niego w niesamowitym tempie. W końcu stał się panem swojego losu!

Co zrobi na początku z forszą? Powie matce, że musi wyjechać na kilka dni, że Poczta go wysyła na jakąś wycieczkę. O tak jej powie, chociaż nie... Będzie dopytywać. Nieważne, coś wymyśli. Pojedzie sobie do jakiegoś dużego miasta, do hotelu, gdzieś, gdzie będzie całkowicie anonimowy. Zamówi sobie najlepszy pokój, najlepsze alkohole i prostytutki... Tak... to będzie wybitne!

Nieraz kusilo go, by to zrobić. Ale z kim? Nie zamówi panienki do domu, bo matka. Nie pójdzie do burdelu, bo ktoś by go zauważył, a później wszyscy by mówili, a poza tym mają kurwy ruchane przez całe miasto, stare i brzydkie. W akcie desperacji planował wypad na drogę międzykrajową, w okolice lasu, ale im intensywniej o tym myślał, tym większe obrzydzenie czuł do siebie. Zresztą nie miał pieniędzy na kilka minut seksu.

W momencie wygranej zaczął główkować w odmienny sposób. Wyobraził sobie, że ekskluzywne prostytutki są piękne, czyste, wyrafinowane, jak modelki, jak kobiety, z którymi mógłby ułożyć sobie życie. Poszuka takich w internecie. Będzie pił kolejne piwko, leżąc na wygodnym łóżku, i czekał na wizytę. A może zamówi sobie dwie naraz? To było jego erotyczne marzenie, którym zainfekował się, przeglądając filmy w internecie.

Musiał jednak odegnąć od siebie te myśli. Skupić się na rzeczach najważniejszych. Wyjął koszulkę na papier formatu A4. Włożył do środka kupon i poskładał folię na cztery części. Następnie otworzył zepsuty napęd CD-ROM, umieścił w nim kupon, po czym pchnął wieko. Prawie dostał zawału, gdy nagle niedziałający od dawna czytnik CD niespodziewanie zabrał się do pracy, sygnalizując gotowość odczytu płyty poprzez miganie zielonej diody i wyjąc głośno. Wawrasz wręcz wyrwał szufladkę napędu i wy dostał z ulgą nieuszkodzony kupon skrywający się pod folią.

Był na siebie wściekły. Kolejny raz rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu skrytki. I w końcu ją znalazł. Stare drzwi prowadzące na piętro nie zostały równo zamontowane z powodu krzywizny ścian. Dlatego pozostały tam wyłącznie futryny, a drzwi oddzielające klatkę schodową były na piętrze. Matka narzekała na

to, bo według niej robił się przeciąg i zimno ciągnęło, gdy Rafał na dole wietrzył mieszkanie. Maskownica drzwi z jednej strony nie dochodziła do tynku, tworząc delikatną szparę. Idealne miejsce, by schować kupon, nieoczywiste, błyskotliwe.

Położył się, ale pomimo emocji, zmęczenia i sporej ilości alkoholu nie mógł zasnąć. Trochę się bał. Wydawało mu się, że to tylko sen, a gdy się obudzi, czar pryśnie. Ciągle nie potrafił oswoić się z rzeczywistością. Wiele czytał o ludziach, którzy wygrali duże sumy. Zawsze wtedy chłodno myślał, przedstawiając w głowie tysiące scenariuszy, bardzo racjonalnych, w jaki sposób sam by się zachował, gdyby został milionerem. Teraz nic nie przychodziło mu do głowy.

Jeszcze raz dla pewności sprawdził, czy kupon jest na swoim miejscu, po czym zasnął, nieświadomy, że jego matka umówiła na sobotę stolarza, który miał zamontować nowe drzwi na klatkę schodową.

## 5

Obudził się wcześniej rano. Była godzina piąta. Przez całą noc nie mógł spać. Wstał z łóżka, zaskoczony, że pomimo sporej ilości alkoholu wypitego wieczorem tak dobrze się czuje. Był trzeźwy. Uśmiechał się do swoich myśli.

Poszedł do łazienki i opłukał twarz zimną wodą. Później wyjął zza maskownicy drzwi kupon, jeszcze raz sprawdził zaznaczone numery, które następnie zestawił z wynikami ogłoszonymi w telegazecie. Odłożył karteczkę do skrytki. Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Do kurwy nędzy, jestem milionerem! – pomyślał i aż chciał skakać z radości.

Szybko zaplanował najważniejsze sprawy do załatwienia. Przede wszystkim musiał ustalić, jak odebrać pieniądze. Kompletnie nie wiedział, jak to zrobić. Z trójką to chodziło się do kolektury, ekspedientka przepuszczała kupon przez maszynkę, która sczytywała numery. Pieniądze dostawał na miejscu. Przy tak ogromnej sumie na pewno będzie musiał pojawić się w siedzibie Lotto. Ale jakie dokładnie warunki należało spełnić? Tego w tamtym momencie nie wiedział. Słyszał jednak, że na odbiór wygranej ma sześćdziesiąt dni. Sporo, choć pieniądze chciałby już mieć przy sobie.

Zrobił sobie kawę, zalewając wrzątkiem zmielone ziarna. Prima, tania, pyszna kawka, od której zawsze zaczynał dzień. Dawno nie zdarzyło mu się wstać w sobotę tak wcześnie. Odczytał to jako dobry znak. Był pełen energii i gotów do działania.

Włączył komputer i długo czekał na załadowanie się systemu, by następnie otworzyć przeglądarkę internetową.

Dziwię się, że policja nie miała nawet ochoty przejrzeć historii wyszukiwań, z drugiej strony nic by tam nie znaleźli na temat wygranej w Lotto.

Wawrasz już miał wpisać w wyszukiwarkę frazę: „Jak odebrać główną nagrodę Dużego Lotka”, ale powstrzymał się. Internet był dla niego miejscem niepewnym, gdzie czuł się inwigilowany. Wierzył w spiskowe teorie głoszące, że rząd Stanów Zjednoczonych, Chińczycy oraz Rosjanie zbierają każde dane, każdy ruch wykonany w internecie, by w danym momencie wypowiedzieć wojnę

cybernetyczną, najpierw jednak odsprzedają uzyskane informacje specjalnym firmom, które będą szantażować zwykłych obywateli. Nie obchodziło go, że ktoś sprawdzi, jakie strony erotyczne odwiedza i jakie przegląda materiały, ponieważ uznał, że i tak większość osób robi to samo. Obawiał się ujawnienia krępujących informacji, ale jakoś nie dopuszczał do siebie takiego obrotu rzeczy. Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy trafił szóstkę. Paranoicznie bał się, że ktoś mógłby odkryć, iż to właśnie Rafał Wawrasz jest szczęściarzem, który zdobył kumulację w Lotto, i zechcieć wejść w posiadanie kuponu. Nie mógł na to pozwolić, za żadne skarby.

Największą wadą tej gry jest właśnie niespodziewane niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł. Tylko delikatna kartka papieru z wydrukowanymi numerami stanowi świadectwo jego wygranej. Posiadanie tego kuponu robi zeń milionera. Powinni zadbać o dodatkową weryfikację, że właśnie ten kupon, ten wynik należy do mnie – myślał wtedy poirytowany. To kolejny argument przemawiający za jego pomysłem „obywatelskiego losowania”. A może gdy spotka się z osobami decyzyjnymi w Lotto, gdy będzie odbierał nagrodę, przedstawi swój pomysł? Może się spodoba? Co więcej, a nuż uda się go sprzedać?

Wawrasz nigdy przedtem nie był tak podekscytowany, tak wrażliwy na otaczającą go rzeczywistość. Chłonał każdą chwilę całym sobą.

Zdecydował, że pójdzie do kafejki internetowej. Tam będzie anonimowy. Nawet jeśli ktoś, na przykład cyberprzestępca, wyłapie, że mieszkaniec Bystrzycy Kłodzkiej, użytkownik tej konkretnej sieci może być potencjalnym zwycięzcą, mało prawdopodobne, by zidentyfikował Wawrasza. Tak, to dobry pomysł.

Wziął prysznic. Ubrał się. Już chciał wyjść, kiedy uświadomił sobie, że kafejkę internetową otwierają dopiero o ósmej albo nawet o dziewiątej; nie był tego pewien. Była szósta.

Wyszedł z domu. Oddychał pełną piersią, dosłownie. Dzień powoli wstał, wszystko budziło się do życia. Po drodze minął go dostawczak z piekarni i dwa samochody z ekipą budowlaną. Z satysfakcją stwierdził, że oni będą musieli zapierdalać tak do usranej śmierci, a on już ma urlop do końca życia.

Ruszył na rynek i podszedł do pierwszego lepszego bankomatu. Wypłacił pięćset złotych. Postanowił w najbliższym czasie mocno się zabawić. Najpierw jednak przejdzie się na śniadanie. Zastanowił się przez moment, wpadając w konsternację – czy w tym cholernym mieście, oprócz hoteli, podają gdzieś



śniadania? Podobało mu się to – już myślał jak bogacz, roszczeniowo, zaczął wymagać od innych.

Ostatecznie doszedł do wniosku, że nie pojawi się w żadnej z hotelowych restauracji, ponieważ wyglądałoby to nazbyt podejrzanie. Obsługa od razu rozpoznałaby listonosza. Pojawiłyby się pytania, skąd ta jego tutaj obecność, a poza plecami – skąd on ma kasę na hotelowe śniadanka?

Zaśmiał się.

Walić wszystko! Może robić, co zechce.

Poszedł więc od razu do Jędrusia, znanego w okolicy sklepiku, otwartego już od szóstej, który był ratunkiem dla budowlańców robiących zakupy na cały ciężki dzień. Kupił drożdżówkę i tatrę.

– Zapytałem go, skąd się tutaj wziął tak wcześnie rano. Nigdy nie widziałem go u mnie w sobotę o tej porze – przyznawał właściciel sklepu, który tamtego dnia obsługiwał klientów, stojąc za kasą. – Myślałem, że do roboty idzie. Może dodatkowy dzień, więcej poczty czy coś. Ale nagle patrzę, a on siedzi na ławeczce tuż przed sklepem, wcina drożdżówkę i piwko sobie popija. Za chwilę wrócił po kolejną butelkę. Niewiele mówił. Tak szczerze? Dziwnie to wyglądało. Sprawdziłbym lepiej na pana miejscu, czy on sam czegoś sobie nie zrobił...

Gdy skończył drugie piwo, była godzina siódma trzydzieści. Jeszcze miał trochę czasu. Zakręciło mu się przyjemnie w głowie i zachciało palić, trochę z nudów. Dawno nie miał papierosa w ustach. Głównie dlatego, że po prostu nie starczało mu pieniędzy na zgubny nałóg. Lubił palić. Jeśli już kupił papierosy, potrafił szybko skończyć całą paczkę, dlatego uznał, że palenie w jego przypadku byłoby całkowicie nieekonomiczne. W dodatku matka raz go wyczuła i miała pretensje, jakby samemu Bogu napluł w twarz. W tamtym momencie był ponad tym. Znowu to podkreślił – mógł robić, co tylko zechciał.

Wrócił więc po papierosy. Zażyczył sobie czerwone marlboro i zapałki. Nie chciał przepłacać za zapalniczkę. Wciąż miał nawyki oszczędzania na wszystkim, oprócz alkoholu.

Papieros smakował wybornie. Wawrasz wyprostował nogi na ławeczce, wschodzące słońce przyjemnie ogrzewało mu twarz, niektórzy ludzie przychodzący do sklepu rozpoznawali go i z lekkim skonfundowaniem pozdrawiali lokalnego listonosza.

Kusiło go, by zamówić jeszcze jedno piwo, ale uznał, że najwyższy czas udać się do kafejki internetowej i załatwić najważniejsze sprawy. Później już przez całe życie nikt nie będzie ustalał mu planu dnia.

## 6

W kawiarence internetowej był pierwszym gościem. Zapłacił za godzinę korzystania z internetu. Musiał jeszcze tłumaczyć się ciekawskiemu właścicielowi, który pytał go, co się stało, że tak wcześnie w sobotę może gościć listonosza, którego widział zazwyczaj w tygodniu, gdy dostarczał mu kolejne faktury i rachunki. Wawrasz tłumaczył się, że musi napisać ważnego maila i wykonać jeden przelew internetowy, a w domu ma problem z połączeniem.

Wawrasz przesunął monitor w stronę ściany tak, by żaden z potencjalnych nowych gości kafejki nie mógł dojrzeć, czym zajmuje się w danej chwili. Chciał uchronić widok monitora również przed krzątającym się między biurkami właścicielem kafejki przygotowującym lokal dla klientów.

Wystukał odpowiednie frazy. Dowiedział się, że wygraną może odebrać w dowolnym oddziale Totalizatora Sportowego. Spisał na kartce stosowne adresy. Uznał też, że wybierze się do większego miasta, na przykład do Katowic, by nikt przypadkowo spotkany podczas wyprawy po wygraną nie połączył jego wizyty z prawdziwym celem podróży. Upewnił się też, że może odebrać nagrodę do sześćdziesięciu dni. Tak odległy termin dawał mu swobodę działania oraz pozwalał na spokojne przygotowanie się do nowej sytuacji. Musiał kupić bilety, im wcześniej, tym lepiej, będzie przecież taniej!

Bogaty w wiedzę wyszedł z kafejki, spojrzął na zegarek i postanowił wydać gotówkę w barze, który miał po drodze do domu. Mordownię otwierali wcześnie rano. Właściciel na jego widok aż zapytał, czy mu matka zmarła. Wawrasz z kamiennym wyrazem twarzy zaprzeczył, zamówił piwo i zasiadł za maszyną do gier. Tak spędził całe przedpołudnie.

Kręciło mu się w głowie, gdy wracał do siebie. Trzasnął głośno furtką i spojrzął na budynek – nieotynkowany, gołe cegły, stare okna, typowa kostka z lat siedemdziesiątych. Mógłby zainwestować wygrane pieniądze w remont, ale nie chciał rzucać się w oczy. Sąsiedzi zaraz by pytali, skąd wraz z matką wzięli na to fundusze.

Wszedł do środka. Od razu jeden szczegół wzbudził jego podejrzliwość. Od progu czuł obcy zapach, trochę chemiczny, ale też potu wymieszanego z dezodorantem. Na płytkach w korytarzu leżał skłębiony ręcznik, obok grzejnika natomiast spoczywał długi karton. Gdy uczynił kilka kroków w głąb pomieszczenia, widok, jaki mu się ukazał, sprawił, że coś mocno zakłuło go w piersi. Poczul się fatalnie, ogarnęła go potworna słabość.

W miejscu drzwi prowadzących na klatkę schodową, w maskownicy, za którą ukrył kupon Lotto, teraz ziała pustka. Ktoś wyrwał futryny, pozostawiając odsłonięte pustaki i skruszony gips.

## 7

Wawrasz wpadł w szal. Zaczął krzyczeć, biegał po kolejnych pokojach, rozglądając się w poszukiwaniu kuponu. W końcu wpadł na górę do pokoju matki.

– Nie wiem, co mu odbiło. Nigdy tak się nie zachowywał – wyjaśniała matka Wawrasza. – Wrzeszczał, co się stało z drzwiami. Wytlumaczyłam mu, że w końcu zamówiłam stolarza, żeby wstawił nowe. Tyle razy mu mówiłam, żeby się dołożył i kupił nowe drzwi, bo zimno idzie od tego korytarza straszne. Zadzwoiłam po stolarza, bo wymiar jest nietypowy. Przyjechał, pomierzył i od razu przygotował sobie miejsce na nowy montaż. A później już nie odbierał telefonów. A zaliczkę wziął, oszust jeden.

Wawrasz usiadł w salonie na wysłużonym fotelu i ujął głowę w dłonie, próbując zebrać myśli. Po chwili zerwał się z miejsca i podbiegł do matki, wciąż nic nierozumiejącej, co tak naprawdę się stało. Zapytał ją o firmę, która zabrała się do wymiany drzwi. Okazało się, że to lokalny stolarz. Znał go. Prowadził nieduży zakład po drugiej stronie miasta.

Wawrasz pozostawił osłupiałą matkę, wybiegł z domu, wsiadł na rower i popędził do stolarza. Pedałował ile sił. Jeszcze nigdy nie wytrzeźwiał tak szybko.

Trochę czasu zajęło mu dotarcie do zakładu stolarskiego, zajmującego podleśny teren, daleko od innych zabudowań. Leopold Krajan, właściciel, mieszkał nieopodal, ale działalność prowadził tutaj po zaadaptowaniu starej mleczarni.

– Nie chciałam, żeby klienci ciągle jeździli pod nasz dom i robili zamieszanie – mówiła żona Krajana. – Zanim mąż się do mnie przeprowadził, miał stolarnię przy swoim rodzinnym domu. Widziałam, jak to wyglądało. Wszędzie pełno kurzu i wiór. Szósta rano, a już budzili go klienci. Czy policja wznowiła poszukiwania? Znajdzie go pan?

Podłużny budynek z pustaków. Nowe okna z PCV. Na podjeździe cyrkularka, kilka stosów desek i samochód dostawczy marki Żuk. Za jego szybą spoczywało pełno pustych paczek po papierosach. Wawrasz spojrzął na bernardyna leżącego przed budą. Pies był na łańcuchu przytwierdzonym do wbitego w ziemię kołka. Łypnął tylko okiem, ale pozostał w bezruchu.

Drzwi do zakładu były otwarte. Wawrasz wszedł do środka. Do jego uszu dobiegł przytłumiony dźwięk wyrzynarki. Krajan, chudy, wysoki mężczyzna obrabiał spory kawałek drewna, przygotowując kolejny element do sklejenia futryny. Miał założone plastikowe okulary ochronne. Po chwili zauważył obecność Wawrasza. Wyłączył maszynę.

– O, kogo ja widzę, nasz listonosz – powiedział z serdecznym uśmiechem, zdejmując rękawice. Wyciągnął dłoń na powitanie, ale Rafał Wawrasz nie odpowiedział tym samym gestem.

– Gdzie jest stara futryna?

– Co?

– I maskownica.

– No wziąłem ze sobą, zawsze tak robię. Trzeba było mówić, że chcesz to zostawić.

– Gdzie to masz?

– Na zewnątrz. Czekał.

Minął Wawrasza i ruszył do wyjścia. Zaraz po lewej, tuż pod ścianą, znajdowała się hałda rzuconych byle jak różnych nieprzydatnych części stanowiących niegdyś drzwi, framugi okienne, parapety, meble. Wawrasz szybko zauważył futryny pochodzące z jego domu. Doskoczył do stosu i przeglądał drewno z każdej strony.

– Jak ty to chcesz wziąć z powrotem? Tym? – Krajan wskazał na rower rzucony w trawę. – Przywiozę ci, jak chcesz. Za tydzień powinienem się obrobić ze wszystkim.

Wawrasz liczył, że folia przykleiła się do maskownicy. Zaczął przerzucać inne elementy ze sterty. Może wyslizgnęła się na sam dół?

– Człowieku, co ty robisz?

Krajan spoglądał z zaniepokojeniem na Wawrasza zachowującego się niczym furiat.

Listonosz minął wzrokiem stolarza i podbiegł do zaparkowanego obok żuka. Przetrzęsał pakę w poszukiwaniu zawiniętego w folię kuponu Lotto.

– Hej! Mówię do ciebie?

Krajanowi nie spodobało się zachowanie Wawrasza. Najbardziej zdenerwował go brak reakcji ze strony mężczyzny oraz fakt, że ten zachowuje się bezczelnie,

jakby znajdował się u siebie, na własnej posesji.

– Co jest z tobą? – Chwycił Wawrasza za ramię, pociągając go ze skrzyni ładunkowej samochodu.

Rafał poleciał wprost na stolarza. Razem upadli na ziemię. Wawrasz zerwał się szybko na równe nogi. Krajan jednak patrzył w górę z niedowierzaniem. Podniósł rękę, bardzo wolno, próbując dotknąć głowy, ale przychodziło mu to z trudem. Poruszał się jak w zwolnionym tempie.

– Gdzie jest kupon, złodzieju?

Krajan próbował coś powiedzieć, ale gdy otworzył usta, po brodzie pociekła mu krew.

– Pierdolony złodzieju – nie dawał za wygraną Wawrasz. – Co ty myślisz, że jestem taki głupi? Że będziesz udawał tutaj przede mną? Znalazłeś kupon, sprawdziłeś liczby i zajebałeś go, śmieciu.

Mężczyzna zaczął drzeć.

– Dobra, wstawaj!

Wawrasz kopnął go mocno w zebra. I kolejny raz. Aż usłyszał chrzęst pękającej kości. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. Ostatni raz, gdy uderzył drugiego człowieka, było to w czasach szkolnych. Zwykła bójka dorastających chłopców. W tamtym momencie puściły mu wszelkie hamulce.

Ponowił kopniak.

Nie zauważył, że twarz mężczyzny stężała, usta zamarły w niemym grymasie, a spod potylicy sączyła się krew.

Zostawił Krajana na ziemi i wszedł z powrotem do zakładu stolarskiego. Sprawdził wszystkie półki, warsztat, ale nie znalazł kuponu. Przetrzęsnał również małe pomieszczenie służące za biuro. Przeszukał segregatory, szuflady biurka. Nic. Musi wyciągnąć wszystkie informacje od tego złodzieja.

Wyszedł na zewnątrz i spojrzał na leżącego nieruchomo mężczyznę.

Wtedy zdał sobie sprawę, co się stało.

Osunął się na kolana i zaczął płakać.

Nie wiedział tylko, z jakiego powodu bardziej...

## 8

Wawrasz przykucnął nad ciałem mężczyzny. Zobaczył, co tak naprawdę się wydarzyło.

Czy zabił niewinnego człowieka? Przecież to był wypadek, usprawiedliwiał się. Jednak to ja na niego runąłem. Ale spadł i uderzył się w głowę. Nie moja wina, że akurat niefortunnie upadł na kant pozostawionej szuflady. Zepsuty mebel leżał tuż za samochodem, w wysokiej trawie, nie miał dna, za to ostre krawędzie. Musiał go już wcześniej tam zostawić, a gdy trawa urosła, zasłoniła całkowicie ramę szuflady.

Boże...

Dlaczego go kopałem? – gorączkował się w myślach. Dlaczego w ogóle tutaj przyszedłem? Policja mi nie uwierzy... Nie uwierzy, że to był wypadek.

Był winny śmierci tego mężczyzny. Ten fakt boleśnie wrył mu się w świadomość. Zrobiło mu się niedobrze, ale powstrzymał wymioty. Musiał myśleć trzeźwo, strategicznie.

Rozejrzał się wokół. Sobotnie popołudnie było całkiem ciepłe, wiatr poruszał nieskoszonymi trawami tworzącymi rozległe łąki. Daleko w oddali majaczyły budynki gospodarstw. Nikt nie mógł go widzieć, uświadomił sobie z lekką ulgą. To dało mu powód do wprowadzenia w życie kryzysowego pomysłu.

Wszedł do stolarni i szybko znalazł duże foliowe worki na trociny. Przygotował jeden z nich, rozchylając materiał, po czym z całych sił podniósł głowę i kark Krajana, przesuwając je odrobinę w bok, i nałożył na niego worek, tak by nie brudzić go krwią. Następnie nałożył drugi worek na tułów. Dołożył jeszcze jeden od ramion aż do pasa. Wziął taśmę klejącą i obwiązał szczelnie ciało spoczywające w workach.

Działał jak w transie, nie myśląc, że ktoś może go zobaczyć. Jednocześnie usiłował dociec, gdzie stolarz mógł ukryć znaleziony kupon. Najpierw jednak musiał zająć się ciałem.

W stolarni zobaczył dużą beczkę z wiekiem zamykanym na zatrzask ściągający. Nie namyślał się długo. Już miał gotowy plan.



Beczka zawierała bliżej nieokreślony płyn, jakiś olej lub stary smar, zajmujący jedną czwartą objętości. Jeśli odpowiednio ułoży ciało, powinno się zmieścić.

Chwycił worek z ciałem stolarza i zaciągnął go do budynku. Zaczynało się późne popołudnie. Musiał się śpieszyć. Naraz wpadł w panikę. Cały czas wyobrażnia podsuwała mu urojony obraz Krajanowej, która podjeżdża pod stolarnię męża sprawdzić, dlaczego tak długo nie wraca do domu. Nie mógł wiedzieć, że przez najbliższe tygodnie nikt oprócz klientów nie będzie szukał stolarza. Jego żona dobrze bawiła się już z innym mężczyzną. Po kilku miesiącach była główną podejrzaną w sprawie zniknięcia męża.

Cały zalał się potem. Był wyczerpany. Spazmatycznie łapał powietrze, osunął się na zimny beton. Spojrzał jednak na beczkę, która skrywała ciało stolarza, i krzyk uwiązał mu w gardle. Boże... Co ja zrobiłem? – pytał się w duchu.

Wyszedł na zewnątrz. Przed budynkiem po lewej, niżej, w miejscu, gdzie teren wyraźnie opadał, wkopano w ziemię szambo. Wykonane z betonowych kręgów na pewno miało specjalny otwór w środku lub na dnie, tak by nieczystości stopniowo były odprowadzane do ziemi. A jeśli nie, to właściciel stolarni sam je opróżniał, wylewając fekalia na położoną obok ławkę. Nie ma szans, by płacił za wywóz, wszyscy tak robią w gospodarstwach – tłumaczył sobie Wawrasz.

Pokrywa szamba nie miała dodatkowego otworu. Należało ją zdjąć, podważając łomem lub czymś twardym. W paru miejscach, gdzie wieko stykało się z betonowym kręgiem, widoczne były wgłębienia od otwierania.

Wawrasz zaczął się trząść. Nie da rady. Nie uda mu się to wszystko. Jeszcze tyle jest do zrobienia, tak dużo cholernie ciężkiej roboty. Nie miał już sił. Chciał się poddać, ale nie dał za wygraną. Znowu wrócił do stolarni. W składzie rupieci i najróżniejszych części znalazł długi, mosiężny pręt, który zapewne służył do otwierania szamba.

Zabrał się do pracy. Udało mu się odsunąć pokrywę, ale otwór był niewystarczający, by pomieścić beczkę. Musiał jeszcze się postarać. Ostrożnie, centymetr po centymetrze przesunął wieko, uważając, by betonowa płyta nie ześlizgnęła się z kręgu i nie spadła poza zbiornik. Wtedy nie miałby szans, by ją położyć tam, gdzie była.

Gdy ujrzał odpowiednią przestrzeń między kręgiem a pokrywą, pobiegł po beczkę. Przewalił ją na bok i turlał z mozołem. Kiedy dotarł do szamba, zdjął korek

z wieka, aby fekalia mogły wypełnić jej wnętrze i skutecznie ją obciążyć. Pragnął, aby poszła na samo dno, aby brudna, śmierdząca breja ekskrementów raz na zawsze pochłonęła wszystko, co stanowi dowód na to, co tutaj się wydarzyło.

Pchnął beczkę do środka. Chlupnęło. Przez chwilę patrzył, jak nabiera nieczystości, wypuszczając pęcherze powietrza.

Umieścił pokrywę szamba z powrotem na swoim miejscu.

Poczuł lekką ulgę, ale strach, że zaraz to wszystko się wyda, nie opuszczał go przez długi czas.

Rzucił się jeszcze do wnętrza stolarni, wziął pierwszą lepszą szmatę i zaczął zacierać za sobą ślady. Chaotycznie wycierał każdą możliwą powierzchnię, której dotknął. Naraz wydało mu się jednak, że odciski jego palców znajdują się na każdym przedmiocie w stolarni. Jeszcze trochę i popadłby w totalne szaleństwo.

Najbardziej irytowało go, że nigdzie nie znalazł kuponu Lotto. Na koniec sprawdził jeszcze wnętrze żuka, ale również bez efektu. Poczuł się pewniej. Nawet gdyby ktoś nagle nadjechał, będzie miał realne wytłumaczenie swojej obecności. Przyjechał po prostu do stolarza, który miał mu zrobić nowe drzwi. Zobaczył jednak, że zakład jest zamknięty.

Wpadł na jeszcze jeden pomysł. Wziął klucze do drzwi i wychodząc, pozamykał wszystkie zamki. Chciał dać do zrozumienia śledczym, że Krajan opuścił miejsce pracy i w stolarni nie mają czego szukać. Przez moment jednak się zawahał. A jeśli umknął mu jakiś szczegół? Może stolarz nigdy nie zamykał zamka na dwa spusty, lecz na jeden... Powoli wpadał w paranoję.

Odwrócił się i zamarł. Zapomniał o najważniejszej rzeczy.

Zobaczył, że łańcuch psa jest naprężony. Obroża wrzynała się bernardynowi w szyję, ale zwierzę wychyliło się do granic możliwości i zbliżyło do miejsca, w którym właściciel roztrzaskał sobie głowę.

Mężczyzna poczuł ucisk w żołądku.

Pies wylizywał trawę upstrzoną krwią.

Wawrasz stał się mordercą. Połowicznym mordercą, jak o sobie myślał.

I z dnia na dzień przestał być szczęśliwym człowiekiem.

## 9

Wrócił do domu. Oparł rower o ścianę. Przypomniawszy sobie o paczce papierosów kupionej rano w spożywczym. Usiadł na ławeczce obok trzepaka i zapalił. Wszystkie plany, całe szczęście, które naraz wraz z wygraną w Lotto spłynęło na niego, wyparowało. Stało się tylko drażniącym wspomnieniem.

Pojawił się wyrzut sumienia, nieusuwalny. Którego nie da się ot tak wymazać. Wawrasz patrzył na otaczającą go rzeczywistość, na zaniedbane podwórze, kilka starych jabłoni, dziurawy płot sąsiada obok, a mimo to widział umierającego Krajana. Jakby ktoś założył mu okulary, przez które dostrzegał wyłącznie okropieństwa ostatnich godzin.

Miało być tak pięknie... Może Bóg, w którego nie wierzył, zesłał na niego karę? Wawrasz musiał znaleźć kozła ofiarnego, jakoś uporządkować sobie minione wydarzenia. Może sam jest sobie winien? Zachłusnął się wygraną. Wyobrażał sobie, w jaki sposób przyjemnie wyda otrzymane pieniądze. W wyobraźni budował wille, zapełniał garaże najdroższymi modelami samochodów, wypijał morze najlepszej whisky i umawiał się z najpiękniejszymi kobietami.

Projektował próżność.

– Co ty robisz, synuś? – Matka złożyła ręce jak do modlitwy, widząc Rafała palącego papierosa.

– A palę sobie.

– Ile razy ci mówiłam, żebyś tego nie tykał.

Zaczęła tyradę na temat zgubnych skutków palenia. Tłumaczyła jak małemu dziecku, co jest dobre, a co złe, co szkodliwe, czego nie robić; tysiące zakazów. Wawrasz w ogóle tego nie słuchał. Zachłannie się zaciągał, próbując ukoić nikotyną skołatane nerwy. Nie zważając na matkę, wyjął kolejnego papierosa. Włożył go do ust, skierował ku niemu płomień zapalki i zamarł w pół ruchu, gdy zobaczył wyciągniętą rękę matki.

– Znalazłam u ciebie na podłodze. Znowu na to dziadostwo pieniądze marnujesz?

Wawrasz wyrwał kupon z jej ręki.

Spojrzał na karteczkę rozszerzonymi oczami.

Właśnie w swoich rękach, dosłownie i w przenośni, trzymał los ze szczęśliwie wytypowanymi sześcioma liczbami.

– Stolarz obiecał przyjechać za tydzień. Do tego czasu masz mi dać trzysta złotych. Ile razy mam mówić, że mieszkamy tutaj razem i masz się dokładać. Nie będę cię sponsorować całe życie.

Wawrasz wstał, rzucił niezapalonego papierosa na trawnik, odwrócił się i powiedział:

– Tak, mam. Nie musisz mnie już utrzymywać. Dam ci pieniądze.

## 10

Następne dni były koszmarem. Wawrasz budził się z powodu każdego zgrzytu, każdego zawodzenia wiatru i hałasu na zewnątrz. Nie mógł spać. Cały czas wydawało mu się, że zaraz do drzwi zapuka policja, skują go kajdankami i poprowadzą do radiowozu, skulonego pod spojrzeniami i wyzwiskami mieszkańców Bystrzycy.

Jeszcze bardziej obawiał się, że znowu zgubi kupon. Tym razem wetknął go pod materac. Budził się co chwila w przepeconej pościeli i płakał do poduszki. Dlaczego to się tak potoczyło? Dlaczego pojechałem do tego cholernego stolarza? – Przeklinał los. Dlaczego ta wścibska cipa, jego matka, w ogóle do niego dzwoniła? Po jaki chuj przyszło jej do głowy, żeby wymieniać pieprzone drzwi...

Wypijał wtedy kilka szklanek wódki i trochę się uspokajał. Musiał wziąć się w garść, jakoś żyć z tą traumą, iść do przodu. Nie był przecież w stu procentach winny. To był wypadek. Niepotrzebnie pociągnął mnie wtedy, straciłem równowagę, a to, że Krajan upadł jak upadł – nie moja wina. Czemu w takim razie nie zgłosiłem tego od razu? Dlaczego ukryłem to cholerne ciało?

Postanowił, że jak najszybciej musi zrealizować kupon, odebrać nagrodę i zniknąć raz na zawsze z tego świata. Musi się rozplątać, ukryć, wymazać grzechy przeszłości i odciąć je grubą kreską. Inaczej zwariuje. Pieniądze pozwolą mu ułożyć życie na nowo, w innym, lepszym miejscu. Sprawia, że zapomni o tym, co było.

Nie potrafił jednak wykonać żadnego ruchu. Strach go paraliżował. Wziął wolne w pracy, mówiąc, że nie czuje się najlepiej. Wcześniej poczynił zapasy alkoholu, by jakoś przetrwać kolejne noce w oczekiwaniu na przyście policji. Mijał dzień za dniem, ale nikt nie przychodził. W gazetach i na lokalnym portalu nie pojawiła się żadna wzmianka o martwym stolarzu z Bystrzycy Kłodzkiej.

Wawrasz oswajał wyrzuty sumienia i zaczynał wierzyć, że jednak los się do niego uśmiechnął.

Siedząc w zamkniętym przedziale pociągu relacji Katowice–Warszawa, czuł się jak bohater *Obłądu* Jerzego Krzysztonia podróżujący koleją. Wszędzie wietrzył spisek, każda osoba wydawała się podejrzana, była nośnikiem wiedzy o wygranej w Lotto. Przypadkowe spojrzenie Wawrasz odczytywał jako próbę sił. Testowali jego opanowanie, zimną krew, tak naprawdę chcieli tylko rzucić się na niego, rozerwać go na strzępy i odebrać szczęśliwy los. Miał wrażenie, że zaraz eksploduje.

W przedziale siedziała dziewczyna, najwyraźniej studentka, czytała książkę, chyba podręcznik filozofii. Była bardzo skupiona na lekturze. Tylko czasami zerkała na Wawrasza. Częściej spojrzenie rzucała mu skąpo odziana kobieta. Miała dzinsowe szorty, spod których wylaniały się rajstopy w duże czarne oczka, i różową bluzeczkę z głębokim dekoltem, trochę za bardzo podwijającą się w okolicach wylewających się boczków właścicielki. Ostentacyjnie żuła gumę i prowokowała wyglądem. Wawrasz starał się nie zwracać na nią uwagi, ale nie potrafił czasami oderwać wzroku. Zastanawiał się nawet, jak by zareagowała, gdyby zaproponował jej seks. Oczywiście mógłby jej zapłacić. Wyglądała na kobietę lekkich obyczajów. Mama mówiła mu, by na takie uważał, ale teraz mógł robić, co tylko zechce.

Obok niego siedział facet w średnim wieku, czytał rozłożoną „Wyborczą”, przez co zajmował co najmniej dwa miejsca. Co chwilę chrząkał i wydawał z siebie przeciągłe „Heh”, po czym wzdychał głośno, dając wyraz wielkiemu zdziwieniu treściami, które przyswajał. Denerwował tym Wawrasza, z każdą sekundą coraz bardziej.

Studentce też niczego nie brakowało. Wyobrażał sobie, jak by to było dotykać młodego, jędrnego ciała, tulić w dłoni drobne piersi, składać pocałunki na jej brodawkach i głaskać ją po lśniących, rudokasztanowych włosach. Karciał się za te myśli w takich okolicznościach, mając wrażenie, że zachowuje się jak zboczeniec i, co więcej, ma to wypisane na czole.

Pocił się okrutnie. Było duszno, temperatura wyższa niż pokojowa, ale zdenerwowanie brało górę. Kobiety musiały wziąć go za alkoholika. Krople potu na twarzy, lekkie drżenie rąk, niechlujny wygląd i przykry zapach, którego nie

czuł, ale który na pewno rozprzestrzeniał się naokoło. Miał mokrą koszulę, a w miejscach pod pachami można byłoby ją wykręcić niczym ręcznik po kąpieli.

Do celu pozostała godzina. Nie mógł już wytrzymać w ciasnym przedziale, który zdawał się kurczyć od spojrzeń innych pasażerów. W końcu wstał, przycisnął plecak do piersi i starając się nie gapić na biust siedzącej naprzeciwko kobiety, uważnie stawiał kroki w stronę wyjścia.

– Gdzie pan idzie? – zapytał nagle mężczyzna, unosząc wzrok znad gazety. W okularach osadzonych prawie na samym czubku nosa wyglądał jak stereotypowy wykładowca na uniwersytecie. Wawrasz nieco zbity z tropu chciał odpowiedzieć opryskliwie, na przykład „Co to pana obchodzi?”. Jednak nigdy nie był asertywny, unikał konfliktów. Nie chciał w ogóle wchodzić z nim w dialog. – Idzie pan do Warszawy może? Chyba pora coś zjeść.

Minął go bez odpowiedzi. Usłyszał tylko na odchodne:

– Burak.

Tę obelgę też puścił mimo uszu.

Przecisnął się do Warszawy, gdzie zamówił jajecznicę i piwo. Gdy spożywał posiłek, oczywiście dosiadł się do niego mężczyzna, pomimo innych wolnych stolików. Ogorzała twarz, łysa głowa, tatuaż na szyi i kilkudniowy, siwy zarost. Wypisz, wymaluj absolwent zakładu karnego.

– Można się przysiąść? – zapytał, zajmując miejsce.

– Proszę – mruknął Wawrasz i ostentacyjnie powiódł wzrokiem po pustych krzesłach.

– Piwko z rana jak śmietana.

Wawrasz milczał.

– Bruno jestem. – Mężczyzna wyciągnął potężną dłoń.

Wawrasz odłożył widelec. Nie chciał bratać się z nieznajomym, jednak uznał, że będzie to jeszcze bardziej podejrzane, jeśli spróbuje go zignorować.

– Rafał.

– Co tak piwo z rana. Jakież problemy?

– Co? Nie... Po prostu mam wolne.

– To tak jak ja, tyle że ja ciągle mam wolne, bo taki wolny ptak ze mnie – zaśmiał się. – U mnie już trzecie piwko idzie. – Podniósł butelkę. – Tak po czwartym lepiej

mi się myśli. A gdzie robisz?

– Na poczcie.

– Listonosz?

Wawrasz pokiwał głową.

– Chowaj żonę przed listonoszem.

– Co?!

– Powiedz mi, Rafał, jak to, kurde, jest. Listonosz faktycznie ma więcej okazji do ruchania?

– No przestań.

– Nie bądź taki wstydnisz.

– No weź...

– Szefunio, piweczko dla mnie i dla tego pana, bardzo proszę – zawołał do chłopaka obsługującego gastronomię Warszawy. – Żartowałem, człowieku, coś ty taki spięty.

Wawrasz wypił duszkiem od razu połowę butelki.

– Suszy? – zapytał Bruno.

– Nie... coś nie najlepiej się czuję.

– To jest skuteczne lekarstwo. Na zdrowie!

Mijały kolejne minuty na bzdurnych wspominkach Brunona. Można było wyczytać z nich, że mężczyzna ma bogatą przeszłość i nieciekawą krąg znajomych. Odsiedział kilka wyroków. Od kilku miesięcy cieszył się wolnością.

– Trochę ciężko się odnaleźć, tu, po drugiej stronie świata. Gdy siedzisz w zamknięciu, masz rytm. Podporządkowujesz się rutynie. Człowiek, który ma za dużo wolności, głupieje.

– A ty co teraz robisz w takim razie?

– Na razie podróżuję. Jeżdżę sobie koleją po tej naszej pięknej ojczyźnie, jadę na dworcach, odwiedzam znajomych.

– Ciekawie.

– Kurwa, nawet nie wiesz, jakich ziomków można spotkać w pociągu. Ostatnio natknąłem się na gościa, który wygrał grubą kasę w lotku i jechał po wygraną. Ty! A może właśnie po hajs zapierdalasz do stolicy? Co? Ostatnio pełna pula padła.



Wawrasz poczuł, jak oblewa go fala gorąca. Dobrze, że już wcześniej był cały czerwony na twarzy, ponieważ w tamtym momencie rumieńce zdawały się wypalać mu skórę.

– Ha ha, chciałym! – Podniósł głos, nieco nazbyt teatralnie.

– No mówię ci, brachu. Piłem sobie z tym koleżką tak jak teraz z tobą. I ten nagle wyciąga z portfela cztery baksy. Dwa papierki po dwieście złotych i przesuwa w moją stronę. Pytam się, co, kurwa, robi. A on na to: „weź”. Ale za co? Tyle pieniędzy. Biorę szybko, bo jeszcze by się rozmyślił, a jak dają, to trzeba brać, tatuś zawsze mi powtarzał. Ziomko nachyla się nad stolikiem i mówi: „Jeszcze kilka godzin i takimi banknotami to sobie będę dupę podcierał”. – Zarechotał na cały przedział barowy.

A jeśli on wie i tylko mnie podpuszcza? – pomyślał Wawrasz. Może tak naprawdę Lotto to jedna wielka mafia? Może to jest ustawione. Namierzyli mnie i czekają tylko, by odebrać zwycięski kupon, a potem przekazać go na „słupa” i podzielić się kasą. Takie paranoidalne myśli zatruwały mu umysł.

W końcu pojawiła się pierwsza stacja w Warszawie. Postanowił nie czekać i wysiąść od razu na Zachodnim. Weźmie taksówkę, nie będzie żałował pieniędzy, byle tylko jak najszybciej opuścić ten cholerny pociąg.

– Nie na Centralny? – zagadał Bruno.

– Muszę lecieć! – Wawrasz wystrzelił z miejsca jak oparzony.

– Dzięki za piwo...

Kiedy mężczyzna podniósł głowę znad stołu i powiódł wzrokiem po przedziale restauracyjnym, Rafał Wawrasz wybiegł już wagonu.

## 12

Znalazł się na zatłoczonym peronie. Rozejrzał się wokół. Nie miał pojęcia, w którą stronę iść. Najlepiej na postój taksówek, ale gdzie to będzie? Pociąg, którym przyjechał do Warszawy, powoli zniknął z pola widzenia. A wraz z nim również...

Wawrasz panicznie zaczął dotykać wszystkich możliwych kieszeni: w spodniach i kurtce. Portfel wyczuwalny, klucze, kartka z narysowaną trasą do siedziby Lotto.

Plecak!

Nie ma plecaka...

Zapomniał go wziąć z podłogi.

Poczuł, że coś w nim pęka, bezgranicznie rozrywa się na milion kawałków. Jakby w środku ciała znalazła się czarna dziura pochłaniająca wszechświat. Szczęśliwy kupon, przez który tak bardzo skomplikował sobie życie, został gdzieś w odjeżdżającym pociągu. Wizja bogactwa prysła jak bańka mydlana.

Zaczął biec.

– Stać!

Ludzie patrzyli na niego jak na wariata.

– Zatrzymać ten cholerny pociąg!

Dobiegł tak do końca platformy peronu. Spazmatycznie łapał powietrze. Osunął się na klęczki, ręce oparł na udach, oczy zapełniły się łzami. Dlaczego, kurwa? – pytał się w myślach. Dlaczego los robi wszystko, żebym nie dostał tych pieniędzy? Może to Bóg próbuje mnie ukarać za to, co zrobiłem...?

Naraz poczuł niebywały przyływ energii. Przecież nikt nie wie, co miał w plecaku. Kupon ukrył w Biblii, między przypadkowymi stronami. Kartki służyły za ochronę losu, a ciężka księga umieszczona w plecaku dawała ciągle znać, że wszystko jest na swoim miejscu. Po prostu musi jak najszybciej zawiadomić obsługę kolei, że zostawił w pociągu swój bagaż.

Przez moment jednak się zawahał. Nadjechał kolejny pociąg, który w kilka minut powinien znaleźć się na Dworcu Centralnym. Tam skład wcześniejszej

relacji musi jeszcze znajdować się na peronie lub o jedną stację dalej, by skończyć bieg. Nie miał pieniędzy, by wziąć taksówkę. Zdecydował się podjechać na gapę o jedną stację.

Wsiadł do pociągu. Nerwowo przebierał nogami, nie wchodząc do przedziału. Stał cały czas przy drzwiach i obserwował mijany krajobraz za oknem.

Na Dworcu Centralnym po drugiej stronie torów stał pociąg, którym jechał do Warszawy. Wawrasz biegł jak oszalały, przedzierał się przez tłum ludzi, nie zwracając na nikogo uwagi. Potrafił kilka osób. Ktoś złorzeczył. Ochrona dworca wzmocniła czujność, spoglądając na pędzącego mężczyznę.

Wawrasz wpadł do pociągu. Przebiegł przez dwa wagony i znalazł się w przedziale restauracyjnym. Wars był pusty, nie licząc chłopaka przyjmującego dostawę żywności.

– Nie został tutaj przypadkiem plecak? – zapytał. Dyszał ciężko.

Pracownik Warsu pokręcił głową.

– Tam siedziałem. – Wawrasz wskazał na stolik, przy którym kilkanaście minut wcześniej spożywał posiłek.

– Nic tutaj nie zostało. Niech pan pyta kogoś z obsady konduktorskiej.

Wawrasz pobiegł dalej.

W przedziale dorwał domniemanego kierownika pociągu.

– Czy ktoś nie zgłosił, że znalazł plecak?

– Nic mi nie wiadomo.

– Zostawiłem plecak w Warsie. Wysiadłem na wcześniejszej stacji.

– Drogi panie, nie mam żadnej informacji w tej sprawie. Może warto spróbować w punkcie obsługi klienta.

– Czyli?

– Musi pan wyjść z peronów. Może ktoś znalazł i zaniósł.

– Oby...

– Ale nie nastawiałbym się. Wie pan, jacy są teraz ludzie. Jak wilki. – Uśmiechnął się na to porównanie.

Przez głowę Wawrasza przeszła pewna myśl. A może obsługa pociągu znalazła mój plecak i ten kierownik położył na nim łapę? On coś musi wiedzieć, stąd ten uśmiech, ta pewność siebie, że plecak będzie nie do odnalezienia. Próbuje

wprowadzić mnie w błąd. W Rafale znowu zbudził się pierwotny instynkt. Emocje zaczęły buzować. Chciał rzucić się na pracownika kolei, przygnieść go do szyby wagonu, chwycić za włosy i uderzać jego głową, aż w końcu przyzna się, że zabrał i ukrył jego własność.

Opanował się jednak.

– Jeszcze coś? – zapytał kierownik pociągu, widząc, że Wawrasz wciąż stoi w tym samym miejscu.

Wyszedł na peron. Spojrzał na ruchome schody, próbując ułożyć plan działania na najbliższe chwile; musi dostać się do biura administracji dworca albo do ochrony, powinni mieć nagrania z kamer. Będzie widać, kto z pociągu, którym podróżował, wychodzi z jego plecakiem. W momencie, gdy uświadomił sobie, kto mógł to zrobić, zobaczył go na szczycie ruchomych schodów.

Bruno stał na jednej nodze, drugą opierając czubkiem buta o posadzkę. Ręce miał skrzyżowane na piersi, a przez ramię przewieszony plecak Wawrasza. Uśmiechał się szelmowsko.

Wawrasz aż wbiegł po kolejnych przesuwających się w górę stopniach.

– Oddawaj, co moje, złodzieju!

Kilka osób odwróciło się w ich kierunku.

– Zamknij się... – powiedział Bruno, ścisząc głos. – Panikujesz jak młoda cipka. Przyjacielu, czekałem tu na ciebie, by oddać twoją rzecz. – Zdjął plecak.

Wawrasz wyrwał mu go z rąk.

– Wyleciałeś z tego pociągu jak śpik z nosa. Dopiero gdy ruszyliśmy, to zobaczyłem, że zostawiłeś swoje bety. Zaopiekowałem się twoją własnością.

Wawrasz w ogóle nie słuchał Brunona. Otworzył plecak i sprawdził jego zawartość. Wszystko się zgadzało. Wyjął i przekartkował Biblię, znajdując w jednym miejscu zgrubienie, a między stronami kupon Lotto. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Znowu był szczęśliwy, tą swoją ulotną, prostacko rozumianą pomyslnością.

– Co? Taką mam gębę? Wymalowane na twarzy, że siedziałem?

– Przepraszam, zdenerwowałem się.

– Od razu za złodzieja, co?

– Pomyłka, po prostu mam w środku ważne dokumenty.

– Czekałem na ciebie, kolego. Nigdzie się nie ruszałem. A mogłem iść w pizdu i tyle byś zobaczył swój plecaczek.

– Ogromne dzięki. – Wawrasz wyciągnął rękę w stronę Brunona, uścisnęli sobie dłonie. Bruno jednak nie puszczał dłoni Rafała, lecz zatrzymał ją w mocnym uścisku.

– Może jakieś znaleźne dla dobrego człowieka?

– Eee... Wiesz co, bardzo bym chciał, ale nie mam pieniędzy.

– To jak do Warszawy przyjechałeś, gołodupcu? – Zarechotał. – No weź poratuj na jakiś obiadek.

– Naprawdę. Zobacz. – Wawrasz pokazał mu pusty portfel.

– Ale chyba masz coś na koncie?

– Heh... No tak... Z bankomatu wypłacę! – Rafał udawał przed Brunonem, że zapomniał o dodatkowej opcji pozyskania gotówki. Dlaczego w ogóle przejmuje się tym obcym gościem? Za niedługo odbierze miliony złotych i będzie mógł robić, co tylko zechce. – Wiesz co... W sumie to nie mam nic na koncie.

– Taa, kurwa... Taki z ciebie kumpel. To jak wrócisz do siebie bez kasy?

– Przyjechałem zrobić interes.

– O! Czyli będziesz miał forszę. To może się spotkamy tutaj, gdy będziesz wracał?

Wawrasz poszedł w swoją stronę, ale szybko zorientował się, że Bruno idzie tuż za nim. Jeszcze pójdzie aż do siedziby Lotto. Jeśli mnie tam zobaczy, nigdy nie da mi spokoju – pomyślał. Rafał zatrzymał się nagle, odwrócił i przerwał mamroczącemu coś pod nosem mężczyźnie:

– Gościu, weź się ode mnie odpierdol!

Bruno splótł palce na przeponie i zaniósł się śmiechem. Nie powiedział nic, został w miejscu i śmiał się do rozpuku.

Wariat – pomyślał Wawrasz, przyspieszając kroku. Zostawił na dworcu chichoczącego mężczyznę, sam zaś ruszył czym prędzej w kierunku największego szczęścia, jakie widział na horyzoncie – góry pieniędzy, po które wystarczyło sięgnąć.

## 13

Wawrasz stanął przed budynkiem Lotto, zrobił głęboki wdech i uśmiechnął się pod nosem. Miał nadzieję, że jak najszybciej uda mu się zrealizować wymarzony plan – zaszyć się w drogim hotelu, zamówić dobre jedzenie i prostytutki, a później, jeśli jeszcze będzie miał czas, może sprawdzi, jak wygląda nocne życie Warszawy. Czuł się zagubiony. Rzadko bywał w tak dużych miastach. Ten nieustanny hałas ulicy, przejeżdżających samochodów, tłumy ludzi – to wszystko mocno go przytłaczało, nie pozwalało na swobodny przepływ myśli.

Zastanawiał się, jak szybko pieniądze wylądują na jego koncie. Wiedział, że ważny jest czas przelewów przychodzących i wychodzących. Zależy, z jakiego banku przeleją mu kasę. Po południu jednak powinni ją zaksięgować. Dobrze by było rozłożyć wygraną na kilka kont, tak dla bezpieczeństwa, ale mam na razie tylko jeden rachunek plus oszczędnościowy, a na nim marne dwadzieścia dwa złote – bił się z myślami.

Gdy skończy balangę, co dalej? Trzeba będzie jak najszybciej wyjechać. Zadzwoić do matki i powiedzieć, że już nigdy nie wróci, albo lepiej, że ruszył do pracy za granicę i chce trochę zarobić, bo tutaj w Polsce to prędszej wyzionie ducha, zanim coś odłoży. To dobry pomysł; da mu pretekst, by wysłać jej pieniądze. Nie chciał zostawić matki na pastwę losu. Z drugiej strony cieszył się na samą myśl, że wreszcie się od niej uwolni, on, dorosły mężczyzna.

Wyjechać... Po to, by nikt nie połączył go z zaginięciem stolarza. Może więc lepiej zostać? W końcu nigdy się nie dowiedział, komu Krajan mógł powiedzieć o tym, że ostatnim klientem była matka Wawrasza. Po drodze mógł jednak odwiedzić innych klientów. Jeśli do tej pory nie odnaleźli jego ciała, to tym bardziej po czasie nie połączą go z wizytą u Wawraszów.

Tylko dokąd wyjechać? Może na Kubę? Albo do Tajlandii? Widział w internecie zdjęcia pięknych plaż, przejrzystej wody i zdrowego jedzenia. Może to jest dobry pomysł? Jeszcze lepiej, jakby znalazł jakąś pracę na miejscu, coś fajnego, lekkiego, najlepiej na kilka godzin. Po to, by lokalna społeczność nabrała do niego zaufania, by nie wzbudzał podejrzeń, skąd ma pieniądze na dobrą zabawę. A jak pojawią się

pytania, powie, że ma bogatych krewnych, którzy lubią dzielić się z nim pieniędzmi.

Boże... Po co w ogóle myślę o jakiejś pracy? – pytał się w duchu. Trzydzieści milionów... Założmy optymistycznie, że pożyję jeszcze czterdzieści lat. To daje siedemset pięćdziesiąt tysięcy na rok, czyli równe sześćdziesiąt dwa tysiące pięćset złotych na miesiąc. Na taką kwotę, jako listonosz, musiałbym harować co najmniej dwa lata. Niewyobrażalna fortuna, z którą mogę zrobić, co tylko zechcę.

Czasami odnosił wrażenie, że nie potrzeba mu do szczęścia niczego więcej jak tylko długiego snu, piwa i dobrego jedzenia. Chciałby po prostu wreszcie odpocząć, nie wstawać bladym świtem i gdy jeszcze chłód poranka wdziera się za kołnierz, pędzić rowerem do pracy. Móc rzucić to wszystko, najzwyczajniej poleżeć bez celu, bez wewnętrznego stróża, który przypomina o niezliczonych obowiązkach.

Wawrasz wyjął z plecaka Biblię, by jeszcze raz przyjrzeć się ukrytemu w niej kuponowi Lotto. Przekartkował szybko księgę, otwierając ją na zgrubieniu. Wyjął kupon. Coś mu nie grało. Papier wyglądał jak nowy. Jego kupon nosił ślady palców, miał zagięte rogi, w dwóch miejscach wydawał się zagnieciony. Poza tym Wawrasz skreślił liczby ręcznie. Z kolei kupon, który trzymał w ręce, miał zadrukowane liczby, czyli ktoś puścił go na chybił-trafił.

Spojrzał na datę zawarcia zakładu.

Dzisiaj.

– Co za skurwieli... – powiedział na głos.

Poczuł, jak wszystkie siły kolejny raz odpływają od niego. Stawał się mielizną, dnem porośniętym jedynie wielkim gniewem i bezradnością. Zacisnął pięści tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie. Paznokcie boleśnie wbijały się w skórę dłoni, ale Wawrasz w ogóle tego nie czuł. Coś wewnątrz niego pękło, to zdarzenie diametralnie zmieniło jego życie.

Wtedy usłyszał głośny gwizd. W pierwszym momencie nie zareagował na ten dźwięk. Ktoś gwizdał do czasu, aż Wawrasz się odwrócił.

Tuż przed wejściem do sklepu alkoholowego stał Bruno. Nonszalancko opierał się o ścianę budynku, w jednej ręce trzymał między palcami szyjkę butelki z piwem, drugą wymachiwał kuponem Lotto.

Wawrasz doznał nowego uczucia. Nie potrafił go w tamtym momencie nazwać, dopiero po czasie, gdy podsumował swoje życie, mógł stwierdzić, że to, co jeszcze chwilę wcześniej w nim pękło, ten żal do świata i bezbrzeżne rozczarowanie, skleiło się w jedną wielką kulę gniewu dającą ogromną moc. Wiedział też, w którą stronę ją skierować.



Wawrasz ruszył w stronę Brunona. Był jak pędząca maszyna, jak pociąg towarowy mijający kolejne stacje.

– Witaj, kolego. To co, postawisz ten obiad? – Bruno się uśmiechnął.

Wawrasz dopadł do niego, chwytając go za poły kurtki.

– Oddawaj to, pieprzony złodzieju.

Bruno błyskawicznie schował kupon do kieszeni. Wawrasz nawet nie zauważył kolejnego ruchu, poczuł tylko bolesne ukłucie w okolicy żeber.

– Uspokój się, kurwa, bo dostaniesz kosę, jasne?

Wawrasz od razu spokorniał.

– Pójdziemy teraz w jedno miejsce, okej? Będziesz grzeczny?

Przecieli parę przecznic. Następnie Bruno zatrzymał taksówkę. Podał nic niemówiący Wawraszowi adres. Na miejscu byli po czterdziestu pięciu minutach. Rafał zdał sobie sprawę, że znajdują się gdzieś na obrzeżach Warszawy. Okolica nie wyglądała na przyjazną, wiele starych kamienic, zaśmieconych podwórzy oraz graffiti na murach.

– Kolega zapłaci – oznajmił Bruno kierowcy, który zatrzymał się na wąskiej uliczce.

Wawrasz wyjął kartę płatniczą, wpisał w terminalu PIN, pozbywając się ostatnich środków na koncie.

– O co ci chodzi, człowieku? – zapytał, gdy przecinali chodnik.

– Jak to o co? Kasa, misiu, kasa.

Minęli podrzędny bar, melinę, której drzwi były cały czas otwarte. Kilku pijaczków spożywało alkohol przy dwóch ustawionych przed lokalem stolikach. Mężczyźni minęli budynek i ruszyli wzdłuż niego, wąskim przesmykiem między śmierdzącymi uryną ścianami. Szybko znaleźli się przed bocznym wejściem.

– Zapraszam – powiedział Bruno.

Weszli do środka, na zaplecze baru. Powietrze wypełniał stęchły zapach wilgoci oraz starego piwa. Buty lepiły się do brudnego linoleum pokrywającego podłogę.

– Siadaj. – Bruno pchnął Wawrasza i wskazał mu krzesło przy stoliku nakrytym ceratowym obrusem w kratę.

Rafał posłusznie wykonywał rozkazy mężczyzny, pamiętając, że ten ma coś najcenniejszego pod słońcem.

Nagle do pomieszczenia wbiegł jakiś chłopak, prawdopodobnie barman.

– Nie przeszkadzaj, kurwa! – krzyknął Bruno.

– Jasne, szefie.

Chłopak wycofał się jeszcze szybciej, niż się pojawił.

– A teraz możemy przejść do interesów.

Bruno wyjął kupon i z nabożeństwem ułożył go na brudnej ceracie.

– Sprawdziłem to gównem i... panie kolego, jesteś milionerem!

Wawrasz przysłuchiwał mu się bez słowa.

– Rozmawiam właśnie z cholernie bogatym kolesiem. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Rafał czuł się coraz bardziej zbity z tropu.

– Masz wszystko. Dupy, bale i lokale są twoje. Zazdroszczę w chuj! – zarechotał Bruno. – Ale wiesz, po czym poznaje się wielkich ludzi?

– Nie mam pojęcia – odezwał się w końcu Wawrasz.

– Po geście.

Rafał już się domyślał, o co może chodzić Brunonowi.

– Prawdziwy zdobywca, jebany człowiek renesansu, król życia musi mieć gest, rozumiesz? I ty właśnie taką postawę zaprezentujesz. Będziesz wzorem do naśladowania.

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Pieniądzy. Już ci mówiłem.

Bruno rozejrzał się po biurze, po czym zawołał:

– Młody! Dawaj mi tutaj kartkę i coś do pisania!

Barman wbiegł ponownie, przynosząc żądane przedmioty.

Bruno wziął do ręki długopis i zaczął zapisywać kolejne numery na kartce, po czym przesunął ją w stronę siedzącego naprzeciwko Wawrasza.

– To jest konto, które podasz do wypłaty nagrody.

– Raczej trzeba podać dwa konta.

– Widzę, że się przygotowałeś. Dobrze.

Wyjął portfel, a z niego karteczkę, z której przepisał kolejny numer rachunku bankowego.

– Już załatwione. Mówisz, masz.

Wawrasz czuł się coraz bardziej poirytowany. Postanowił zaryzykować.

– A co ja z tego będę miał?

– Będziesz wielkim, szczodrym człowiekiem.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Spróbuj. Poczekam na ciebie przed siedzibą Lotto. Możesz już iść.

Wawrasz coraz bardziej czuł, że mężczyzna po prostu robi z niego wała. Ukradł kupon, by później mi go oddać? – zastanawiał się. Przecież mógłbym i tak podać swoje konto, a później zniknąć. Dlaczego w takim razie sam nie pójdzie z tym kuponem po odbiór nagrody?

– Widzę, kolego, że się wahasz. – Bruno nachylił się nad stołem. – Źle trafiłeś. Jestem ze starej gwardii, z tych skurwysynów, którym nawet jeśli siedzą w pierdłu, ludzie oddają długi i są na pstryknięcie palcami. Jeśli stąd wyjdiesz, co chwilę będę miał cynk, co właśnie robisz. Puścisz parę z gęby, będziesz miał przejebane. Swoje odsiedziałem, ale nie za to, co powinienem. Gdyby było inaczej, słońce oglądałbym tylko ze spacerniaka, i to do końca życia. A wiesz, dlaczego ci ufam?

Wawrasz spoglądał z coraz większą irytacją i jednocześnie paniką na tego nieobliczalnego przestępcę.

– Bo przyjdiesz tutaj po wykonaniu zadania – dodał Bruno. – Dostaniesz swoją dolę. A potem rozejdziemy się w zgodzie i zapomnisz o wszystkim, ka pe wu?

Co zamierzał Wawrasz?

Żądza ogromnej fortuny, która była na wyciągnięcie ręki, przysłoniła mu wszelkie zagrożenia. Nie wierzył, że Bruno jest w stanie cokolwiek mu zrobić. Z jednej strony czuł, że facet z więzienną przeszłością nie blefuje, z drugiej uznał, iż musi go przechytrzyć. Istniało wiele przeciwwskazań, by Bruno wziął kupon i sam zjawił się po odbiór nagrody. Był poszukiwany przez policję, a prokuratura wystosowała przeciwko niemu ciężkie oskarżenia. Ale tego Wawrasz w tamtym czasie nie mógł wiedzieć.

Rafał Wawrasz zamówił taksówkę, wskazał kierowcy adres siedziby Lotto, a potem stało się coś nieoczekiwanego; to los wziął sprawę w swoje ręce.

Taksówka, którą jechał Wawrasz, brała udział w potężnej kraksie. Z powodu nieodpowiedzialnego zachowania motocyklisty aż dziesięć pojazdów zderzyło się ze sobą. Ktoś huknął taksówkę w prawą stronę bagażnika, siła uderzenia wypchnęła auto na lewy pas, kierowca z naprzeciwka chciał jeszcze zareagować, odbijając w lewo, ale nie zdążył i wpakował się wprost na samochód, w którym podróżował Wawrasz. W ten sam pojazd dobiły kolejne samochody, tworząc z citroena wielką, metalową harmonijkę. Kierowca zginął na miejscu.

Pasażer, Rafał Wawrasz, miał więcej szczęścia. Z poważnymi obrażeniami trafił na OIOM. Po dwóch tygodniach w szpitalu powoli dochodził do siebie. Ale tylko fizycznie. Mentalnie był w totalnej rozsypce.

Najpierw zorientował się, że nigdzie obok łóżka nie widzi plecaka, w którym ukrył kupon Lotto. Pytał po kilka razy pielęgniarki oraz lekarzy, którzy przychodzili na obchód, gdzie są jego rzeczy, ale słyszał jedynie:

– Nic nie przywieziono z wypadku. Znaleźliśmy tylko pana portfel w kieszeni spodni. Proszę się nie zamartwiać takimi rzeczami. Miał pan dużo szczęścia, że przeżył.

Wawrasz jednak nie dawał za wygraną. Cały czas dopytywał się o plecak, wieszczęł spiszek, pewnej nocy zwyzywał nawet pielęgniarki od złodziejek. W końcu dostał zastrzyk uspokajający z hydroksyzyną.

Nie ubolewał nad swoim stanem zdrowia. Opętańczo myślał o plecaku i kuponie Lotto.

Gdy zmniejszono mu dawkę leków przeciwbólowych i odzyskał trzeźwość umysłu, pojawiły się lęki.

Wawrasz zdał sobie sprawę, że przecież nie pojawił się tego samego dnia z powrotem u Brunona. Dla mężczyzny będzie to oznaczać tylko jedno – zdradę. Z tego powodu Rafał drżał przy każdym hałasie otwieranych drzwi. Z ulgą przyjmował widok lekarza lub pielęgniarki. Czasami po wizycie lekarza, którego wcześniej nie widział, żądał od niego pokazania legitymacji, potwierdzenia, że jest pracownikiem szpitala.

Późną nocą, gdy światła gasły, a jedyna poświata wpadała do sali przez niedomknięte drzwi wychodzące na szpitalny korytarz, nie potrafił zmrużyć oka. Czuwał. Nasłuchiwał kroków. Gdy stawały się głośniejsze, serce biło mu jak oszalałe.

Rano zażądał przeniesienia do sali jednoosobowej. Kiedy na wolnym łóżku umieszczono nowego pacjenta, Wawrasz widział w nim gangstera powiązanego z Brunonem. Wydawało mu się, że jeśli tylko zaśnie, mężczyzna z łóżka obok wstanie, weźmie poduszkę i przyłoży mu ją do twarzy, by go udusić. Bruno nie spocznie. Będzie szukał zemsty, ponieważ myśli, że Wawrasz go po prostu oszukał.

Wawrasz popadł w paranoję. Pewnego wieczoru usłyszał trzask pękających butelek, a następnie wołanie z za otwartego okna:

– Już po tobie, śmieciu!

Czy już mnie znaleźli, czy wiedzą, w której sali jestem? – pytał się w myślach, naciągając kołdrę aż po same uszy.

Wyrok śmierci.

Obietnica łatwego bogactwa, która zniszczyła mu życie.

Chciałby się zapaść pod ziemię, zniknąć z tego niesprawiedliwego świata. Myślał o tym bardzo intensywnie.

A potem do sali wszedł ktoś, kto złożył mu propozycję nie do odrzucenia.

– Wiem, co zrobiłeś.

Wawrasz płakał. Szloch rozsadzał mu klatkę piersiową. Oddychał z trudem, gęsta ślina ciągnęła się przez całą szerokość jego otwartych w skowycie ust. Zmierzwiłone włosy groteskowo wystawały spomiędzy palców dłoni złożonych na skroniach. Potrzebował pomocy.

Znajdował się w szpitalu, sam, ponieważ pacjenta dzielącego z nim salę przewieziono na badania. Mężczyzna, który złożył mu wizytę, musiał czekać na odpowiednią chwilę.

– Wiem wszystko, wiem, co zrobiłeś z ciałem stolarza.

Wawrasz podniósł wzrok na nieznajomego.

– Za coś takiego grozi dożywocie. Będziesz gnił w pierdłu aż do śmierci. Jesteś zbyt słaby psychicznie, żeby wytrzymać w tym środowisku. Nawet największego twardziela potrafią stłamsić, uwierz mi. Jeśli sędzia będzie łaskawy, to wyjdiesz jako staruszek. Ale świat już nie będzie wtedy taki sam. Szybko uznasz, że wolałbyś wrócić do swojej celi, bo tak bardzo się do niej przyzwyczaisz, tak mocno ją pokochasz. Nic innego ci nie pozostanie. Zero bodźców, życie ograniczone do parszywych ludzi, z którymi przyjdzie ci mieszkać, chodzić po spacerniaku. Zakochasz się w książkach. Tak... To będzie twoja jedyna ucieczka w inną rzeczywistość. Ale im więcej będziesz czytał, im bardziej otwarty staniesz się na przyswajane treści, tym większy ból poczujesz. Będzie to zdecydowanie większe obciążenie niż sygnały wydawane przez twój stary, zniszczony organizm.

Wawrasz zaczął poruszać się obłąkańczo. Leżąc w łóżku, kiwał się do przodu i tyłu jak wahadło zegara. Nie miał pojęcia, kim jest ten facet, skąd się wziął i jak poznał jego najczarniejsze sekrety.

– Mogę ci jednak pomóc.

Te słowa brzmiały dla Wawrasza jak obietnica lepszego jutra, działały jak balsam na skołataną duszę.

– Można wymazać wszystko, co zrobiłeś. Sprawić, że staniesz się niewidoczny. Znam na to sposób. Tylko czy będziesz gotów na to, by świat o tobie zapomniał?

**CZĘŚĆ  
TRZECIA**

# 1

Lubosz zastanawia się nad tym, co właśnie usłyszał od profesora mykologii. Próbuje poukładać sobie w głowie wszystkie przyczyny i skutki zamierzonych działań właściciela laboratorium. Czy to naprawdę możliwe, by wyhodować określone gatunki grzybów, które przyspieszą proces rozkładu ciała? Lubosz w wydziale kryminalnym widział już wiele, ale pierwszy raz spotkał się z takim *modus operandi* sprawcy. Nigdy wcześniej nie słyszał, by oprawca stosował tego typu metodę pozbycia się ciała i śladów behawioralnych.

– Mówiąc wprost i jak najbardziej obrazowo dla laików – ciągnie profesor Ochabski – grzyby ukryte w tym kombinezonie miały po prostu zjeść pańskie ciało.

– To brzmi nieprawdopodobnie – podsumowuje Lubosz wykład profesora.

– To jeszcze nie koniec – odpowiada mykolog. – Informacje, które przedstawię, mogą się panom przydać nie tyle do wyobrażenia sobie, co poszukiwany przestępca zamierzał zrobić z waszymi ciałami po śmierci, ale dostarczą, myślę, wielu przydatnych szczegółów dotyczących oprawcy. Nie jestem profilerem, ale jeśli ktoś ma taką wiedzę i umiejętności w różnych dziedzinach nauki, musi dysponować całkiem bystrym umysłem.

– Facet stworzył grzybnię na materiale i to ma przyspieszyć rozkład? – włącza się Bogucki.

– Panowie, dajcie dokończyć. On przekształcił projekt *The Infinity Burial Suit* na swoje potrzeby. To projekt amerykańsko-koreańskiej artystki, która jest również naukowcem. Wyhodowała specjalny szczep grzybów pozwalający na szybki i dokładniejszy rozkład ciała człowieka po śmierci. Chodzi o to, by rozkład tkanek był przyjazny dla środowiska, ekologiczny i...

– Ja pierdolę... – komentuje Lubosz.

– Jae Rhim Lee, założycielka firmy Coeio, opracowała specjalny kombinezon, dzięki któremu ciało ludzkie po śmierci zostanie oczyszczone z toksyn i biodegradowane. Takie podejście pozwala w niektórych stanach Ameryki na pochówki w lasach lub na innych otwartych terenach. Ciało człowieka składa się z metali ciężkich, w tym rtęci, różnego rodzaju pestycydów czy też konserwantów.



Kombinezon opracowany przez Lee ma rozproszony w materiale zarodniki grzybów, które wcześniej uczyły się rozkładu ciała na fragmentach jej skóry, włosów, paznokci. Czarny kombinezon przeszła białymi nićmi imitującymi wzór rozrastającej się grzybni, a pod nimi umieściła zarodniki grzybów. Ten kombinezon, nazywany też skafandrem, różni się nieco wyglądem od tego, który został znaleziony w laboratorium, niemniej ktokolwiek go stworzył, musiał wzorować się na pracy Lee. Jej starania znalazły naprawdę wielu zwolenników. Jak widać, nie tylko ludzi, którzy chcieliby ekologicznego pochówku, lecz naśladowcę chcącego wykorzystać całą ideę do koszmarnych celów.

– Panowie – zaczyna Machnacki. – Nie chcę się mieszać do śledztwa, ale proponuję uważnie przyjrzeć się otoczeniu osób, którym zwłaszcza Arek mógł zależeć za skórę. Porwanie córki, przetrzymywanie jej przez trzy lata, by następnie karmić grzybnią jej oraz twoim DNA, to naprawdę chora akcja.

– W jakim celu tak naprawdę powstał ten projekt? – dopytuje Arek, zwracając się do profesora.

– Głównie w trosce o ochronę środowiska. Tak jak wspomniałem, te grzyby mają przyspieszyć dekompozycję ciała. Dodatkowo, w przeciwieństwie do tradycyjnego pochówku, po człowieku nie pozostaje żaden ślad poza szkieletem, a wszystkie związki toksyczne zostają rozłożone i nie przedostają się do biosfery.

– Dobra... Uporządkujmy fakty. Ta kobieta opracowała więc specjalny szczep grzybów, który rozkłada ciało człowieka w taki sposób, by do ziemi nie przedostały się żadne szkodliwe związki? Jaki to ma sens w obliczu milionów ton śmieci produkowanych codziennie oraz emisji dwutlenku węgla?

– Pyta mnie pan o proces degradacji środowiska?

– Nie... Chciałem powiedzieć, że niszczymy się nawzajem od początku istnienia, więc takie ekogówno nic nie zmieni.

– Myli się pan. Jeśli wszyscy będziemy patrzeć tylko na czubek własnego nosa, skażemy przyszłe pokolenia na walkę o przetrwanie, na życie w naprawdę nieprzyjaznych warunkach. A problem pochówków, braku miejsc na cmentarzach, czy też napięcie między kulturą śmierci a tradycją i religią, już pojawia się w wielu miastach. W wielkich metropoliach, gdzie każdy metr kwadratowy jest odpowiednio zagospodarowany, wyrastają prawdziwe nekropolie: budynki sprawujące funkcje ogromnych cmentarzy, które na wielu piętrach mają miejsca

do przechowywania skremowanych zwłok. W przypadku tego projektu badaczka zaproponowała odejście od tradycyjnego losu martwego ciała do tak zwanych biourn, nieszkodliwego dla środowiska powrotu ciała do ziemi.

– Trudno mi to przyjąć... zwłaszcza że ktoś naśladował działanie tej artystki, by moje ciało zostało pochłonięte przez cholerne grzyby. Ale dlaczego? Dlaczego według pana nasz poszukiwany używa takiej metody?

– Hmm... – Profesor cmoka. – Przyczyn może być wiele. Może najpierw nakreślę skutki zastosowanej metody. Przede wszystkim ekologia, pozbycie się toksyn z ciała człowieka przy rozkładzie tkanki to główna idea projektu, czyli ekopogrzeby i pochówki. Nasze ciała zawierają ponad dwieście różnych toksyn, zwłaszcza szkodliwy bisfenol A. Autorka projektu zapewnia także specjalne kapsułki, które pomagają w rozkładzie, plus oczywiście kombinezon z grzybami. Można więc raczej wykluczyć, że poszukiwanej osobie chodzi o ideę ekologicznych pochówków. Raczej o coś innego, czyli zdecydowanie szybszy rozkład ciała, co zapewniają wyhodowane zarodniki grzybów. W laboratorium znaleźli państwo również specjalne całuny, na których produkowane były zarodniki grzybów. Według projektu Lee tego typu całuny, wykonane z organicznej bawełny, przyspieszają dekompozycję ciała, ale przede wszystkim wzbogacają glebę, w której zostanie złożone ciało opatulone tym materiałem. Czy taki jest cel tego niewątpliwie wyższego umysłu? Szczerze wątpię, bo rozumiem, że ta osoba praktykowałaby raczej takie pochówki na przypadkowych ofiarach, a nie porywała do tego celu córkę pana komisarza. Trudno wykluczyć też działanie o podłożu psychologicznym, może chce zaimponować sobie, swojemu choremu umysłowi. Nie wiem... To już nie moja działka.

– Czy ktoś wcześniej skorzystał z tej metody?

– Czytałem, że tak. Jest wielu chętnych na taką formę pożegnania się z tym światem. A sam kombinezon kosztuje ponad tysiąc pięćset dolarów.

Machnacki, Bogucki i profesor wchodzą w dyskusję. Arek przestaje ich słuchać. Skupia się na faktach, które poznał. Jeśli ktoś przygotowywał kombinezon, by rozłożyć moje ciało w taki sam sposób, jak inne ofiary, oznacza to, że ten człowiek nie odpuści – rozważa. Jeśli przygotowywał się tyle czasu, poświęcił wiele dni, by misternie zrealizować swój plan, należy zastanowić się, z kim tak naprawdę mamy do czynienia. Ktoś musi szukać zemsty. Córka Sylwia, tatuaże na ciałach zaginionych z komunikatem wymierzonym we mnie, teraz jeszcze ten skafander.

Arek długo nie chciał zgodzić się z oczywistymi faktami – ktoś celuje prosto w niego. Ktoś, kto nie cofnie się przed niczym, dopóki nie zrealizuje swojego planu. Dał pokaz siły, zabijając Pawła Opolskiego; Arek wciąż nie wierzy w samobójstwo chłopaka. Opolski był ostatnią osobą, która widziała Sylwię przed zniknięciem w lesie. Chłopak musiał wiedzieć więcej niż tylko spanikowanego Marka i wiedzieć o wiele więcej, tyle, by ktoś bez skrupułów go wyeliminował. O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego akurat Sylwia... Dlaczego ktoś chce mnie ukarać?

Naraz nachodzi go bardzo niewygodna, ale i odkrywczą myśl.

A jeśli w tym wszystkim nie chodzi o mnie... – zastanawia się. A jeśli zemsta dotyczy całej mojej rodziny?

Lubosz zrywa się z krzesła. Kierując się w stronę wyjścia, narzuca na siebie kurtkę bomberkę.

– A ty dokąd? – niepokoi się Marek.

– Już wiem wystarczająco dużo. Zajmijcie się śledztwem, ja tutaj nic nie pomogę.

– Tylko nie rób głupot – przestrzega Bogucki. – I skontaktuj się wreszcie z tą dziennikarką.

– Jasne.

– Arek, to będzie kluczowe. Nagłe zniknięcie Krótkowskiego musi mieć jakieś znaczenie. Zdzwonimy się, bo będę miał parę spraw.

Lubosz wyjmuje paczkę papierosów.

– Aha, leć jeszcze do Holicy, bo się piekli straszliwie – zaznacza Bogucki.

– Kurwa... – mruczy pod nosem Lubosz. – Przecież ten pierdziel powinien już być na emeryturze. Chłopaki przygotowywali mu pożegnanie.

– Trzyma się stołka. Ma znajomości, to mu przedłużyli, by dostał wyższą emeryturkę.

Lubosz macha ręką, po czym łapie za klamkę.

– Arku, uważaj – rzuca Machnacki, lustrując materiały z ekspertyzy zgromadzone na stoliku. – Ten psychol przygotowywał się na ciebie od dawna. Może znowu uderzyć, tym razem wybierając bardziej prozaiczne środki...

Marek wybiega za Arkiem. Wciąż myśli o tym, co tu słyszał, i o tatużach. Kto z nich mógł znać Lubosza? Tylko dwie osoby. Tylko dwie osoby mogły w tak kuriozalny sposób wysłać do Arka wiadomość. Komunikaty zapisane w tatużach dźwiękowych.

– Arek. Zaczekaj. Trzeba rozkminić dokładnie te tatuże. To znaczy podążać tym tropem. One dotyczą ciebie. To pomysł jakiegoś chorego psychologa. Kto uciekałby się do czegoś takiego?

Arek rzuca na ziemię wypalonego do połowy papierosa.

– Nie... cały czas tak myśleliśmy, bo on właśnie tego chciał, rozumiesz?

– O czym ty mówisz?

– Jestem śledczym. Przez przypadek trafiła mu się córka policjanta. Miał pecha. Wiedział, że będę jej szukał. Intensywnie. Pozostałych osób nikt nie szukał. Poza rodzicami Kmitę, którzy szybko odpuścili. On to wszystko zaplanował. Trzeba pomyśleć, w którym momencie zbliżyliśmy się do niego najbardziej. Aż w taki sposób, że postanowił wytatuować ten cholerny komunikat na rękach biednych ludzi. Zrobił to tylko po to, aby skoncentrować nasze śledztwo wokół mojej przeszłości, wokół ludzi, którym zalażłem za skórę, z którymi coś mnie łączyło.

– Nie wiem...

– On chciał wymazać Sylwię, Kmitę, Wawrasza. Dlaczego? Dlaczego świat miał o nich zapomnieć? Ponieważ sami tego chcieli. Tyle tylko że trafili w ręce nieobliczalnego potwora. Ja stanowią ostatnie ogniwo. Wie, że jeśli się mnie pozbędzie, śledztwo umrze. Że już nikt nie będzie drążył. Dlatego sam postanowił mnie wymazać. Najpierw z życia zawodowego, a później prywatnego. Przygotował grzyby, które doskonale rozłożyłyby moją tkankę. Tak, aby nie pozostał po mnie ślad.

Lubosz nieruchomieje. Dreszcz przechodzi mu po plecach. Naraz kolejne elementy układanki stają się dla niego oczywiste. Próbuje usystematyzować informacje, odpowiadając na pytania – komu najbardziej zależało, by odsunąć go od służby, a kto stwarzał pozory, że jest zupełnie inaczej?

Zaczyna lekko się chwiać.

Marek łapie go za łokieć i podtrzymuje.

– Co jest z tobą? Wszystko w porządku?

– Moment.

Arek kuca, próbując głęboko oddychać.

Świat wiruje mu przed oczami.

– Stary, musisz odpocząć – mówi Marek.

– Nie teraz...

Lubosz dokładnie wie, co musi zrobić. Przypomina sobie rozmowę ze staruszką mieszkającą w domu opieki, który przekazał mu, że pewien mężczyzna szukał go w ośrodku. Musi ustalić, kto to był. Jeśli jego podejrzenie się potwierdzi, będzie o krok od rozwiązania sprawy. A wtedy odnajdzie córkę.

Ale najpierw chce porozmawiać z Ewelina.

## 2

Mógł od razu zajmować się wszystkim w piwnicy swojego domu, ale niestety nie miał odpowiedniego metrażu, by zbudować laboratorium. Poza tym wścibscy sąsiedzi zorientowaliby się, że coś ukrywa. Zbyt dużo zakupów jak na kawalera, szemrane towarzystwo, niespodziewane wizyty różnych osób o nocnej porze, w końcu wiele innych szczegółów, których nie potrafiłby kontrolować. Przez tyle lat nauczył się, jak nie srać do własnego gniazda i tworzyć pozory rzeczywistości wśród ludzi, którzy go znali. Wychodziło mu to perfekcyjnie.

Teraz postanawia zaryzykować. Nie ma już wyjścia. Wraz z odkryciem laboratorium plany wzięły w łeb, a śledczy deptają mu po piętach. Trzeba sprzątać, na ile tylko się da. Dlatego rozczłonkowanego ciała złożonego w zamrażarce ukrytej w piwnicy musi pozbyć się w tradycyjny sposób. Nie ma już czasu i warunków na to, by przygotować je na rozkład. Zwłaszcza że ostatnie ciało należy do grubasa, a tłuszcze spowalniają rozkład materii. Gdy je kroił, było mu niedobrze, ale nie z powodu widoku, jaki się przed nim malował, lecz z ogromnego rozczarowania. Poczul zawód, że człowiek, którego obdarzył zaufaniem, aż tak bardzo próbował go oszukać. Ale z nim się nie pogrywa. Dlatego teraz grubas nie ma już nic do powiedzenia, choć miał długi język.

Traci pewność siebie. Znowu nachodzą go myśli, by się wycofać. A jeśli poniesie klęskę? A jeśli wezmą go za największego potwora, jaki chodził po tej ziemi? Czy idea, której podporządkował życie, jest tego warta?

Zastanawia się, czy jednak nie zmienić planu. Czy sam mógłby jeszcze zniknąć? Czy zdołałby od tego uciec? Wszystkie osoby, z którymi miał bezpośredni kontakt, są martwe. Wawrasz, Opolski, Kmita, jego pomocnik, który miał zniszczyć laboratorium, a namieszał jeszcze bardziej, zwłaszcza gdy spowodował wypadek nissanem sunny... i Krótkowski, który go zdradził, oraz wielu innych łączących się z matką naturą. Została tylko Sylwia oraz on... ten facet też może sporo namieszać... Trzeba coś z tym zrobić.

Czuje się słaby, tak bardzo słaby. Jak wtedy, gdy wyśmiewano się z niego w szkole, gdy dzieci z dobrych domów wskazywały palcem na jego mamusię, wyzywając ich od dzikusów mieszkających w lesie. Całe życie miał pod górkę. Na

studiach, gdy wyrzucono go z kilku kierunków, najpierw z chemii, biologii, a następnie z medycyny. Na ostatnim kierunku przynajmniej wiele się nauczył, w tym paru praktycznych rzeczy, które wykorzystał w późniejszej działalności. Pracował nad sobą przez cały czas, by stać się jak kameleon – maskować emocje. Nie okazywać przed innymi swoich słabości. Pracował, by stać się doskonalszy, ale świat tego nie zauważał.

Czy mógł założyć rodzinę? Przemoc, z którą się stykał, i brutalność rzutowały na jego związki, których nieśmiałe próby podejmował. Był agresywny, władczy, narzucał swoje zdanie, upokarzając kolejne partnerki. Z jednej strony nie uważał się za człowieka, dla którego popędy w ogóle są ważne, z drugiej zmuszał kobiety do stosunków. Sam nie potrafił tego zdiagnozować, ale uważny obserwator widziałby w jego zachowaniu zaburzenia seksualne i przeniesienie libido. Seks nie był dla niego wyrazem miłości, lecz pokazem dominującej władzy, z której czerpał satysfakcję. Jedną z kobiet pobił dotkliwie, gdy ta sprzeciwiła się jego żądaniom. Mógł wtedy wiele stracić. Jego partnerka mogła mu zaszkodzić i zburzyć reputację solidnego pracownika, którą budował przez lata. Postanowił ją uciszyć. Później już nie popełniał błędów młodości. Znalazł inną metodę pozwalającą mu czerpać jeszcze większą satysfakcję ze sprawowania władzy nad drugim człowiekiem.

Przeszarżował. Ale wszystko przez tę córeczkę policjanta. Chociaż jej jednej chce pokazać, że można zniknąć z tego świata, a jednocześnie wciąż trwać. Lecz to też będzie musiał odłożyć w czasie z powodu odkrycia laboratorium. Nieprędko uda mu się odtworzyć zarodniki, które hodował w skafandrze. Chyba że wróci tam i odzyska materiał. Może technicy nie skonfiskowali wszystkiego. Ale taka szarża byłaby szalenie niebezpieczna.

To, co się dzieje, przerasta go. Coraz trudniej jest mu utrzymać nerwy na wodzy. Sam zaczyna czuć, jak mocno rozchwiane są jego emocje. Czasami wstaje rano przekonany, że jest nieśmiertelny. W relacjach międzyludzkich znowu czerpie satysfakcję ze swojej czarnej natury, ze skrzętnie skrywanych sekretów i potencjalnego panowania nad drugim człowiekiem. Lubi wtedy tak spoglądać komuś w oczy, słuchać, co mówi, a w myślach słyszeć głosy przekonujące, że mógłby zrobić z nim to, na co tylko ma ochotę.

Innym razem jest coraz gorzej. Chce rzucić porażającą praktykę, przyznać się i pozwolić przypadkowi poprowadzić dalsze koleje jego życia, tak jak to robił do tej pory. Bo czy kiedyś mógł przewidzieć, że wyrośnie na mordercę?

Potem nachodzi go pokrzepiająca myśl. A może śledczy będą chodzić w kółko, a cała sprawa ze zniknięciem i późniejszym pojawieniem się osób w samochodzie, a następnie odkrycie laboratorium nigdy nie wyjdzie na jaw? Może zakwalifikują ją do dochodzeń typu Archiwum X i kiedyś, gdy już pożegna się z tym światem, jakiś przypadkowy dziennikarz śledczy lub dociekliwy detektyw ponownie zagłębi się w zgromadzonym materiale dowodowym?

Pozostaje Lubosz. On będzie drążył do końca...



### 3

Lubosz wypada na korytarz. Ma w głowie plan, który musi szybko wprowadzić w życie. Dopóki nie jest za późno.

Wciąż jeszcze ma wrażenie, jakby śledztwo stało w miejscu. Z każdym nowym odkryciem pojawia się więcej pytań, coraz więcej wątpliwości. Marek ma rację co do nagłego zniknięcia detektywa Krótkowskiego – to nie może być przypadek. Dlatego musi szybko skontaktować się z Marcelą, chociaż tak naprawdę stracił ochotę, by nadal utrzymywać z nią relację.

– Lubosz. – Komisarz Holica pojawia się w przejściu do jednego z biur. – Chodź na moment.

Arek, widząc wyczekujące spojrzenie komisarza, chce uciec. Już gotuje się w środku, że musi rozmawiać z nim o sprawie, w którą w ogóle się nie zaangażował.

– Bardzo mi się śpieszy.

– Rozumiem, ale pamiętasz o naszej umowie? To nie zależy ode mnie. Muszę złożyć raport w tej sprawie.

– Wymyśl coś.

– Ale daj mi chociaż jakieś okruchy.

– Nie mam za wiele...

– Człowieku, nie będę dla ciebie nadstawiał karku.

– Po co w ogóle się w to jeszcze bawisz? Słyszałem, że miałeś iść na emeryturę.

– No i co ja będę robił cały dzień? Poza tym wiesz, jakie psie pieniądze płacą. Pójdę w przyszłym roku, ale teraz i tak planuję wkrótce imprezę pożegnalną, jakiegoś grilla, piwko lub czysta, jak kto woli. Wpadniesz?

– Raczej nie – odpowiada Lubosz, kompletnie nie wiedząc, co stanie się za kilka godzin, a co dopiero w najbliższych tygodniach. – Szukasz przyjaciół?

– Nie rozumiem.

– To, że chcesz pomóc znajomej, przez co wmiksowałeś mnie w jakieś beznadziejne śledztwo, nie oznacza, że się zakumplujemy.

– Zapraszam wszystkich chłopaków, z którymi współpracowałem i do których mam zaufanie. Z tobą, Lubosz, łączą nas wspólne sprawy, więc możesz wpaść, żeby pogadać. Może do tego czasu sam coś więcej znajdę i przedstawię ci to przy kolejnym piwku. Może to ci otworzy oczy. Bo, jak widzę, na razie masz to gdzieś...

Lubosz robi krok, już chce iść, ale decyduje się jeszcze na chwilę wymiany zdań.

– Słyszałeś historyjkę o dwóch nauczycielach? – zaczyna. – Młody idzie na lekcję z rękoma pełnymi książek, na tym stosie niesie dziennik, na którym leży klucz do klasy. Staje przed drzwiami i zastanawia się, jak otworzyć drzwi. Nagle mijają go stary nauczyciel, idzie z jedną ręką w kieszeni, w drugiej trzyma klucz do klasy, którym wymachuje. „Młody, po co ci tyle książek?” – pyta stary nauczyciel. „Tutaj mam opracowania lekcji, szablony, notatki, potrzebne materiały. A pan gdzie to wszystko ma?” Stary nauczyciel odpowiada: „A ja to mam wszystko w dupie!”.

Holica spogląda tępo na Lubosza. Nie uśmiecha się, wygląda tak, jakby nie zrozumiał żartu.

– No i tobie też takie podejście sugeruję – podkreśla Arek. – Ja się go trzymam.

Komisarz Holica kręci głową, wyrażając rozczarowanie postawą młodszego policjanta.

– Żarty żartami, ale powiesz mi w końcu, co z Trewskim? Co zrobiłeś, by ruszyć z tym śledztwem?

– Ta sprawa jest martwa – odpowiada Lubosz i rusza przed siebie, zostawiając Holicę na korytarzu.

## 4

Lubosz łapie taksówkę i podaje kierowcy adres domu byłej żony. Przypomina sobie, że ostatnio jest pustawo na jego koncie bankowym, do tego stopnia, że może nie starczyć mu na opłacenie kursu, ale nie przejmuje się tym. Coś wykombinuje. Myśli o sprawdzeniu stanu konta w aplikacji mobilnej, lecz szybko porzuca ten pomysł. Po prostu nie chce mu się grzebać w telefonie.

Kierowca zagaja rozmowę, ale po kilku nieudanych próbach odpuszcza. Lubosz milczy jak grób, dając jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty na pogaduszki. Jego głowę zaprzatają inne myśli, skupiające się wokół wydarzeń z ostatnich dni i poznanych faktów.

– Może pan tutaj zaczekać? Szybka sprawa.

– Czas kosztuje.

– Dobra, to jednak dzięki. – Lubosz trzaska drzwiami.

– Panie! – krzyczy kierowca przez uchylone okno. – A zapłata za kurs?

– Moment.

– Gdzie pan leżysz?!

– Zaraz wracam.

Taksówkarz mówi coś jeszcze, ale Lubosz już go nie słucha. Wciska guzik domofonu tuż przy bramie wejściowej. Po chwili słyszy głośny brzdęk elektrycznego zamka. Ewelina nawet się nie odezwała, musiała zobaczyć go przez okno. Arek przechodzi wybrukowaną ścieżką między zadbanym trawnikiem i licznymi roślinami ozdobnymi. Spogląda na dom, w którym kiedyś mieszkał; teraz wygląda całkiem inaczej, reprezentacyjnie, jest zadbany, z nową elewacją, oświetleniem, ale Lubosz nie czuje z tego powodu żadnego sentymentu. Nie stać by go było na taki dom. Lecz kiedyś miał większe bogactwo – biegającą po ogrodzie, rozchichotaną córkę.

Drzwi otwiera Filip Tenczyński, partner byłej żony Arka. Lubosz miał już z nim niejedną scysję. Raz tak ostrą, że jego była żona chciała zerwać z nim wszelkie kontakty. Lubosz nie lubi tego pseudocoacha, złotoustego, który manipuluje nie

tylko naiwniakami posiadającymi grube portfele, ale niestety również swoją partnerką.

– Ja do Eweliny – mówi Lubosz, próbując ominąć mężczyznę, który jednak nie usuwa się z przejścia. Taka postawa nieco zaskakuje Arka, ponieważ jak dotąd Tenczyński wolał walczyć na słowa, albo raczej szeptem przemawiać do partnerki, nastawiając ją negatywnie przeciw byłemu mężowi. Zazwyczaj odchodził, stał z boku i obserwował nerwowe poczynania Arka.

– Mógłbyś już dać spokój?

– A mógłbyś się odpierdolić? – odpowiada Lubosz, nurkując w przestrzeń między ręką Tenczyńskiego a futryną drzwi.

– Impertynent... – mówi Filip już do siebie, kręcąc głową z niedowierzaniem. Odpuszcza jak zwykle.

Ewelina pojawia się w korytarzu.

– Co tutaj robisz? – pyta oschle.

– Musimy porozmawiać.

– Jestem w kontakcie z Boguckim. Informuje mnie o postępach w poszukiwaniu Sylwii. Niech tak zostanie.

– Wiem. Znajdziemy ją, a potem obiecuję ci, że zniknę z twojego pięknego życia. Tylko teraz potrzebuję twojej pomocy. To dotyczy Sylwii.

Ewelina milczy przez moment. Rozkłada na czynniki pierwsze każde wypowiedziane przez Arka zdanie, jakby jej najdrobniejszy gest miał być strategiczną decyzją dotyczącą działań zbrojnych.

– Wchodź – mówi w końcu.

– Kochanie, będę u siebie. Nagromadziło mi się trochę pracy papierkowej – oznajmia Tenczyński, bezszelestnie przechodząc do salonu. Ma coś z węża, myśli Lubosz, spoglądając na ruchy mężczyzny i jego gładko ogoloną twarz oraz głowę.

Ewelina prowadzi go do kuchni.

Lubosz siada na jednym z trzech hokerów i opiera łokcie o ciemny blat.

– Kawy?

– Mocnej.

Ewelina wyjmuje filiżanki i włącza ekspres. Krząta się po kuchni w poszukiwaniu nowego kartonu mleka. Lubosz lustruje pomieszczenie,

dostrzega ozdobne dodatki, kwiaty, rolety rzymskie w oknach, lśniące fronty mebli, automatyczny odkurzacz ładujący się w stacji dokującej ustawionej w rogu, tuż przy lodówce; obrazek jak z katalogu aranżacji wnętrz. Łapie się na tym, że w ogóle nie zwraca uwagi na Ewelinę, która ma na sobie legginsy podkreślające jej zgrabną figurę. Jeszcze kilka lat temu nie potrafiłby oderwać od niej wzroku. Czy uczucia można ot tak, po prostu wymazać?

Lubosz upija gorącej kawy.

– Dzięki.

– O chodzi? – Ewelina przechodzi do rzeczy.

– Właśnie dowiedzieliśmy się nowych faktów. Zachowaj je dla siebie, ale to coś nieprawdopodobnego.

Ewelina zdaje się wyraźnie zainteresowana.

– Nie będę wdawał się w szczegóły, w które zapewne wtajemniczy cię Marek, jeśli uzna, że może mówić o szczegółach śledztwa. Nie obchodzi mnie to. Odkryliśmy miejsce, gdzie przetrzymywana była Sylwia. Ktoś się przygotowywał, żeby pozbyć się jej oraz mnie. W sposób, powiedzmy... mocno nietypowy.

– Co z Sylwią? Gdzie może być?

– Tego nadal nie wiadomo.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że...

– Trzeba wierzyć...

Luboszowi głos więźnie w gardle. Zna statystyki takich spraw. Prawdopodobieństwo odnalezienia zaginionej osoby maleje wraz z upływem czasu. Tutaj sytuacja jest jeszcze bardziej zagmatwana. Sylwia odnalazła się po trzech latach, ale została porwana ponownie. Śledczy nie znają intencji porywacza. Istnieje niebezpieczeństwo, że przestępca wystraszy się, iż policja jest blisko. To może dać mu impuls do gwałtownych reakcji, których konsekwencją może być zabójstwo Sylwii. Cała wiedza operacyjna, doświadczenie wyniesione ze szkoleń, poparte praktyką i innymi sprawami, powodują, że Lubosz jest w totalnej rozsypce. Stara się jednak nie pokazywać na zewnątrz swoich emocji, zwłaszcza przed Eweliną. Już raz stracił nadzieję... Dlatego teraz nie chce nic więcej sobie wyobrazać, tylko działać. Do utraty tchu.

– Przeanalizowałem dowody, model potencjalnego zachowania przestępcy. Mam dwie teorie i zamierzam mówić o nich głośno. Pierwsza: komunikaty na

ciałach zaginionych osób mogą być tylko sugestią dla policji.

– Te tatuaże?

– Tak. Ich cel to odwrócenie naszej uwagi. Mają skierować śledztwo na wątek osobistej zemsty.

– A druga koncepcja?

– Ktoś faktycznie może chcieć wyrządzić krzywdę Sylwii. Ale nie tylko jej. To może dotyczyć całej naszej rodziny.

– Nie ma już „naszej” rodziny.

– Ale była i z jakiegoś powodu ktoś może się mścić na Sylwii, na mnie i również na tobie. Dlatego postaraj się w najbliższym czasie ograniczyć wyjścia. Po prostu bądź uważna na każdą zmianę. Nawet jakieś drobne odstępstwo od normy.

– Dlaczego ktoś miałby mi zagrażać?

– Tego jeszcze nie wiemy. Niech wystarczy ci fakt, że ktoś bardzo długo przygotowywał się, by po śmierci pozbyć się mojego ciała. A więc planował moją śmierć. Spróbuj skupić się na osobach, które mogłyby kierować do ciebie najgorsze emocje. To naprawdę ważne. Ktoś mógł po prostu chcieć zniszczyć naszą rodzinę. Może trzeba po trzech latach ponowić wywiad wiktymologiczny. Od tego czasu wiele się zmieniło. Ale o tym będę już rozmawiał z Boguckim.

Ewelina próbuje zająć myśli innymi rzeczami. Odnosi puste filiżanki i umieszcza je w zlewie. Następnie opiera się o blat, wciąż stojąc plecami do Arka. Oddycha ciężko. W końcu się odwraca i ze łzami w oczach mówi:

– Jeśli chciał zniszczyć naszą rodzinę, to mu się udało. Ale wiesz, w co wierzę? Że to tylko twoje rojenia. Próbujesz sobie wmówić, że ktoś jest odpowiedzialny za rozpad naszego małżeństwa, że ktoś wszystko zniszczył, ktoś, ktoś, ktoś! Zachowujesz się jak dziecko. Zawsze to nie twoja wina. Zawsze poszkodowany, zawsze ktoś skrzywdził biednego Arusia. Szukasz winnych wokół, a wciąż nie widzisz własnych błędów.

– Dobra... będę szedł.

– Najlepiej. Schowaj się, uciekaj z podkulonym ogonem!

Lubosz schodzi z hokera i bez słowa oddala się z kuchni. Ewelina nie daje za wygraną:

– Ty jesteś za to wszystko odpowiedzialny. Zrozum to wreszcie! Zawsze każda sprawa była ważniejsza niż Sylwia. Teraz nagle bohater się znalazł. Gdybyś poświęcał jej wystarczająco dużo uwagi, dziewczyna nie szukałaby pomocy na jakimś cholernym forum internetowym! Ale ona praktycznie nie знаła ojca, no bo skąd? Wiecznie zmęczony, wiecznie myślami przy sprawach z pracy!

Lubosz uderza dłońią o ścianę w korytarzu tak mocno, że na podłogę spadają z hukiem trzy obrazki w ramkach.

– I kto to, kurwa, mówi! Pani psycholog. Ja miałem zauważyć, że Sylwia się od nas oddala? Kto jak kto, ale chyba ty powinnaś to wcześniej widzieć?!

– Mam już ciebie serdecznie dość!

Lubosz macha ręką. Kroczy po gruzowisku, pod którym na zawsze zostaną pogrzebane wartości rodzinne. Tego domu już nigdy nie uda mu się odbudować.

Za plecami tylko słyszy:

– Naprawdę żałuję, że cię wtedy odratowali!

## 5

Arek wraca do siebie. Zaczyna się wieczór. Słońce coraz szybciej chowa się za horyzontem. Wydarzenia ostatnich lat zabrały Luboszowi wszelką radość. Kiedyś potrafił cieszyć się z małych rzeczy, ze świeżego zapachu po gwałtownej ulewie, promieni słonecznych układających się na pobliskich drzewach oraz chłodnej rosy o poranku, którą czuł pod gołymi stopami, gdy wychodził na trawnik zamieszkiwanego wcześniej domu. Chwile tylko dla siebie, drobne zachwyty, pielęgnował niczym najcenniejszą roślinę. Niestety, ktoś wyrwał ją jak chwast, bez skrupułów. Lubosz coraz częściej żyje tylko w terażniejszości i nie skupia się na tym, co wokół. Dostrzega jedynie głęboką czerń, podsycaną przez kolejne koszmary, które nawiedzają go co noc.

Kieruje się do mieszkania, mijając główne wejście, z którego wychodzą ludzie w średnim wieku, czyli dzieci seniorów przebywających w ośrodku. Co powiedziałyby Sylwia, widząc, jak obecnie żyje jej ojciec? – zastanawia się. Czy śmiałyby się, że i tak już jest stary, więc wybrał właściwe miejsce, czy wręcz przeciwnie – wstydziłyby się za niego?

Otwiera lodówkę, wyjmuje piwo i przelewa je do wysokiej szklanki. Puszkę wyrzuca do ogromnego worka na śmieci, przywiązanego do klamki, by lepiej spełniał swoją funkcję. Włącza laptop, wchodzi w wyszukiwarkę i wpisuje frazę *Infinity Burial*. Chce sprawdzić więcej informacji na temat metody rozkładu martwego ciała wykorzystującej aktywatory w postaci specjalnie hodowanych grzybów, o której opowiadał profesor mykologii.

Włącza video.

W filmie pojawia się Azjatka ubrana w czarny kombinezon z wyróżniającymi się białymi kreskami, które przypominają dendrytyczny rozrost korzeni grzybni ujętych w powiększeniu. Według mówczyni kombinezon pokryty jest dzierganą siatką obsianą zarodnikami grzybów.

Na potrzeby życia pozagrobowego programuje grzyby do pełnego rozkładu ludzkiej tkanki.



– *So, when I die, the Infinity Mushrooms will recognize my body and be able to eat it*<sup>[1]</sup> – przekonuje prelegentka.

Wystąpienie miało miejsce w dwa tysiące jedenastym roku. Siedem lat temu. Jak teraz wygląda jej projekt? Czy rozwinęła go na tyle, by przedstawiana idea została rozpropagowana jako ekologiczna metoda pochówku i znalazła wystarczająco dużo zwolenników?

„Symbol nowego myślenia o śmierci”, „nowej relacji ciała ze środowiskiem” – podkreśla Lee.

Prezentacja kolejnych szczegółów całego projektu wzbudza nerwowe wybuchy śmiechu na widowni. Niektórzy nie traktują słów artystki poważnie, inni słuchają jej z zapartym tchem. Te tłumione śmiechy zdają się reakcją obronną przed groteskowo brzmiącą ideą, która dla Lubosza wcale nie jest zabawna. Uświadomienie sobie całego procesu zakładającego, że inne organizmy żywe karmią się materią ludzką, sprawia, że po plecach Arka przechodzi zimny dreszcz.

Wyobraża sobie opatulone ciemnym kombinezonem ciało Sylwii, biednej dziewczyny, skulonej w pozycji embrionalnej, zakopywane przez jakiegoś szaleńca. Już wie, co mu się przyśni tej nocy.

Lee mówi jeszcze o pracy nad tabletkami zawierającymi zarodniki grzybów oraz substancje przyspieszające rozkład ciała i skuteczne eliminowanie toksyn potrzebne do rekultywacji środowiska. Kapsułki mają zawierać wiele związków odżywczych, które staną się pożywką dla rosnących grzybów.

Lubosz stara się wyciągnąć jak najwięcej informacji z przedstawianej tu idei łączącej akceptację śmierci, dbanie o środowisko naturalne i hodowanie organizmów zdolnych do dekompozycji, ponieważ tylko dzięki zrozumieniu założeń projektu może zbliżyć się do *modus operandi* sprawcy. Nie ulega wątpliwości, że ta osoba musiała prześledzić dokładnie pomysł Lee i wprowadzić go w życie w nieco wypaczony sposób.

Zapisuje w notatniku:

kulturowa zmiana

dbanie o środowisko – rekultywacja toksyn

dekompozycja ludzkiego ciała

organizmy rozkładające materię

zaprzeczenie śmierci jako konserwowanie ciała  
akceptacja śmierci jako całkowitego rozkładu  
bliski związek istot żywych ze środowiskiem  
związek między przetrwaniem gatunku a przetrwaniem planety  
odpowiedzialność za środowisko  
metafizyka – brak w rozumieniu religii  
metafizyka – trwanie jako inna forma życia, wieczność jako materia ziemi,  
roślin, grzybów, drzew.

Lubosz spogląda na sporządzoną notatkę, analizując, czy któraś z idei wynikających z projektu Lee może być kultywowana przez oprawcę zaginionych osób. Czy zapisał wszystko, czy może wciąż coś ważnego mu umyka? Dlaczego ktoś zainteresował się taką metodą pozbycia się ciała? Czy chodziło mu tylko o to, by sprawić, że identyfikacja ciał stanie się niemożliwa? Czy może jednak kierował się „wyższym” przymusem takiego działania? Z kim tak naprawdę Lubosz ma do czynienia i dlaczego to właśnie na niego spada ciężar toczącego się zła?

Zastanawia się, na jakim etapie obecnie jest projekt Lee. Trafia na jego stronę internetową. Ma wrażenie, że jest nieco wybrakowana. Klika w *Purchase*, próbując zamówić kombinezon, ale znajduje jedynie informację, że wysyłka jest bezpłatna na terenie Stanów Zjednoczonych i trwa od dwóch do trzech tygodni. Pilna dostawa tylko poprzez wiadomość e-mail. Następnie pojawia się krótka notatka o samym kombinezonie pogrzebowym oraz o klasycznym, „zielonym” całunie pomagającym przywrócić ciało do ziemi bez szkody dla środowiska. Poniżej widnieją dwa zdjęcia koszulek stanowiących materiały marketingowe reklamujące projekt. Lubosz spodziewał się panelu do obsługi klienta lub przynajmniej formularza ułatwiającego złożenie zamówienia. Zastanawia się, czy opcje zamówienia produktu są wyłączone ze względu na lokalizację. Musiałby sprawdzić z VPN-em ustawionym na serwery USA.

Przechodzi do tożsamego serwisu, ale z usługami pochówku zwierząt domowych. Tam szybko znajduje potrzebny formularz zamówienia. Dla Lubosza oznacza to, że jednak projekt Lee bardziej sprawdza się wśród właścicieli zmarłych pupili, dla których ekologiczne pochówki stanowią alternatywę i ostatni możliwy gest wobec ukochanych zwierzątek.

Arek skupia się na przedstawionym „trenowaniu” grzybów, przystosowywaniu ich do rozkładu ciała po śmierci poprzez wcześniejsze karmienie cząstkami ludzkiej materii, takimi jak włosy, paznokcie czy drobiny naskórka. Nagle trafia na koncepcję, której wcześniej w ogóle nie brał pod uwagę.

Rusza do łazienki, klęka na podłodze i wyjmując kosz na śmieci, do którego wrzuca zużyte maszynki do golenia, patyczki do uszu i opakowania po paście do zębów oraz puste pojemniki dezodorantów. Chwyta kosz za ścianki, odwraca do góry dnem i wysypuje wszystkie śmieci na płytki. Gwałtownymi ruchami przetrząsa zawartość we wszystkie strony, próbując dostrzec fragmenty obciętych paznokci. Powinny znajdować się w środku. Lubosz ostatnimi czasy był mocno na bakier z czystością, jego mieszkanie pokrywało się kurzem i brudem. Śmieci wyrzucał w momencie, gdy wysypywały się z worków. Dlatego może sprawdzić dokładnie zawartość kosza.

Przechodzą go ciarki, gdy nie znajduje ani jednego fragmentu paznokci. Podobna sprawa jest z jednorazowymi maszynkami do golenia. Podnosi tylko jedną. Po reszcie ani śladu. Jest przekonany, że powinien znaleźć co najmniej siedem, ostatnia z paczki nadal tkwi w przezroczystym plastikowym opakowaniu.

Zostawia rozgardiasz i wchodzi do kabiny prysznicowej. Uważnie wyjmując obudowę liniowego odpływu, a z syfonu wyciąga filtr zanieczyszczeń, siateczkę z małymi otworami, na których co chwilę zbierają się zabrudzenia, głównie skłębione włosy. Lubosz wielokrotnie czuł przykry zapach wydobywający się z rur, ale wołał po prostu odkręcić kurek z wodą, by ograniczyć nieprzyjemną woń, niż poświęcić czas na solidne czyszczenie.

Filtr jest czysty.

Jakby ktoś umył go pod bieżącą wodą i wyjął wszystkie włosy.

Lubosz nie pamiętał, kiedy ostatnio zaglądał do odpływu prysznicowa, nie zamawiał też usługi sprzątania, ponieważ po pierwsze nie miał na to pieniędzy, po drugie zajmował się całkiem innymi rzeczami i nie myślał o odświeżeniu mieszkania.

Wtedy przypomina sobie rozmowę z Dionizym, który już dwukrotnie mówił mu o nieznanym wypyującym o niego. Staruszek widział go jednak, więc mężczyzna nie mógł włamać się do jego mieszkania, zresztą Lubosz żadnych śladów włamania nie zaobserwował. Kto jeszcze miał dostęp do łazienki?

Tylko jedna osoba przychodzi mu na myśl.

To oskarżenie jest paradoksalne i jednocześnie przeraża Lubosza. Zwłaszcza w obecnej sytuacji.

Marcela... Dziewczyna nagle znika i wciąż nie ma z nią kontaktu...

A Lubosz nie wie, co o tym sądzić.

## 6

Lubosz wyjmując telefon i dzwoni do Marka. Jest późny wieczór. Arek nie czuje zmęczenia; adrenalina wypełnia jego organizm.

- Co jest? Właśnie kładłem się spać – informuje Bogucki.
- Ktoś był w moim mieszkaniu.
- Kiedy?
- Nie wiem, ostatnio.
- Czyli mieszkanie całe?
- Tak.
- Czegoś szukał?
- Niestety tak.
- Niech zgadnę. Notatek Krótkowskiego?
- Gorzej. Ktoś przyszedł po mój materiał genetyczny.
- Nie rozumiem.

Lubosz opowiada, że przeglądał w internecie materiały dotyczące projektu *The Infinity Burial* i nagle wpadł na pomysł, by sprawdzić łazienkę. Zastanawiał się, w jaki sposób jego materiał genetyczny znalazł się w laboratorium, czyli w rękach poszukiwanego przestępcy. Do głowy przyszło mu wtedy tylko jedno rozwiązanie.

- Ktoś się tutaj w ostatnim czasie kręcił. I jeszcze wcześniej, zanim Sylwia zniknęła ze szpitala – tłumaczy.
- Arek, trzeba przydzielić ci ochronę.
- Nie rozśmieszaj mnie. Bardziej martwię się o Ewelinę.
- Już słyszałem o waszej kłótni.

Lubosz nie chce komentować tych rewelacji. Czasami odnosi wrażenie, że Marek specjalnie podkreśla dobre relacje, w jakich pozostaje z Eweliną, jak gdyby chciał się tym dowartościować. Tak właśnie odbiera to Arek, ale postanawia odpuścić i nie gotować się w środku, gdy Ewelina powierza swe troski nie ojcu swojej córki, lecz jego przyjacielowi, za którym kiedyś tak naprawdę nie

przepadała i którego krytykowała za każde zachowanie niezgodne z jej oczekiwaniami. Jak diametralnie odwróciły się role w tej znajomości.

– Wydaje mi się, że ktoś może szukać zemsty na całej naszej rodzinie – oznajmia Lubosz.

– Skąd taki wniosek?

– Ponieważ nie znajduję ścisłego związku wyłącznie ze mną. Nie wiem, dlaczego ktoś chciałby mi zaszkodzić.

– Arek, pracowałeś w kryminalnych. Każdy jeden świr może chcieć się zemścić. Chociażby za to, że krzywo na niego spojrzaleś. Poza tym jak wytłumaczysz tatuaże? Jeśli każda z osób znajdująca się w samochodzie miała tatuaż dźwiękowy z komunikatem skierowanym specjalnie do ciebie, warto zbadać, co oprawca chciał zrobić z nimi. Może chciał cię szantażować? Przekazać tatuaże i wymusić określone decyzje? Po ostatnim odkryciu jest wielce prawdopodobne, że chciał te osoby zabić i pochować na swój sposób.

– Uważam, że należy jeszcze raz przeprowadzić badania wiktymologiczne.

– Mamy już ekspertyzę.

– Ale zrobioną trzy lata temu. Przed zaginięciem Sylwii. Od tego czasu trochę się wydarzyło.

– Masz rację.

– Chciałbym przeanalizować dotychczasowy raport – wyjaśnia Lubosz, śledząc na ścianie światła rzucane przez reflektory samochodu zajeżdżającego na zaplecze budynku.

– Zobaczę, co da się zrobić. A ja potrzebuję notatek Krótkowskiego.

– Z tym będzie problem. Marcela wciąż nie odbiera.

– Jeśli dalej nie wiesz, gdzie jest, wygląda to podejrzanie. Może to mieć związek z naszą sprawą.

– Podejrzanie wygląda inna kwestia. – Lubosz przez moment waha się, czy dzielić się z Markiem swoimi, być może bezpodstawnymi, oskarżeniami. Ale postanawia, że teraz będzie komunikował Markowi każdy szczegół w śledztwie, który uzna za ważny. To, co chce przekazać, wydaje mu się szalenie istotnie, chociaż chciałby, aby nie okazało się prawdą. – Tylko jedna osoba miała klucze do mojego mieszkania. Nikt oprócz niej mnie nie odwiedzał.

– Mówisz o...

– Marcelina. Trzeba ją odszukać.

## 7

Marcelina spogląda na nieruchomą twarz swojej matki, która wygląda jak maska pełna smutku. Czy bardzo cierpi? Co czuje? Gdzie teraz jest? – zastanawia się, gładząc delikatnie jej siwawe włosy. Gdyby nie aparatura obok szpitalnego łóżka, które zajmuje kobieta, nikt nie rozpoznałby, że wciąż żyje.

Dziennikarka wyrzuca sobie, że tak mało chwil spędziła z mamą. Za rzadko ją odwiedzała, a kiedy już przyjechała na święta, po dwóch dniach radosnego spotkania zaczynała słuchać jej krytycznych uwag odnośnie do życia córki, co zawsze kończyło się kłótnią, a później długim milczeniem. To zawsze matka w końcu dzwoniła do Marceli, pytając, co u niej słychać, jakby do ostrej wymiany zdań nigdy nie doszło. Wtedy znowu z tęsknotą w głosie próbowała się dowiedzieć, kiedy córka znów ją odwiedzi. Marcela usprawiedliwiała się pracą. Powód jej nieobecności w domu rodzinnym był całkiem inny. Tam wszystko przypominało jej nieuchronny upływ czasu. Te same meble w jej pokoju, plakaty zespołów punkowych jeszcze z lat licealnych, te same książki na półkach i kaktusy wciąż pielęgnowane przez matkę. Nic nie mogła poradzić na to, że sam ten widok wprawiał ją w dojmującą melancholię i przywoływał wspomnienia z dzieciństwa.

Teraz jest już za późno, by z nią porozmawiać. Lekarze nie dają szans na wyzdrowienie. Podpisują się tylko pod wyrokiem, jaki wydało ulatujące życie; nic więcej nie mogą zrobić.

Marcela będzie z nią do końca. Wyświadczy ostatnią przysługę, ale gdy o tym myśli, coś łapie ją za gardło i ściska. Łzy napływają jej do oczu. Teraz, teraz, to nic nie znaczy. Tyle razy prosiła mnie, żebym przyjechała – rozmyśla. Że jest taka samotna i chciałaby chociaż chwilę porozmawiać. Wszystko odkładałam na później. Tylko praca, praca, znajomi, których już nie ma; założyli rodziny i poszli każdy w swoją stronę.

Telefon wibruje w kieszeni. Marcelina wyjmuje go i spogląda na ekran powiadomień. SMS od Arka o treści: „Marcela, wszystko OK? Gdzie jesteś?”.

– Zaraz wracam – mówi do matki.

– Proszę już iść do domu. Jest bardzo późno – oznajmia pielęgniarka.



Pakulska mija ją bez słowa. Wychodzi ze szpitala, kieruje się kilka kroków w bok od głównego wejścia. Przy chodniku umieszczono kosz na śmieci z napisem: „Całkowity zakaz palenia”. Dziennikarka wyjmuje papierosa, po czym wybiera numer do Lubosza.

– Marcelina! – Arek odbiera połączenie. – W końcu. Łapię cię od kilku dni. Gdzie jesteś? Musimy pogadać.

– Załatwiam swoje sprawy.

– Jakie sprawy? Wszystko w porządku? Możesz swobodnie rozmawiać?

– No tak.

– Co się dzieje?

– Sprawy rodzinne.

– Jesteś w Katowicach?

– Nie.

– Kiedy będziesz?

– Nie wiem.

– Potrzebujemy notatek Krótkowskiego. To bardzo ważne.

Marcela nic nie odpowiada, zaciąga się tylko papierosem.

– Halo? Jesteś tam?

– Słucham cię.

– O co chodzi, Marcela? Znikasz nagle, nie odbierasz telefonu. Tutaj w sprawie naprawdę wiele się dzieje. Dlatego te zapiski są cholernie ważne. Mamy teorię, że Krótkowski z ich powodu może być w niebezpieczeństwie, albo nawet już miał ogromnego pecha. Dlatego załatw swoje sprawy rodzinne i wracaj jak najszybciej. Ktoś może chcieć odzyskać te notatki. Jeśli się dowie, że jesteś w ich posiadaniu...

– Skupiam się na swoich sprawach. Uszanuj to.

Lubosz nie może zrozumieć, skąd ta nagła zmiana w głosie Marceli.

– Ale zrozum, że policja o to pyta. Potrzebu...

– Szczerze, mam już to gdzieś.

– Co ty w ogóle gadasz? Kurwa... nawet nie wiesz, co się tutaj dzieje i z kim mamy do czynienia. Nie będę gadał przez telefon. Dlatego musimy się spotkać. Przecież chciałaś mieć materiał z tego śledztwa.

– Już mnie to nie interesuje.

Lubosz milknie. Po chwili zastanowienia pyta:

– Czy ktoś cię szantażuje? Czy ktoś odzywał się do ciebie w tej sprawie?

– Nie.

– Prześlij mi swoje zdjęcie.

– Co?!

– Marcela, dajesz podstawy, by sądzić, że coś ci zagraża. Muszę mieć pewność, że jesteś bezpieczna.

– Tak, dokładnie to ująłeś. Myślę, że największą pomyłką było poznanie ciebie.

Rozłącza się, pozostawiając Arka kompletnie zdezorientowanego.

Klika szybkie selfie, lekko rozmazany obraz pod wpływem ruchu telefonem, dogasający papieros w ustach i kłębek dymu. Wysyła Luboszowi MMS-a ze zdjęciem, tylko po to, by się odczepił. Wie, że jej zniknięcie może wyglądać tajemniczo, a wobec wszystkich wydarzeń związanych z córką Lubosza ten nie da Marceli spokoju w obawie, że ktoś może zmusił ją do odpuśczenia śledztwa.

Po kilkunastu sekundach od wysłania MMS-a telefon wibruje ponownie, informując o nowym połączeniu.

– Nie możesz powiedzieć, gdzie jesteś? – dopytuje Arek.

– Pewnie i tak sobie sprawdzisz. Jestem u swojej mamy i nic więcej nie powinno cię interesować.

– Skąd ta nagle zmiana podejścia?

– Sam sobie odpowiedz na to pytanie.

– Nie rozumiem.

– Arek. Po prostu zapomnijmy o sobie.

Lubosz wzdycha zrezygnowany. Kompletnie nie rozumie zachowania Marceli, która z niewiadomych przyczyn próbuje zerwać kontakt. Już wie, że będzie musiał się z nią spotkać. Odnosi nieodparte wrażenie, że ktoś ją ostrzegł przed sprawą, którą się zajmuje. A to oznacza, że prawdopodobnie notatki Krótkowskiego oznaczają więcej, niż Arkowi na początku się wydawało.

– Wiem, Marcela, że ciężko ze mną wytrzymać. Ale to śledztwo tak na mnie działa.

– Nie musisz mi się usprawiedliwiać. Przecież to była tylko przelotna znajomość.

– Mimo wszystko cały czas czułem od ciebie szczerą sympatię. Skąd ta nagła zmiana?

– Przemyślałam wszystko i mam po prostu dosyć.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Pamiętam twój entuzjazm w sprawie Sylwii. Już dawno bym się poddał, ale zarażałaś mnie dobrą wiarą.

– Może właśnie już mam tego dość. Ciągnięcia cię za uszy. Arek... zapadasz się coraz głębiej, wiesz o tym.

Lubosz próbuje zrozumieć jej ostatnie słowa.

– Myślałem, że to nasza sprawa. Że mi pomożesz. Już wiele zrobiłaś. A wydarzyło się jeszcze więcej.

– To życzę powodzenia.

– Kompletnie cię nie rozumiem...

– Ja próbowałam zrozumieć ciebie. Ale teraz już nie potrafię.

Lubosz też zaczyna mieć jej dosyć. Ostatnie, czego potrzebuje w tej chwili, to pretensje i humory dziewczyny. Jej zachowanie zbiegło się z najnowszym odkryciem w domu Arka.

– Marcela – wzdycha głośno. – To nie są żarty. Oddaj te notatki. Stanowią dowód w sprawie.

– Zrobię skany.

– W tej chwili nie chodzi o treść.

– W takim razie wyślę pocztą.

– Jak chcesz. Gdzie jesteś? Mogę po nie podjechać.

– Obejdzie się.

Arek nie zamierza z nią dyskutować. Dziennikarka wyraźnie nie chce się z nim spotkać, co go mocno zastanawia.

– Rób, jak uważasz. Tylko do jutra chcę to widzieć u siebie, jasne?

Co za dupek... – myśli Marcela, próbując się rozłączyć. Zanim jednak ucina rozmowę, słyszy jeszcze:

– Aha. I możesz od razu wysłać moje klucze od mieszkania. Wydaje mi się, że trochę nadużywasz mojej gościnności.

– Co proszę?!

– Ktoś był w moim mieszkaniu. – Arek tłumaczy, co się stało. Nie mówi Marceli o odkryciach w prowizorycznym laboratorium, ale informuje, że ktoś wykradł jego materiał genetyczny. – Czy ktoś ostatnio rozmawiał z tobą na mój temat? Miałaś te klucze zawsze przy sobie?

– Co ty w ogóle insynuujesz? Czy ty siebie słyszysz?!

– Mówię tylko...

Marcela się rozłącza. Wciąż nie wierzy w to, co usłyszała. Czy Arek naprawdę może myśleć, że mogłaby mu w jakikolwiek sposób zaszkodzić? Że dałaby się komuś szantażować? W jakim celu?

Może właśnie powinna postąpić zgodnie z sumieniem i sprawić, żeby Arek odpowiedział za swoje grzechy? Bo na zmartwychwstanie jest już raczej za późno.

## 8

Lubosz znowu się upija. Włącza muzykę, otwiera kolejne piwo i pochylony nad notesem tworzy notatki podsumowujące śledztwo. Zaznacza w nim dziwną zmianę nastawienia Marceliny, co może oznaczać, że dziennikarka wie coś więcej o całej sprawie lub ktoś ją szantażuje. Może skurwiele chcą mnie udupić i przekupili naiwną dziewczynę? – pyta się w myślach, ale zaczyna coraz mniej kontaktować. Myśli stają się niespójne, tekst się rozlewa, a długopis nie chce trzymać linii.

Pewnie, że chcą, inaczej Holica nie składałby mi propozycji znalezienia Trewskiego. Że niby tym śledztwem mam wrócić do łask przełożonych. Już dawno chcieli mnie wyrzucić. Nie udało im się zrobić ze mnie wariata, bo na to liczyli, odsyłając mnie do ośrodka dla policjantów. Teraz więc tylko szukają pretekstu, by wywalić mnie na zbity pysk. Może już dawno powinienem odejść? Może już nie nadaję się do tej pracy?

Lubosz obiecuje sobie, że rzuci wszystko, jak tylko odnajdzie Sylwię. To jego ostatnie dochodzenie, śledcze *opus magnum*, które musi doprowadzić do końca.

Muzyka przesyłana z telefonu do głośnika Bluetooth urywa się. Transmisja danych zostaje wstrzymana, a aplikacja się zawiesza. Lubosz upija ostatni łyk piwa. Kręci mu się w głowie. Wstaje od stołu i przetacza się na kanapę, na której zalega w bezruchu. Zanim odpłynie w głęboki sen, przypomina sobie, by umyć zęby, ale ta myśl ulatuje równie szybko, jak się pojawiła.

Znowu ten sam wyraźny koszmar, który miewa od pewnego czasu. Jest ciemna noc. Lubosz kroczy wzdłuż torów kolejowych. Z naprzeciwka nadciąga pociąg, dający znać o swoim istnieniu poprzez oślepiające światła reflektorów. Nagle w ich blasku pojawia się twarz Krystiana Opraka, mężczyzny, który kiedyś wraz z Arkiem pracował w wydziale kryminalnym i też przez niego trafił za kratki. Cała sprawa, wydanie policji swojego kolegi, siedzi w Luboszu głęboko. Zachował się jak kapuś, sam tak o sobie myślał, inni ludzie z pracy na pewno podzielali jego zdanie, tylko zamiast powiedzieć mu prawdę prosto w oczy, poklepywali go tylko po plecach, gratulując udanej akcji. Co wydarzyło się przez ten czas z Oprakiem? Czy więzienie jeszcze bardziej go zmieniło? Słyszał tylko, że były z nim problemy.

Gdyby Arek wtedy go nie wydał, mogłyby ucierpieć niewinne osoby; tak próbował usprawiedliwić własne sumienie.

Oprak ma błagalny wyraz twarzy. Prosi o pomoc, ale Arek go nie słyszy. Sam też nie może wydusić z siebie żadnego słowa. Nagle widzi las. Gdzieś między drzewami te same światła reflektorów. Słyszy ujadanie psów. Przedziera się przez gęstwinię i po chwili dociera do starej chaty. Drzwi są otwarte. Wchodzi do środka. Na podłodze leżą ciemne całuny. Wyrastają z nich najróżniejsze grzyby, zdają się zespolone z materiałem. Wśród nich dostrzega coś, co sprawia, że wybudza się ze snu.

Lubosz oddycha ciężko. Rozgląda się po pokoju i rejestruje, że lampka na stole w salonie wciąż się pali, a z głośnika dobiega ciężkie brzmienie gitar. Potrzebuje kilku sekund, by dojść do siebie, by uświadomić sobie, gdzie się znajduje, a rzeczywistość, w której przed chwilą istniał, była tylko senną zmorą.

Ostatni obraz z koszmaru wciąż jest żywy.

Na przygotowanych kombinezonach, wśród niezliczonej ilości grzybów leży Oprak, a obok niego Sylwia. Trzymają się za ręce. Lubosz nie może dostrzec twarzy córki. Sylwia zakrywa się drugą ręką. Jest całkiem naga. Talię ma nienaturalnie wąską. Brakuje dwóch par żeber wolnych. Mimo to nie powinna tak wyglądać. Mógłby ją objąć jedną dłonią, jak szklanekę. Jakby jej ciało w miejscu tuż nad miednicą składało się z samego kręgosłupa.

Sylwia kręci się, próbując ukryć swoją nagość i kobiecość. Ciągle też zasłania twarz; Arkowi wydaje się, że jego córka bardzo się wstydzi tej sytuacji.

Lubosz podchodzi bliżej. Naraz wie, że Oprak jest martwy. Chwyta Sylwię za rękę, którą dziewczyna się zasłania. Próbuje ją odciągnąć, musi się siłować. W końcu szarpie mocno. A wtedy zamiast twarzy córki widzi tylko zdeformowaną masę otwartych mięśni, z której wyrastają grzyby o wąskich kapeluszach.

Arek idzie do toalety. Wkłada głowę pod baterię umywalki i odkręca wodę. Chłód oblewa jego czaszkę. Mógłby tak trwać w nieskończoność w tym orzeźwiającym zimnie. Wie, że jego strachy nigdy go nie opuszczą.

## 9

– Proszę powiedzieć coś więcej o wieku dorastania. O lękach, co pana drażniło, denerwowało, co chciał pan zmienić?

– Wszystko – odpowiada mężczyzna. – Wiedziałem, że wielu mnie nie akceptuje. W szkole najbardziej. Śmiali się ze mnie, wytykali palcami, bo wiedzieli, z jakiego domu pochodzę.

– To musiało być bolesne.

– Odrzucenie przez grupę to ciężkie przeżycie. Pamiętam, jak któregoś dnia w szkole mieliśmy godzinę wychowawczą. Była to swobodna lekcja. Dzieci mogły robić co tylko zechciały. Klasa podzieliła się na grupki, każda miała swojego lidera, który brylował w towarzystwie. Nauczycielka uzupełniała dziennik. Nagle jeden z uczniów, Janek, z szyderczym uśmiechem zadał głośno pytanie, które zmroziło mnie do szpiku kości.

– O co dokładnie zapytał? Proszę oddychać spokojnie. Parę głębokich wdechów i powolny wydech. O tak. Bardzo dobrze. Jeszcze raz. Spokojnie.

– Zapytał: „Co się stało z twoim bratem?”.

– Dlaczego o niego zapytał?

– Nie wiem. Chciał mi dopiec. Nikt w szkole, w której się uczyłem, nie wiedział o Pawelku. Ktoś musiał mu powiedzieć. Nie miałem pojęcia, skąd się dowiedział. Zaskoczył mnie. Czasami zdarzają się takie irracjonalne rzeczy i sytuacje, które trudno wytłumaczyć. Ten Janek patrzył na mnie tak, jakby chciał przewiercić mnie wzrokiem i dowiedzieć się prawdy. Ba! On znał prawdę. Widziałem to w jego spojrzeniu i tym chamskim uśmieszku rysującym się na twarzy. Zrobiłem tak, że później ten uśmieszek mu zgasł, ale o tym nie teraz.

– Co było dalej?

– To jego pytanie było ciężkie jak kamień. Wszyscy spojrzeli na nas. Nawet nauczycielka, ciekawska pizda, przepraszam bardzo, podniosła nos znad biurka. Ja ugotowałem się w środku. Nie wiedziałem, jak mam się zachować. Płonąłem na twarzy. I kiedy zaprzeczyłem, reakcja mojego organizmu mówiła zgoła co innego. Była jak naturalny wykrywacz kłamstw. Pamiętam, jak serce chciało mi wyskoczyć

z piersi. Wtedy chyba pierwszy raz tak intensywnie poczułem ten najważniejszy narząd napędzający wszystkie procesy organizmu. „Ja nie mam brata”, odpowiedziałem. „Ale miałeś”, powiedział ten mały skurwiel. Pocilem się jak świnia. Chciałem zapaść się pod ziemię, uciec, ale wiedziałem, że jeśli to zrobię, to będzie oznaczało, że przyznaję się do kłamstwa.

– Czy poniósł pan później jakieś konsekwencje tego wydarzenia?

– Ja nie, ale ten chłopaczek już tak. Chociaż nie... Ta sytuacja wiele mnie nauczyła. Już wtedy postanowiłem, że muszę nauczyć się kłamać. Kłamać w żywe oczy, kłamać bez drgnienia powiek, zachowywać kamienną twarz, zimną krew. Najpierw nauczyłem się więc panować nad sobą. Ćwiczyłem się w tym, by nigdy nie dać po sobie poznać, o czym akurat myślę. Jeśli więc moi koledzy lub moja mama pytali mnie o coś, zawsze przybierałem postawę opanowania, osoby słuchającej. Dopiero po krótkim zastanowieniu odpowiadałem. Wmawiałem sobie, że choćbym usłyszał największą obelgę lub prawdę, która powinna zaboledć do szpiku kości, przyjmę komunikat, przetrawię go i zduszę w sobie. Dlatego też, gdy wyrzucili mnie z medycyny, w międzyczasie zacząłem uczęszczać na studenckie kółko teatralne. Wymyśliłem dziesiątki swoich wcieleń, a kiedy już ktoś z tego kręgu znajomych próbował złapać mnie na kłamstwie, przypominając, co mówiłem w danej sprawie na poprzednich zajęciach, ja wymyślałem kolejne i brnąłem w to całkiem przekonująco. A wie pani, jak nauczyłem się prowadzenia logicznych wywodów i dyskusji, starając się kierować rozmową zawsze w taki sposób, by mój rozmówca poczuł się zdominowany i pozbawiony wszelkich argumentów? Udawałem z kolei studenta polonistyki i chodziłem na zajęcia z logiki oraz z retoryki. Bardzo przydatne wykłady!

– Zawsze chce pan dominować w rozmowie? Dlaczego?

– Wręcz przeciwnie. Tylko wtedy, gdy chcę osiągnąć zamierzony cel. A czasami celem jest wysłuchanie tego, co druga osoba ma do powiedzenia, aby sprawić wrażenie, że naprawdę prezentujemy empatyczną postawę względem adresata. Trzeba wybierać spośród dostępnych masek. Całe życie stosowałem taką grę. Od tego wspomnianego przeze mnie momentu.

– Wróci pan do Janka? Co się wydarzyło w waszej relacji? Doszło między wami do bójk?

– Następnego dnia podszedłem do niego. Znowu miał ten głupkowaty uśmiezek. Chyba myślał, że się rozplacę na sam jego widok. A ja zaprosiłem go



do siebie do domu. To były czasy, gdy spędzało się wolny czas na zewnątrz. Odwiedziny stanowiły atrakcję niczym gra komputerowa. Ten dzień pachniał ciastem drożdżowym z borówkami. Tak to zapamiętałem. Gdy czuję ponownie ten zapach, przypominają mi się wspaniałe chwile. Mamusia zrobiła nam ciasto. Najpierw zjedliśmy słodkości, a później powiedziałem matce, że Janek chce wiedzieć, co się stało z moim bratem. Wtedy to on miał nietęgą minę. Zaskoczyłem go. A mamusia powiedziała tylko: „Pokaż mu to”. Rozumieliśmy się bez słów. Zabrałem Janka do lasu. Szedł obok mnie w milczeniu. W sumie dopiero po latach, gdy wracam do tych wspomnień, mam pewność, że ten chłopaczek nie mógł wiedzieć, co przytrafiło się Pawełkowi. Inaczej nigdy dobrowolnie nie poszedłby ze mną w tamto miejsce. Droga nam się dłużyła, było ciepło. Podpierałem się drągiem, który ostrugałem kilka dni przed naszą wyprawą. Całkiem gruby na dole, leżał idealnie w dłoni. Oszlifowałem rękojeść, by była przyjemna w dotyku i wygodna podczas marszów. Lubiłem tak włóczyć się po lesie, a najbardziej chodzić wzdłuż potoku, na którym bobry budowały tamy z błota i przyniesionego drewna. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale nienawidziłem tych śmierdzieli. Swój drąg wykorzystywałem między innymi do niszczenia ich pracy. Potrafiłem tak całą sobotę chodzić po lesie i burzyć tamę za tamą. Fajna sprawa. Jednego bobra udało mi się utopić. Gdy rozwalałem tamę, nie zauważyłem go, był tuż przy niej, pod gałęzmi składającymi się na ich prowizoryczne zapory. Wyskoczył nagle. Chciałem go dziabnąć drągiem, straciłem równowagę i wpadłem do potoku, wprost na bobra, który nie zdążył umknąć przede mną. Desperacko chwyciłem go za szyję i wciągnąłem pod wodę. Ileż siły ma to zwierzę. Czuję się jak bohater książki Jacka Londona. Walczyłem do upadłego z tym potworem, aż w końcu rzeka uniosła jego bezwładne ciało i poniosła jako pokarm dla innych drapieżników. Ale ja nie o tym miałem, tylko o Janku. Zabrałem go do miejsca, gdzie rozkładał się Pawełek. Tajemne miejsce porośnięte grzybami. „Chcesz wiedzieć, co się stało z moim bratem?”, zapytałem go. „Tutaj leży pogrzebany”. Zastanawiał się przez moment, próbował przetrwać ostatnie słowa. Zapytał: „A dlaczego nie na cmentarzu?”. „To jest jego cmentarz”, odparłem. „Tutaj te grzyby rozkładają jego ciało”. „Na pewno...”. Uśmiechnął się nerwowo. „Próbujesz mnie wkręcić”. „Sam się przekonaj, że to nie żart, i kop. Wystarczy oderwać parę grzybów”, wyjaśniłem. Wtedy padł na kolana i zaczął głupi odrywać grzyby w taki sposób, jakby rwał włosy z głowy mojego brata. Wystarczyło jedno uderzenie drągiem. Prosto w potylicę. Zakopałem go w innym

miejscu, bo nie zasłużył, by leżeć obok Pawełka i żywić las swoim ohydny truchłem. Gdy wróciłem wieczorem do domu, mamusia nagotowała mi wody w balii, wyszorowała mi plecy, ręce, nogi, potem pomogła wytrzeć się do sucha, ułożyła fryzurę i oznajmiła tylko, że zasłużyłem na porządną kolację. Chyba zrobiła fasolkę, ale tego już dobrze nie pamiętam. A co to się stało? Zatrula się pani czymś? Proszę się nie martwić. Niejednokrotnie widziałem, jak ludzie wymiotują. To normalne i oczyszczające. Reakcja obronna organizmu. Przyniosę wody.

Małgorzata zmienia pościel w sali szpitalnej, w której wcześniej leżała Sylwia Lubosz. Słyszała o tej biednej dziewczynie. Zaginęła na trzy lata. Odnalazła się w wypadku samochodowym, który na szczęście przeżyła. Gdy odzyskała przytomność, ktoś porwał ją ze szpitala. Z tej sali. Małgorzatę aż ciarki przechodzą na samą myśl, że ktoś zakradł się tutaj i uprowadził pacjentkę.

Przez lata pracy w szpitalu i na różnych oddziałach widziała dużo. Porachunki gangsterów, którzy straszili chorą osobę, rodzinne dramaty rozgrywające się na jej oczach, ekshibicjonistów wdzierających się do pomieszczeń służbowych czy nawet porwania dzieci z porodówki. Szpital... dziwny, samoistny organizm przyciągający chorych.

Małgorzata z trudem wstawiała codziennie do pracy, znała bolączki tej profesji. Ale w głębi duszy traktowała zawód pielęgniarstwa jako powołanie. Porównywała to do stanu osób duchownych. Też usłyszała wewnętrzny głos, olśnienie, pomysł na swoją przyszłość – pomaganie innym. Starła się, jak tylko mogła. Z biegiem lat, gdy w jej życiu prywatnym narastały różne problemy, gdy ciężar przeżyć rósł, traciła zapał do pracy. Denerwowali ją pacjenci i lekarze. Na każdą prośbę potrafiła tylko ofuknąć proszącego i robić swoje. Później miała do siebie pretensje, że nie może się tak zachowywać i wszystkim przejmować. Starła się być dobrą pielęgniarką.

Podchodzi do łóżka zajmowanego wcześniej przez Sylwię. Sala jest pusta, zaraz mają przywieźć nowego pacjenta, dlatego chce zdążyć przygotować, co należy. Co tak naprawdę należy do obowiązków salowych, których ze względu na marną płacę wciąż brakuje. Z tego powodu Małgorzata i jej koleżanki mają często jeszcze więcej pracy.

Gdy chce naciągnąć prześcieradło, za mocno przesuwając materac, którzy zjeżdża na ziemię.

Małgorzata wzdycha ciężko, licząc w myślach, ile godzin zostało do końca zmiany. Nachyla się, by sięgnąć po materac, i zauważa coś nietypowego. Na ramie łóżka pomalowanej na beżowo, mniej więcej w połowie długości, widnieją trzy

kreski. Pionowe linie wryte w farbie, głęboko, aż do ukazania się metalu. Dwie skrajne są mniej więcej identycznej długości, natomiast środkowa jest wyraźnie dłuższa. Znak znajduje się na wysokości dłoni leżącego na łóżku człowieka. Bez wstawania mógł go wykonać pacjent. Kreski wryte są po prawej stronie ramy.

W pierwszym momencie Małgorzata karci w myślach osobę, której na tyle nudził się pobyt w szpitalu, że zaczęła niszczyć sprzęt. Po chwili jednak nachodzi ją inna refleksja. To na pewno jest łóżko tej biednej dziewczyny. A jeśli to ona specjalnie wykonała ten znak?

Małgorzata czuje, że odkryła coś ważnego. Rusza do dyżurki po swój telefon komórkowy, przecina szybko szpitalny korytarz, uderzając twardymi chodakami o podłogę. Wraca równie szybko, włącza aparat i robi kilka zdjęć wrytych na ramie łóżka trzech symetrycznie ułożonych kresek, z których środkowa jest najdłuższa.

Będzie musiała zgłosić to na policję. Ale lepiej najpierw porozmawiać z koleżankami. Może widziały to wcześniej, ale przyjęły, że kolejny pacjent z niewiadomych przyczyn zniszczył farbę łóżka. Nie chce się wygłupić. Może wyolbrzymiła całą sytuację. A jeśli nie? A jeśli ta zaginiona dziewczyna chciała pozostawić znak dla policji?

Wygląda na szczególną wskazówkę.

Dziewczyna musiała bardzo się bać.

Jakby spodziewała się, że ktoś po nią przyjedzie.

– Moje życie podporządkowałem idei.

– Powinniśmy już skończyć.

– Mam jeszcze wiele do powiedzenia. Wiem, że to, co mówię, nie jest dla pani łatwe.

– Naprawdę. Proszę już kończyć.

– Czasami wydaje mi się, że wiedziałem więcej niż ci wszyscy jajogłowi, od których miałem się uczyć. Poszedłem na studia, a tak naprawdę nie dostałem żadnego zaliczenia. Nie miałem indeksu, no może jeden, z biologii. Kupiłem na czarnym rynku. Magistrem zostałem, wciąż uczęszczając na wykłady. Wybierałem sobie tylko te, które mnie interesowały i zbliżały do naczelnej idei.

– Proszę właśnie o niej opowiedzieć.

– Następnym razem rozwinę całą koncepcję. Mogę tylko powiedzieć tyle, że od początku, od dzieciństwa i od wydarzenia, w którym brał udział mój brat, nie lubię ludzi słabych. Nie jestem głupi. Sam też potrafię wydać diagnozę dotyczącą mojego stanu. To, co wydarzyło się w dzieciństwie, zbudowało całą moją konstrukcję psychiczną. W relacjach z osobami słabymi dążyłem do ich totalnego zdominowania, poszukując podświadomie nieskazitelnego życia. Tego im zazdrościłem: że wszystko jeszcze przed nimi. Że nie są obarczeni takim jarzmem, jakie zesłał na mnie los. Dlatego gdy zapraszali mnie na imprezy studenckie do akademików i słyszałem narzekania studentów uzalających się nad swoim losem, chciałem ich za to ukarać. Ale wtedy jeszcze się powstrzymywałem. Nie miałem odpowiednich warunków i wiedzy, by skutecznie się nimi zająć, a proszę mi wierzyć, kusilo jak diabli. Studiowałem więc biologię z naciskiem na mykologię, uczęszczałem na medycynę, płaciłem kolegom za potajemne nagrywanie zajęć praktycznych. Kłamałem, że jestem chory i nie mogę uczestniczyć, w gruncie rzeczy na parę udało mi się dostać, pomimo dziwnych spojrzeń grupy, która kompletnie mnie nie rozpoznawała. Byłem jak kameleon chłonący wiedzę. Skąd miałem pieniądze? Od kochanej mamusi. Obdarowała mnie sporą kwotą, za którą mogłem skromnie żyć naprawdę długo i sądząc po tym, jak biednie żyliśmy, nie

spodziewałem się tego po niej. Powiedziała, że to pieniądze od mojego ojca, że splanca dług, za to, co zrobił. Mogę więc powiedzieć, że moja wizyta u niego w domu dała efekty. Prawda była jednak zgoła inna. Zanim opuściłem jego dom, przetrząsnąłem dokładnie wszystkie pokoje. Mój bogaty tatuś dosłownie trzymał pieniądze w walizce pod łóżkiem. Oczywiście wziąłem ją ze sobą. Zapakowałem, spreparowałem list i wysłałem pieniądze do matki. Długo ich nie widziałem, ale doczekałem się. Mamusia była względem mnie uczciwa. A może nie uwierzyła w te brednie, przejrzała mnie na wylot i nie miała wyjścia. Musiała dać całą kasę, żeby mnie nie denerwować.

– Trochę odbiega pan od tematu.

– Otóż drażniła mnie ich bierność, gotowość, by przegrać z życiem, kiedy tyle im dał los. Najbardziej irytowały mnie studentki słuchające czarnej muzyki, wchodzące głęboko w subkulturę śmierci, nieustannie smutne. A takimi, które mówiły, że najchętniej skończyłyby ze sobą, gardziłem jeszcze bardziej. Później podczas pracy zawodowej ten problem dotknął mnie mocniej. Widziałem rodziców walczących o swoje dzieci, bliskich, którzy oplakiwali swoje rodziny, ludzi, którzy daliby wiele, by cofnąć czas. Pierwszy lepszy tchórz chciał iść na łatwiznę i popełnić samobójstwo, gdy inni walczyli o życie. To niesprawiedliwe.

– Każdy ma swoją perspektywę.

– Hmm... mógłbym polemizować. Czytałem kiedyś opracowanie naukowe, według którego przetrzymywanie zwierząt, niezależnie czy są to zwierzęta domowe czy dzikie w warunkach zamknięcia, czyli na przykład w ogrodzie zoologicznym, laboratorium, a nawet w gospodarstwie domowym, może prowadzić do samookaleczeń. Niesamowita koncepcja. Zainspirowała mnie do tego stopnia, że zacząłem prowadzić własne badania, dzięki którym nabyłem wprawy w zakresie doświadczeń, która później bardzo mi się przydała. Zacząłem zastawiać pułapki na zwierzęta. Pewnej nocy do maleńkiej klatki wykonanej z kraty, z zapadką, wpadł lis. Zwabił go zapach ubitej kury, którą wykradłem sąsiadce. Klatka była bardzo mała, na tyle, że zwierzę miało problem, by się obrócić wokół własnej osi, ale udawała mu się ta sztuka. Na początku kubaturę pułapki ograniczała też leżąca kura. Lis wystraszył się tak bardzo, że nie zjadł kury. Zaczęła się rozkładać. Po trzech dniach nasycił się jej mięsem. Miał pysk umorusany krwią, wszędzie było pełno pierza, śmierdziało wnętrznościami. Lis skamlał, piszczał, później zaczął zachowywać się agresywnie, gdy tylko

podchodziłem bliżej. Warczał. Rzucił się na klatkę, uderzając o kraty, gdy fundowałem mu kąpiel z lodowatej wody lub wylewałem na niego wiadro wrzątku. Staralem się go podkarmiać, ale nie za dużo. Testowałem różne formy zwiększające stres zwierzęcia. Przykrywałem na przykład klatkę czarnym płótnem na kilka dni. Albo podłączyłem stary głośnik, który ustawiłem tuż przy klatce. Zawsze gdy wracałem ze szkoły i płótno wciąż ograniczało widok zwierzęciu, włączałem radio na maksymalny poziom głośności. Lis czuł zagrożenie, ale nie mógł swobodnie poruszać się w małej przestrzeni. Czasami, gdy nie mogłem spać w nocy, również włączałem mu na kilka sekund ostrą muzykę.

– Nie mogę tego słuchać.

– Ale to pani praca. Dokończę tylko.

– To jest naprawdę niepokojące.

– Nie mówiła tego pani, gdy wyrządzałem krzywdę ludziom.

– Naprawdę musimy już kończyć na dzisiaj.

– Dobrze, tylko skończę ten wywód. A więc co zaobserwowałem po tak licznych bodźcach? Testy doprowadziły do samookaleczania się zwierzęcia. Lis gryzł własny ogon oraz uda i tylne kończyny, uporczywie się drapał i ssał własny bok. Myślę, że nie miał żadnej perspektywy. Że pogodził się ze śmiercią, jeśli w ogóle zwierzęta mają taki instynkt, a jeśli nie, na pewno przeczuwał rychłą śmierć.

– Reasumując, jaki to ma związek z pańską ideą?

– No jak to jaki? Nauczyłem się sprawiać, by człowiek zapragnął własnej śmierci, by już za życia stał się niewidoczny. Ale śmierci pojmowanej nie jako ucieczka, nie pójście na łatwiznę. Ja wymazywałem ich z tego świata, dając wieczność w innej formie. Tylko w taki sposób mogłem ich ukarać.

## 12

Filip Tenczyński wchodzi do domu. Jest późny wieczór. Nie spodziewał się, że sesja coachingowa tak bardzo się przedłuży. Pojawiło się wiele pytań, kilka naprawdę miłych rozmów, zafascynowanych i zmotywowanych wyznawców. Oczywiście w grupie znalazł się również osobnik prezentujący postawę negacji – podczas sesji wysłuchiwał uważnie Tenczyńskiego tylko po to, by znaleźć ładnie brzmiące argumenty i skierować je przeciwko niemu publicznie. Zdążył się przyzwyczaić do tego typu zachowań, a ponieważ ryzyko takich postaw było spore, przygotował na kryzysowe sytuacje schemat działania. Wiedział, jak gasić pożar.

Niestety, to wymagało dodatkowego nakładu czasu i energii, za których deficyt nikt mu nie zapłacił. Z ulgą przekracza próg domu. Zauważa włączoną lampkę nocną w salonie.

– Cześć, kochanie. Przepraszam za tak późny powrót, ale wiesz, jak to jest. Akurat dzisiaj znalazł się upierdliwy słuchacz – tłumaczy się Ewelinie.

Kobieta spogląda na niego bez emocji. Leży na kanapie z wysokim kieliszkiem w ręku. Na stole stoi opróżniona w trzech czwartych butelka białego wina.

– Też miałam dzisiaj ciężki dzień. Boże...

– Co się dzieje? – Tenczyński przysiadł się do Eweliny. Kładzie dłoń na jej kolanie.

– Nie chcę do tego wracać. Mam dosyć.

– Coś z pacjentem?

– Jeszcze nigdy takiego nie miałam. Opowiada straszne rzeczy.

– To znaczy?

– Wiesz, że nie mogę ujawniać problemów moich pacjentów.

– Profesjonalistka jak zawsze. Za to cię cenię. – Uśmiecha się. – Ale może uchylisz chociaż rąbka tajemnicy?

– Jest inteligentny, czytany, świadomy swoich problemów, czasami nawet potrafi je nazwać. Charakteryzuje się wielkim narcyzmem. Teorie, które



przedstawia i w które wierzy, napawają niepokojem. To, co robił w przeszłości... Mam z tym ogromny kłopot. Chyba powinnam to zgłosić organom policji.

– Może być niebezpieczny? Aż tak?

– Nie wiem. Czasami mam wrażenie, że ze mną pogrywa, chce wyrzucić wrażenie, pokazać, jaki jest silny.

– Nie brzmi to uspokajająco. Może naprawdę powinnaś...

– Chcę jeszcze wyciągnąć od niego więcej. Ale dzisiaj sama przerwałam sesję. Miałam już dość.

– Co takiego zrobił?

– Opowiadał, jak męczył zwierzęta.

– To straszne. – Tenczyński przykłada dłoń do ust.

– Nie mogłam tego słuchać. Wiesz, jaka jestem wrażliwa na tym punkcie. W relacjach z ludźmi robił równie złe rzeczy.

– Musisz to zgłosić na policję.

– Nie mogę. Nie mam żadnych dowodów poza jego opowieścią. Czasami odnoszę wrażenie, że to wszystko sobie wymyślił. Miałam już takich pacjentów. Opowiadali o kilkukrotnych próbach samobójczych, a nawet o morderstwach. To wszystko okazało się mitomanią.

– Chcesz powiedzieć, że... Ewe, to nie są żarty!

– Panuję nad wszystkim, spokojnie. Wyobraź sobie, że bezpodstawnie łamię tajemnicę lekarską. Jestem skończona w środowisku, zarówno jako psychoterapeuta, jak i psychiatra. Wieści szybko się niosą, wśród klientów również.

– Ale ten świr naprawdę może stwarzać zagrożenie. Mam pomysł. Może pogadaj z Arkiem.

– Chyba żartujesz? – Ewelina oburza się, odstawia kieliszek na stolik kawowy i spogląda na partnera z niedowierzaniem. – I ty to mówisz? Ten człowiek jest dla mnie skończony. Nie chcę mieć z nim nic do czynienia.

– Przerabialiśmy to. A jednak co chwilę wpuszczasz go tutaj do domu. Odbierasz telefony.

– Mówiłam ci, że jak tylko Sylwia wróci do nas, odetnę się od niego na zawsze. Tylko dla niej to robię.

– Ale ja wspominałam o nim, bo mam szczególny plan. Wiesz dobrze, jakim Arek jest raptusem. W gorącej wodzie kąpany. Swoją drogą naprawdę nie wiem, jak tyle z nim wytrzymałaś, ale daruję już sobie te przytyki.

Ewelina wywraca oczami.

– Jeśli powiesz mu o tym pacjencie, to może się zainteresuje. Będzie chciał go sprawdzić. Być może warto, żeby to zrobił. Jeśli znowu coś schrzani, to on się ośmieszy, a ty wszystkiego się wyprzesz.

– Nie, Filip. Dość już mam jakichkolwiek manipulacji. Doskonale wiesz, jak jedna z nich się skończyła.

– Ewe, wyjaśniliśmy już sobie, że to nie twoja wina. Chciałaś dobrze. Gdyby wtedy tam ciebie nie było, Sylwia i tak by zaginęła. Wiesz o tym. To bolesna prawda.

– Zmieńmy temat, proszę.

– Jak sobie życzysz. Zastanów się jednak poważnie nad sesjami z tym pacjentem. Zawsze przecież możesz je zerwać.

– Naukowo są bardzo pociągające – przyznaje Ewelina, z powrotem kładąc się na kanapie. – Najgorsze jest to, że sama nie wiem, czy chciałabym, żeby wszystko, co mówi pacjent, okazało się prawdą czy wierutnym kłamstwem.

Jest siódma rano, ale Arek, o dziwo, czuje się wyspany. Bierze szybki prysznic, po czym wychodzi całkiem nagi do głównego pokoju stanowiącego kuchnię, salon i sypialnię w jednym. Przeczesuje dłonią włosy, obrzucając wzrokiem całe pomieszczenie, które wygląda jak pobojowisko. Postanawia w końcu posprzątać.

Odczytuje maila od przewoźnika, informującego o nadaniu paczki przez Marcelinę Pakulską. W końcu poszła po rozum do głowy – konstatuje, z ulgą przyjmując fakt, że dziennikarka posłuchała jego przynagień i wysłała notatki Krótkowskiego. Lubosz i tak ma ochotę namierzyć ją i sprawdzić, co się dzieje. Czy dziewczyna na pewno jest bezpieczna? Raczej tak, w przeciwnym razie nie wysłałaby żądanych materiałów. Dlaczego odpuściła? Arek odnosi wrażenie, że to z powodu Igi. Pracuje w policji i za dużo kłapie jęzorem – myśli. Z zazdrości o Marcelę mogła naopowiadać jej bzdur, a jeśli przytoczyła oficjalne dane ze sprawy Opraka i jego inwigilacji gangu, na pewno przedstawiła mnie jako kapusia. Z nią też muszę sobie uciąć krótką pogawędkę.

Napełnia czajnik wodą i wstawia na gaz.

Czekając, aż się zagotuje, czyta wiadomości lokalne na smartfonie.

Po chwili telefon rozbrzmiewa melodią dzwonka. Nieznany numer. Lubosz przez moment waha się, czy odebrać. Klika na zielone kółeczko z rysunkiem słuchawki i czeka, nic nie mówiąc. Często tak robi, by sprawdzić, kto się odezwie po drugiej stronie, w jaki sposób i jaki ton przybierze.

– Halo? – Słysząc kobiecy głos.

– Z kim rozmawiam? – pyta oschle Arek.

– Dzień dobry, z tej strony Małgorzata, pielęgniarka ze szpitala, w którym leczyła się pana córka, Sylwia Lubosz. Czy dobrze się dodzwoniłam?

Arek podrywa się z krzesła.

– Tak, tak, Arkadiusz Lubosz przy telefonie. O co chodzi?

– Zdobyłam pana numer z karty pacjenta. Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe, że dzwonię.

– W jakiej sprawie konkretnie?

– Znalazłam coś, co według mnie wygląda podejrzanie i jest związane z zaginięciem pana córki. Ale to tylko moje przypuszczenia. Może niepotrzebnie zwracam panu głowę.

– Nie, nie... proszę mówić.

– Właśnie z tego powodu wołałam najpierw z panem porozmawiać niż od razu powiadamiać policję. Być może już wcześniej personel zauważył to samo, ale nie skojarzył faktów. Dla mnie wygląda to co najmniej dziwnie.

– Co pani znalazła? – pyta Arek, mimowolnie ściskając mocno telefon w ręce.

– Łóżko, które zajmowała pana córka. Na wysokości dłoni, biorąc pod uwagę leżącą osobę, na ramie wyryty jest znak.

– Jaki znak?

– Trzy linie, dwie takiej samej długości, środkowa dłuższa. Wygląda to na jakiś symbol.

Lubosz kompletnie nie potrafi sobie wyobrazić przedstawionego znaku.

– Odnoszę wrażenie, że to pana córka wyryła w farbie te linie, by coś zakomunikować. Mogę się oczywiście mylić, nie sprawdzam tak dokładnie sprzętu, ale nigdy wcześniej nie zauważyłam tych kresek i tak pomyślałam, że może to być dla pana ważne.

– Bardzo pani dziękuję. Każdy najdrobniejszy szczegół może się przydać w śledztwie.

– Czytałam o tym. Bardzo panu współczuję i mam nadzieję, że nie wprowadzam pana niepotrzebnie w błąd tym moim znaleziskiem.

– Jeszcze raz dziękuję. Dobrze pani zrobiła. Przyjadę szybko to zobaczyć.

– Tak się składa, że mam tygodniowy urlop i nie ma mnie dzisiaj na oddziale. Ale zrobiłam zdjęcie. Wyślę panu.

– Jeszcze lepiej. W takim razie czekam i dziękuję.

– Nie ma za co. Zaraz wyślę i wierzę mocno, że to coś pomoże.

– Jeśli tak, obiecuję się odezwać.

Po dwóch minutach Arek otrzymuje MMS. Zdjęcie przedstawia ramę łóżka, na której wyryto trzy linie, dwie równe, jedną nieco dłuższą. Raczej nie wygląda to na przypadkowe rysy, akt wandalizmu jakiegoś pacjenta. Lubosz długo przygląda się fotografii w telefonie. Jeśli te linie narysowała Sylwia, nie ma żadnego pomysłu, co

mogą oznaczać. Chociaż nie opuszcza go wrażenie, że już gdzieś widział podobny układ liniowy.

Arek zjadł śniadanie składające się z jajecznicy, kromki suchego chleba i kawy. Wciąż popijając mocną czarną, wgapia się w otrzymaną od pielęgniarki cyfrową fotografię i rozmyśla nad znakiem wyrytym w ramie łóżka. Nic nie przychodzi mu do głowy.

Ze skupienia wyrywa go kolejny telefon. Dzwoni Bogucki.

– Arek, jesteś w mieszkaniu?

– A gdzie mam być?

– Zaraz po ciebie będę. Jedziemy na wizję lokalną.

– Gdzie i po co?

– Jakiś mężczyzna zgłosił się na komisariat na Książęcej. A w zasadzie to raczej zgarnęli go ze sklepu za jakąś bójkę. Nie wiem dokładnie.

– To robi różnicę, czy się zgłosił, czy...

– Nieważne. Nie o to chodzi. Jak go zawijali, czy już na komisariacie, kolejny raz mówię, że nie wiem, ale facet przyznał się do popełnienia morderstwa.

– No i?

– To koleżka znany w kręgach przestępczych jako Wariat, Łukasz Kabior, garował kilka lat, handlował narkotykami, powiązania mafijne, typ spod ciemnej gwiazdy, tyle że po ostatniej odsiadce wyszedł na prostą. Teoretycznie i do czasu. Zajął się rodziną, normalną pracą, jednak ciągnęło wilka do lasu. Ubierasz się?

– Jestem gotowy do wyjścia. O co dokładnie chodzi? – pyta Lubosz nieco zdezorientowany.

– Czekaj, pogadamy w samochodzie. Zaraz będę.

Lubosz dopija kawę. Chowa telefon do kieszeni i zarzuca na siebie kurtkę. Spogląda na pokój, po czym bierze z blatu kuchennego pustą, plastikową butelkę po wodzie mineralnej. Ustawia ją na podłodze kilkanaście centymetrów od drzwi wiatrołapu. Przed nimi rozrzuca jeszcze kilka puszek po piwie i inne butelki. Jeśli ktoś włamie się do jego mieszkania lub wejdzie nieproszony, wpadnie na pozostawiony rozgardiasz. Nawet jeśli przed wyjściem ułoży butelki w podobny

sposób, nie będzie wiedział, czy jedna z nich stała za drzwiami. Ogólny bałagan powinien sprawić, że nie przywiąże dużej wagi do faktu, iż właśnie wpadł w stertę śmieci.

Lubosz wychodzi na zewnątrz i zapala papierosa. Mógłby też poprosić Dionizego, aby baczniej obserwował mieszkanie, ale nie chce narażać staruszka. Co więcej, to by nic nie dało, ponieważ w takiej sytuacji na pewno spłoszyłby włamywacza. Arek myśli również, czy nie zamontować w mieszkaniu monitoringu, ale nie ma ani ochoty, ani pieniędzy, by bawić się w nowoczesne rozwiązania.

Rzuca papierosa do popielniczki przy koszu na śmieci i wychodzi przed bramę główną. Po chwili zjawia się Bogucki, zajeżdżając samochodem na chodnik. Lubosz wsiada do auta i trzaska drzwiami.

– Co to za roszady z rana?

– Tak jak mówiłem – zaczyna Marek, rozglądając się po lusterkach bocznych i przyspieszając. – Gruba sprawa. Zgłasza się ten Wariat do nas. Nie wiem, co mu odbiło, raczej to, że znudziła mu się tyra na wolności i chce wrócić dobrowolnie do wygodnej celi. Tylko że wtedy pojawi się tam jako inny człowiek, bohater. Wróci w glorii i przy oklaskach osadzonych.

– Nie rozumiem. Co zrobił?

– Nie mamy żadnych powiązań ze sprawą Sylwii, ale nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. Zgadnij, na kogo dostał zlecenie Wariat.

– Hmm... i nie ma to związku z naszym dochodzeniem?

– W teorii nie, ale właśnie tego musimy się dowiedzieć.

– To nie mam zielonego pojęcia.

– Będziesz zaskoczony. Może nawet zapłaczesz lub wychylisz szklaneczkę whisky.

– No mów!

– Ten gość utrzymuje, że zabił Krystiana Opraka.

Wjeżdżają w leśną drogę. Samochód podskakuje na wertepach tak mocno, jakby sprężyny amortyzatorów zaraz miały wpaść do wnętrza pojazdu. Marek nie zwalnia, wręcz przeciwnie. Pokonuje kolejne zakręty niczym kierowca rajdów szosowych.

– Zajedziesz ten wóz – oświadcza Lubosz, trzymając się uchwytu w podsufitce.

– To służbowy – wyjaśnia Bogucki i na potwierdzenie tych słów redukuje bieg, po czym dociska pedał gazu.

W końcu docierają na miejsce. Przed nimi rozpościera się łąka, której teren lekko unosi się aż do poszycia lasu. Na pierwszy rzut oka leśne ostępy liczą dwa hektary, a sporą częścią tego obszaru są wykarczowane nieużytki oraz nowe nasadzenia. Tuż przy rozpoczynającej się po lewej stronie linii drzew stoją radiowozy policyjne, a przy nich grupka funkcjonariuszy, prokurator oraz pracownicy służby więziennej aresztu, skąd dowieziono przesłuchiwanego. Ze skutymi rękoma, lekko zgarbiony stoi Łukasz Kabior vel Wariat.

– Dzień dobry, panowie – mówi na przywitanie Bogucki, zwracając się następnie do oskarżonego: – O, Wariat! Znudziło ci się życie na wolności?

Mężczyzna milczy. Po chwili dopiero przenosi wzrok na policjantów i odpowiada:

– Może moje miejsce jest tam, po drugiej stronie.

– Filozof się znalazł – kwituje Marek.

Lubosz przysłuchuje się uprzejmościom i przypatruje Kabiorowi. Mężczyzna wygląda na przybitego ciężarem sytuacji i ostatnich wydarzeń. Wiele rzeczy Arkowi nie pasuje, dlatego będzie chciał je wyjaśnić. Jak najszybciej.

Jeden z policjantów niesie kukłę imitującą ciało ofiary.

– Dobra, nie będziemy odpierdalać maniany teraz – wypala nagle Lubosz, a wszyscy obrzucają go spojrzeniem. – Później sobie zrobicie wizję lokalną na potrzeby procesu. Niech od razu wskaże, gdzie jest ciało.

Wśród zgromadzonych zapanowuje na moment konsternacja. Nie spodziewali się, że Arek będzie tak zdecydowanie określał, co mają robić. Nie ma prawa



wydawać im rozkazów i wtrącać się do pracy zawodowej. Jednak zebrani policjanci oraz prokurator doskonale znają obecną sytuację Lubosza i wiedzą też, że przybył na oględziny z powodu możliwych powiązań oskarżonego i ofiary ze sprawą zaginięcia córki.

– To parę kroków stąd – zapewnia Wariat. – Miejmy to już za sobą.

Funkcjonariusze zabierają łopaty. Wszyscy kierują się za Kabiosem, wysłuchując jego wskazówek. Przechodzą kilka kroków w głąb łąki, gdzie trawa jest sporej wysokości. Widać jednak ślady wcześniejszej obecności człowieka. Żdźbła trawy są połamane. W podłożu uważny i wykwalifikowany w zbieraniu dowodów obserwator mógłby dostrzec fakturę odcisniętych butów. Policijni technicy zabezpieczają te punkty.

Przechodzą tam, gdzie ziemia jest naruszona, włókna traw przecięte i wymieszane z glebą.

– To tutaj. – Kabior wskazuje palcem miejsce ukrycia zwłok.

Mężczyźni zaczynają kopać.

– Dlaczego przyznałeś się do morderstwa? – pyta Lubosz.

Wariat milczy, nie patrzy na niego, tylko na przerzucających ziemię mężczyzn.

– Kto ci dał zlecenie na Opraka?

Nadal cisza.

– Czy wiesz, kim była twoja ofiara?

– Ten były pies? Jasne, że wiem.

Lubosz szybko analizuje usłyszane słowa. Nie zabija się ot tak policjanta. Nawet jeśli ten zszedł z drogi prawa, choć właśnie to mogło odegrać w tym morderstwie kluczową rolę. Kabior wiedział, jaki status miał Oprak, który z kolei mógł zaszkodzić podczas odsiadki wielu nieciekawym ludziom.

Krystian Oprak... Wiele go łączyło z Luboszem, a później jeszcze więcej poróżniło. Trzymali się razem, po pracy wychodzili na piwo, omawiając prowadzone sprawy, niestety zbyt często upijali się wtedy do nieprzytomności, zwłaszcza gdy na drugi dzień wypadło wolne w grafiku. Spali na wygodnych kanapach ulubionego baru, którego właściciel mieszkał na piętrze, więc gdy wszyscy goście już wyszli, zamykał lokal, stawiał na stoliku butelkę wody mineralnej i po schodach ruszał do swojego mieszkania. Schlebiało mu to, że może

gościć policjantów z wydziału kryminalnego, którzy czasami w stanie upojenia zdradzali interesujące wątki w prowadzonych śledztwach i zasłyszane historie.

W miejscu, gdzie Kabior zakopał ciało Opraka, ubywa coraz więcej ziemi. Krystian sam zgotował sobie taki los. Wspomnienia lekko poruszają Arka, który chciałby wrócić do tych czasów, ale również całkowicie je zmienić i skupić się na życiu rodzinnym. Wie, że już nigdy nie będzie to możliwe.

– Jeszcze raz. Dlaczego przyszedłeś z tym do nas? – naciska Lubosz.

– Bo po drugiej stronie, wśród moich braci, będę się czuł bezpieczniej niż tutaj.

– Kto dał ci zlecenie?

Kabior milczy.

– Dlaczego chciałeś go zabić?

Cisza.

Lubosz chciałby potrząsnąć mężczyzną, złamać go i wydobyć informacje, ale wie, że przy tylu świadkach nie może tego zrobić.

Mężczyźni kopią dalej, ale wkrótce już każda z zebranych na łące osób zdaje sobie sprawę, że coś jest nie tak.

– Jaja sobie robisz? – wyrzuca mu jeden z policjantów. – Będziesz sobie to sam, kurwa, fedrował.

– Tutaj nic nie ma!

– Za chwilę przekopię się na drugą stronę świata – utyskuje inny. – Albo na gruba!

Kabior przygląda się z autentycznym zdumieniem świeżo wykopanemu dołowi.

Jest pusto.

Może przysiąc, że się nie pomylił co do miejsca ukrycia zwłok. Właśnie tutaj zakopał ciało.

Ciało, które zniknęło.

– To trzeba wszystko wyznać organom sprawiedliwości. Inaczej nigdy się pan od tego nie uwolni. Zło wciąż będzie się toczyć...

– Kto mówi, że to, co robiłem, było złe?

– Tylko zbrodniarze lub tchórze tłumaczą skrajne czyny ideologią.

– Pani mnie nie wyda? Chroni panią kodeks...

– Jedynie do czasu, gdy wiem, że innym osobom nic nie zagraża, ale...

– Skończyłem z tym. Nie mam już siły.

– Dlaczego pan to robił? Brnął w to jak ćma do światła.

– Widziałem sporo przemocy. Przez całe swoje życie. Tych ludzi, którzy tak łatwo rezygnowali. Myślę, że to był zapalnik. Nie jestem zaburzony, ale pani pewnie myśli o tym trochę inaczej. Potrafię ocenić, jak wielki wpływ na wszystko, co później robiłem, miało wydarzenie z dzieciństwa: śmierć mojego brata. A potem widziałem wielokrotnie rozkład ciał. Sporo się nad tym zastanawiałem.

– Nad czym konkretnie?

– Czy pani głos drży?

– Wydaje się panu. Proszę kontynuować.

– Zastanawiałem się nad śmiercią. Jak bardzo jest unifikowana.

– Jak to rozumieć?

– Jak bardzo chcemy ją obecnie ubrać w jednolite ramy, procedować? Jeśli w ogóle istnieje takie słowo. Nie ma dowolności w tym zakresie. W ogóle teraz to uciekamy od śmierci, boimy się jej, ale nie tak jak dawniej, gdy starano się ją oswoić poprzez na przykład pogrzebowe rytuały jak zakrywanie luster ciemnymi materiałami, aby dusza, opuszczając dom, nie przejrzała się w nich. Boimy się prawdy, jaką niesie śmierć, czyli nieestetycznego widoku, brzydoty, smrodu rozkładającej się materii, obecności i niesamowitości. Bo nie myślimy o niej na co dzień, więc gdy się zdarzy, nie jest czymś, co znamy dobrze. Kiedyś pogrzeb i wszystkie związane z nim obrzędy to był istny teatr, misterium. Teraz spychamy

zmarłego na boczny tor. Od razu dzwoni się do zakładu pogrzebowego, żeby wywieźli ciało do kostnicy, by nie musieć oglądać nieboszczyka.

– Wszystko się zmienia, również takie obyczaje. Nie mamy na to wpływu. Ale na nasze czyny już tak.

– No właśnie. Dlatego tak bardzo denerwowała mnie postawa rezygnacji. Ci wszyscy ludzie tak łatwo się poddawali, a ja całe życie walczyłem, by coś osiągnąć, by w czymś być lepszym. Widziałem tyle matek i ojców, którzy opłakiwali swoje dzieci, widziałem płaczące kobiety nad ciałami swoich zamordowanych mężów. Ileż by dali za to życie, by je wskrzesić. A niektórzy tak łatwo się poddawali, szli w narkotyki, alkohol, chcieli popełnić samobójstwo. Jakież to lekceważenie życia! To jakby pluli wspomnianym kobietom czy rozpaczającym rodzicom prosto w twarz. Ale mieli też prawo do decydowania o swoim losie. Tego demokratycznego prawa nikt im nie może odebrać. Więc dawałem im możliwość wymazania swojego imienia z dziejów tego świata. A jednocześnie obiecywałem życie wieczne. Gdy przygotowywałem kombinezony, które miały przyspieszyć ich rozkład, nie zdawali sobie sprawy z faktu, że swoją śmiercią oddadzą hołd naturze. Nie słucha mnie pani?

– Słucham.

– Ale nie rozumie pani?

– Proszę dać mi więcej informacji, abym w pełni mogła zrozumieć pana motywacje.

– Stwierdziłem, że należy im się to, czego oczekują.

– Komu?

– Ludziom, którzy się poddają.

– Dlaczego?

– Bo nikt inny w taki sposób nie spełni ich próśb.

– A jakie dokładnie były ich prośby?

– Chcieli zniknąć z tego świata. Pragnęli, by o nich zapomniano. Tylko ja mogłem zapewnić im dokładnie to, czego oczekiwali. Wymazać ich z tego świata, a jednocześnie pozostawić wciąż żywych.

– To trochę sprzeczne z...

– Wierzę, że tylko poprzez ponowne połączenie z przyrodą można istnieć wiecznie.

– Proszę to rozwinąć.

– Nie ma nieba, nie ma piekła ani żadnego biblijnego raju. Jest tylko materia i jej duchowość. Materia może się zmieniać i stawać częścią innych żywych organizmów. Jedynie tak możemy ponownie spotkać naszych bliskich, zjednoczyć się z nimi poprzez wymianę organiczną. Czyż to nie piękne, że nasze martwe ciało może posłużyć jako życiodajne mikroelementy zasilające rośliny, rosnące drzewa, grzyby? Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz to najwłaściwsza metafora tego, o czym mówię. Zrozumiałem to całkiem szybko, gdy odszedł mój brat. Długo jednak musiałem pracować nad metodą, by jednocześnie móc kogoś ukryć przed światem, by mógł pozbyć się tego balastu, jaki nabywa przez całe życie, relacji z ludźmi, zachowań, kulturowych i religijnych zakazów, i również zapewnić mu nowe istnienie. Zwykle spalenie ciała czy też pochówek nie wchodzi w grę, bo po pierwsze są wynikiem wypracowanych obyczajów, po drugie nie wpisują się w biologiczny łańcuch najczystszej postaci wymiany materii. Dlaczego pani się śmieje?

– Nie, nie śmieję się.

– Wyraźnie widziałem, jak się pani uśmiecha.

– Błędnie to pan odczytał. Ale muszę przyznać, że nadal nie przekonują mnie takie motywacje. Musimy to omówić. Człowiek nie może decydować o życiu drugiego człowieka w taki sposób.

– Ale to oni sami zdecydowali. Ja byłem tylko pomocnym narzędziem w ich rękach. Wszystko się skomplikowało, kiedy trafiłem na córkę policjanta.

– Co się zmieniło?

– To był przypadek. Śledziłem ją, a w zasadzie jej pragnienia. Wydawała się idealną kandydatką. Dopiero później dowiedziałem się, że jej ojciec jest policjantem, a w takich przypadkach rozpętuje się piekło. Mogła zniweczyć cały mój plan. Dlatego musiałem ją gdzieś ukryć. Przystopowałem działania, przez co miałem też kłopot z innymi osobami. Ale bałem się, że policja zbyt szybko mnie odnajdzie. Co pani robi?

– Myślę, że powinniśmy skończyć na dzisiaj.

– To ja decyduję, kiedy kończymy...

- To tak nie działa.
- Szkoda, liczyłem na pomoc.
- Czego ty ode mnie chcesz?
- Nadal się nie domyślasz? Chyba po prostu chciałbym się jeszcze kiedyś z tobą spotkać.

Dlaczego zginął Oprak? Czy to zabójstwo ma związek ze sprawą zaginięcia Sylwii? Lubosz próbuje poukładać wszystkie fakty, znaleźć połączenia, lecz jeśli takowe istnieją, wciąż są tylko przeźroczytymi, niedostrzegalnymi gołym okiem nićmi.

Kabior wyglądał na naprawdę zaskoczonego; raczej nie kłamał i naprawdę nie spodziewał się, że w miejscu, które wskaże, policjanci nie znajdą ciała – tak przynajmniej podpowiadała Arkowi intuicja i dokładna obserwacja zachowania przestępcy. Wydawał się naprawdę wzburzony. Przewieziono go z powrotem do aresztu śledczego. Wariat milczy, nie chce powiedzieć nic więcej na temat tego zabójstwa i nie zanosí się na to, by coś miało się zmienić.

Nadzieja umiera ostatnia – tę zależność Lubosz testował przez minione lata bardzo intensywnie. Przekonał się, że ta maksyima głosi prawdę, trzeba najpierw jednak odpowiednio przygotować grunt i zainicjować pewne wydarzenia. Jego pomysł się sprawdził, a wieloletnie doświadczenie i wiara w statystyki mówiące, że poszukiwany często wraca na miejsce zbrodni, kolejny raz stały się faktem. Tym razem jednak ktoś wrócił do podziemnego laboratorium, które Lubosz odkrył wraz z Boguckim.

– Szefie. – Arek słyszy przez telefon chrypliwy szept. – No coś się w końcu dzieje. Jakieś auto przyjechało.

Lubosz zrywa się zza biurka, łapie za kurtkę i chowa szybko klucze samochodowe do kieszeni. Wypada z mieszkania jak oszalały. Pędzi do wozu, pożyczonego od znajomego za butelkę zero siedem. Próbuje zapalić, ale alternator tylko się kręci, a silnik kaszle, po czym gaśnie. Ponawia próbę, a samochód odpowiada przeciągłym pomrukiem, gdy Arek naciska na pedał gazu. Cały kokpit drży, obroty są bardzo nierówne. Lubosz ma nadzieję, że uda mu się dojechać na teren huty, zanim ten stary grat wyzionie ducha.

Lubosz kilka dni wcześniej odnalazł bezdomnego pijaczka, Roberta Kąkola, znanego policji mężczyznę, który skompletował sobie całkiem pokazą teczkę. Ale dwa lata wcześniej pomógł śledczym w pewnej sprawie i podobno zaczął lepiej się prowadzić, przynajmniej mniej pił i mieszkał w ośrodku dla bezdomnych. Lubosz

przekazał mu stary telefon na kartę, tylko z jednym numerem, na co początkowo Kąkol nie zareagował z entuzjazmem.

– Już kiedyś ktoś mi dał telefon i prosił o SMS-y – odniósł się do sprawy sprzed dwóch lat, która wpędziła go w spore kłopoty.

Lubosz wyjaśnił mu, o co chodzi. Kąkol miał czuwać przez kilka dni. Jego zadaniem była całonocna obserwacja części administracyjnej byłego hotelu, budynku, w którym śledczy odkryli laboratorium. Arek miał pewność, że bezdomny przyłoży się do tego zadania, ponieważ miał złe wspomnienia związane z podobną prośbą, którą musiał spełnić, o czym Lubosz dowiedział się z akt i opowieści kolegów. Poza tym obiecał mu wynagrodzenie – dwadzieścia złotych za każdą noc, płatne po wykonaniu zadania. Umówili się na tydzień obserwacji. Lubosz niczym nie ryzykował. Plan wypalił w stu procentach.

Jest bardzo ponura, ciemna noc. Nad głową roztacza się mroczne niebo. Gęste chmury zasłaniają gwiazdozbiory. Lubosz odnosi wrażenie, jakby momentami kroczył po omacku. Zajechał do bramy huty i pokonał taką samą drogę jak z Markiem, gdy odnaleźli opuszczony hotel.

Arek wie, jak dojechać pod budynek administracji, jednak nie może sobie na to pozwolić. Jego plan polega na cichej, wyrafinowanej akcji, bez fajerwerków i improwizowania. Nie popełni już tego samego błędu co z kierowcą ducato.

Lubosz brnie przez wysokie trawy, przypadkowo nadziewając się na wystające gałęzie krzewów. W końcu dociera do płotu z zardzewiałej siatki, którą naciął wcześniej w jednym miejscu, by móc ją odchylić i przejść na drugą stronę. Z powodu panujących ciemności dużo czasu zajmuje mu odnalezienie tej szczeliny. Nie chce zapalać latarki w telefonie; stara się pozostać niezauważonym.

Dostrzega samochód zaparkowany tuż przed bramą garażową budynku administracji. Z daleka pojazd wygląda na SUV-a lub terenówkę.

Arek przeczołguje się przez dziurę w siatce. Czuje, jak mocno bije mu serce. W pobliżu nie ma śladu po Kąkolu. To dobry znak. Wykonał dobrą robotę i zniknął, nie budząc podejrzeń.

Lubosz stara się bezszelestnie przedostać do stojącego bokiem do budynku samochodu. Panuje absolutna cisza. Jedyńm jego sprzymierzeńcem okazuje się wiejący coraz mocniej wiatr, który zagłusza niektóre odgłosy.



Arek kuca przy samochodzie. To mitsubishi outlander, stary model. Chce zapamiętać numer rejestracyjny, ale tablice zostały zdemontowane. Musi się pośpieszyć. Kierowca jest w środku budynku, ale w każdej chwili może wrócić. Pokusa, by go zaatakować i spojrzeć mu prosto w oczy, jest silna, lecz wtedy plan spalilby na panewce. W dodatku Arek nie może podjąć takiego ryzyka; przestępca zapewne ma broń. Walka wręcz mogłaby się źle skończyć.

Zastanawia się, czy ma do czynienia z osobą odpowiedzialną za porwanie jego córki, czy może z kimś zupełnie innym. Jaką rolę w całej sprawie pełni kierowca outlandera i czego szuka w laboratorium? Arek przypuszcza, że musi to być główny poszukiwany w sprawie Sylwii, który wrócił po swoje fanty, by sprawdzić, co jeszcze może odzyskać. Strategia, jaką przyjął śledczy, ma wkrótce dać odpowiedź na wszystkie pytania.

Lubosz wykluczył wcześniej walkę bezpośrednią. Była to jednak opcja, którą zamierzał wdrożyć w życie, gdyby ktoś podejrzany po prostu wszedł do środka. Wierzył, że wynajęty Kąkol może zauważyć coś nietypowego, ale nie spodziewał się, że dosłownie rozbije bank. Założył, że nawet jeśli ktoś pojawiłby się na miejscu pojazdem, jego śledzenie będzie niemożliwe. Zaistnieje zbyt duże ryzyko wykrycia. Spodziewał się bardziej, że ktoś pozostawi samochód w pewnej odległości, w nierzucającym się w oczy miejscu. Teraz ma samochód jak na tacy i właśnie na to najbardziej liczył.

Lubosz wślizguje się pod auto i umieszcza nadajnik GPS z magnesem na podwoziu, z przodu na wysokości maski, wkładając go do środka, co dodatkowo powinno uchronić urządzenie i przed odpadnięciem podczas jazdy po nierównościach, i przed wykryciem.

Naraz słyszy, jak otwierają się drzwi do budynku. Leży nieruchomo na wilgotnej trawie. Chciałby na moment nie oddychać, nie wydawać z siebie najmniejszych dźwięków, które mogłyby go zdradzić. Nie ma drogi wyjścia. Musi czekać na kolejny ruch mężczyzny. Może jeszcze wróci do budynku. Dopiero wtedy orientuje się, że tylko wyciszył telefon, nie wyłączył jednak wibracji. Oby nikomu nie przyszło na myśl, by do niego dzwonić – prosi w duchu.

Rozlega się odgłos klapy bagażnika. Mężczyzna wkłada coś do środka, po czym zamyka drzwi. Lubosz dostrzega tylko niewyraźne kształty butów – wysokich, mocnych, z dużą cholewką. Obuwie przystosowane do górskich lub leśnych warunków. Ale mają na podeszwie coś jeszcze, jakieś dziwne zgrubienie, fałdy,

jakby dodatkowo nałożony materiał. Lubosz szybko rozpoznaje folię ochronną, zapewne kilka warstw. Mężczyzna zdecydowanie nie chce zostawić śladów obuwia.

Buty znikają. Mężczyzna operuje przy drzwiach do garażu, po czym wraca. Teraz Lubosz lepiej identyfikuje szelest folii ochronnej nałożonej na buty. W kontakcie z trawą porastającą teren przed budynkiem administracji nieczynnego hotelu każdy krok wywołuje charakterystyczny dźwięk.

Mężczyzna wsiada do samochodu. Cały pojazd kołysze się na moment pod ciężarem jego ciała. Lubosz ocenia, że podejrzany musi mieć całkiem sporą wagę lub bardzo gwałtownie opadł na fotel kierowcy. Słychać zapalany silnik.

Lubosz przywiera mocno do podłoża. Pochmurna noc, wcześniej uciążliwa, teraz staje się jego schronieniem. Samochód odjeżdża. Arek dopiero po dłuższej chwili podnosi się z ziemi.

Włącza telefon i aplikację sprzężoną z nadajnikiem GPS.

Uśmiecha się do siebie w ciemnościach.

Na ekranie smartfona widzi dokładną trasę pokonywaną przez kierowcę outlandera.

Mapa wyświetlana w trybie nocnym przedstawia ciemnoszary obszar poprzecinany białymi nitkami dróg. Obraz przypomina Arkowi kombinezon z zarodnikami grzybów przygotowywany do rozkładu ciał.

Lubosz wie, że już jest bardzo blisko.

Lubosz pije kawę na stacji Orlenu. Dochodzi 1.30. Nauczony doświadczeniem ze służby w policji, wybiera miejsce na najbardziej oddalonej kanapie w rogu, tak by mieć podgląd na całe wnętrze stacji benzynowej. To odruch, który wykazuje zawsze w miejscach publicznych. Spogląda na zainstalowaną w smartfonie aplikację. Przypuszczał już wcześniej, że mężczyzna może udać się w miejsca niezaludnione, gdzie pojawienie się drugiego człowieka wzbudzi podejrzenia poszukiwanego.

Nadajnik GPS wskazuje przebytą trasę przez Mysłowice, Jaworzno, a z dalszego zapisu wynika, że samochód wjechał na leśną drogę. Dojechał do jednego punktu, w którym kierowca spędził około godziny. Następnie przejechał w inne miejsce tuż pod lasem, zatrzymał się na moment, a później wrócił tą samą drogą do Katowic. Auto od dłuższego czasu stoi bez ruchu, na parkingu przed cmentarzem komunalnym przy ulicy Murckowskiej. Lubosz postanawia sprawdzić tę lokalizację.

Ulicą Trzech Stawów przejeżdża pod wiaduktem i skręca w prawo, tam gdzie Porcelanowa łączy się z Gospodarczą. Pokonuje próg zwalniający, jedzie prosto, po dłuższej chwili skręca w lewo, na duży parking, na którym stoi kilka samochodów. GPS pokazuje dokładne położenie pojazdu, ale Lubosz nie potrzebuje jego wskazań; szybko zauważa pozostawione mitsubishi. Podjeżdża do niego i parkuje parę metrów dalej, próbując dostrzec, czy w samochodzie znajduje się kierowca. Nie widzi nikogo. Lubosz wychodzi z auta, rozgląda się, nikogo nie ma. Podchodzi do outlandera, zagląda przez szybę do środka, ale nie widzi nic, co powinno zwrócić jego uwagę.

Robi kilka szybkich zdjęć, zwłaszcza tablic rejestracyjnych, które pojawiły się w ramkach. Tablice nie są polskie, lecz niemieckie. Lubosz jest przekonany, że to nieważne już numery, pozostałe po jakimś sprowadzonym z zagranicy samochodzie.

Wraca do swojego auta, zapala silnik i zmienia miejsce parkingowe na najbardziej oddalone, ale tak, żeby jednak widzieć outlandera.

Obserwuje otoczenie. Totalna cisza.

Lubosz uchyla szybę i zapala papierosa.

Upływają kolejne minuty.

Sprawdza telefon.

Nagle uświadamia sobie, że mężczyzna, który pozostawił tutaj samochód, prawdopodobnie już dzisiaj do niego nie wróci. Po dotychczasowych działaniach można ocenić, jak bardzo jest ostrożny. Dlatego Lubosz przypuszcza, że poszukiwany zmienia auta, by nie zostać tak łatwo namierzonym. Postanawia zadzwonić do Marka i poinformować go o swoim odkryciu.

Bogucki nie odbiera.

Lubosz ponawia połączenie.

W końcu słyszy szum w głośniku i wyraźnie podpity głos Marka.

– Arek? No co tam?

– Gdzie jesteś? Odkryłem coś bardzo ważnego.

Bogucki bełkocze coś niewyraźnie. Lubosz już wie, że tej nocy nie dogada się z kolegą. Ale może mu pomóc, by szybko doszedł do siebie.

– Aaaa... trochę zasiedzieliśmy się po robocie... – wyjaśnia Bogucki. – Ale zaraz do domu pójdziemy.

– Odwiozę cię.

– A nie trzeba, nie trzeba.

– Gdzie przyjechać po ciebie?

– Gdzie my jesteśmy? – słychać pytanie kierowane do uczestników imprezy. – W „Garażu” siedzimy.

– Dobra, jadę.

Lubosz kieruje się do pubu. Odpuszcza pilnowanie outlandera, ponieważ dzisiaj jego właściciel już raczej nie wróci po odbiór auta. A jeśli tak, śledczy dostanie powiadomienie w aplikacji.

Czuje ekscytację. Wie, że tuż za rogiem kryje się rozwiązanie tajemnicy. Jak tylko odwiezie Marka do mieszkania, zamierza wziąć lepsze buty, latarkę, nóż myśliwski i sprawdzić lokalizację w lesie, w której znalazł się kierowca mitsubishi. Nie będzie czekał do samego rana.

Lubosz podejźdza pod Club Garage, popularny „Garaż”, pub z bilardem, kręgielnią i klubem muzycznym. Kiedyś lubił tam przychodzić, napić się, spędzić wolno płynące popołudnia na samotnej grze w snookera.

Marek już czeka przed wejściem. Chwieje się mocno. Arek pomaga mu wsiąść do samochodu. Ruszają na osiedle Kukuczki.

– Nawet nie wiesz, co się... – zaczyna Lubosz, ale urywa w pół zdania, widząc śpiącego kolegę, który potrzebował dosłownie kilku sekund, by wpaść w objęcia Morfeusza.

Po dziesięciu minutach są na miejscu. Lubosz parkuje przed blokiem. Niebo powoli robi się jaśniejsze, wciąż jednak panuje noc.

– Hej, wstawaj! – Potrząsa Markiem, nachylając się do kabiny przez otwarte drzwi pasażera.

Marek nie za bardzo wie, co się dzieje. Machinalnie gramoli się z fotela, następnie chwyta ręką za drzwi, próbując utrzymać równowagę. Arek łapie go pod ramię i prowadzi do mieszkania.

– Masz klucze? – pyta, gdy stają przed drzwiami.

– Taa...

– Poradzisz sobie?

– Dzięki.

Lubosz zostawia Boguckiego na klatce schodowej, a ten żegna się z nim podniesioną ręką.

Arek wsiada z powrotem do samochodu. Za chwilę zacznie się poranek. Przez uchyloną szybę okna do wnętrza wpada rześkie, wilgotne powietrze. Lubosz pomimo nieprzespanej nocy czuje przyływ nowej energii.

Gdy rusza z miejsca, słyszy trzask po prawej stronie. Zatrzymuje się. Nachyla się nad fotelem pasażera i zauważa pozostawiony przed Marka telefon, który wpadł do bocznego schowka w drzwiach.

W najbliższych godzinach raczej nie będzie mu potrzebny – myśli Arek.

Arek kieruje się w głąb lasu wąską, nierówną drogą. Z każdym przebytym metrem coraz bardziej żałuje swojej decyzji; zastanawia się, czy nie zawrócić i przygotować się na wyprawę samochodem przeznaczonym do jazdy w terenie. Prowadząc pożyczony gruchot, ma wrażenie, że zaraz straci podwozie. Na każdej dziurze koła łupią tak mocno, jakby ktoś pozbawił ten samochód amortyzatorów. Pewnie już dawno są wybite – myśli Arek i łamie swój święty zakaz, paląc papierosa w ruchu. Przyzwyczajenie, by nie palić „przy okazji” innych czynności poza rozmową z drugim człowiekiem, stało się jego postanowieniem, które pielęgnował na co dzień. W sytuacji, w jakiej się znalazł, musiał po prostu zapalić. Dochodziła czwarta rano. Natura powoli budziła się do życia, a Arek odpędzał senność na wszelkie możliwe sposoby niczym zły urok.

Pali, by wciąż pobudzać synapsy do aktywnej pracy. Co chwilę pociąga z trzeciej już puszki energetyka, wlewając w swój organizm tyle tauryny, że sam czuje, jak mocno bije mu serce. Kiedy tak przemierza w samotności leśne ostępy, nachodzi go myśl, że nie pamięta już czasów, gdy jako nastolatek miał tyle sił witalnych, że mógł imprezować co noc, kłaść się spać na trzy godziny i normalnie funkcjonować. Teraz każda niezdrowo spędzona noc zdaje się zakładać mu na plecy trzydziestokilogramowy plecak, który musi nosić cały dzień.

Czy dobrze postanowił, że w pojedynkę będzie brnąć coraz głębiej w rozwiązanie sprawy? Może powinien zgłosić śledczym swoje odkrycie, zamysł, akcję, obraną naprędce strategię. Nie zrobi tego jednak, ponieważ doskonale wie, jak by to się musiało skończyć. Tysiąc procedur i przygotowań. A teraz trzeba działać jak najszybciej. Chwytać się każdego najdrobniejszego błysku nadziei, podążać za światełkiem w cholernie mrocznym tunelu.

Grzyby rozkładające ciało po śmierci. Lubosz coraz mocniej zaciska dłonie na kierownicy. Myśli, że Sylwia spoczywa pod warstwą ziemi, otulona całunem z zarodnikami grzybów, są coraz bardziej natarczywe. Czy jeszcze kiedyś ją zobacze? – pyta się w duchu. Czy dostanę szansę, by naprawić zagmatwaną przeszłość?

Czy zabójstwo Opraka w tym czasie jest tylko zbiegiem okoliczności? Kto zagraża Wariatowi na tyle, że wołał się przyznać do morderstwa po to, by jak najszybciej trafić do zakładu karnego?

Arek wie, że jeśli uda mu się rozwikłać te zagadki, znaleźć odpowiedzi na nurtujące go od trzech lat pytania, już nigdy nie wróci do pracy. Wypisze się z tego bajzlu. Nigdy jednak nie osiągnie spokoju, jeśli nie odnajdzie Sylwii.

Skreca w prawo. Droga się zwęża. Poszycie lasu zdaje się coraz gęstsze. Gałęzie otulają samochód. Głęboki las pochłania Lubosza, zaprasza do siebie. Po kilkuset metrach Arek zatrzymuje auto. Wysiada. Z bagażnika zabiera plecak, w którym ma latarkę, butelkę wody mineralnej, nóż oraz małą, rozkładaną saperkę z funkcją kilofa; założył, że będzie mu potrzebna.

Drzewa przerzedzają się, odsłaniając puste łąki.

Nie mylił się.

Po kilkudziesięciu minutach marszu wchodzi do zagajnika, który z każdym krokiem zmienia się w las z ciasno rosnącymi drzewami, gdzie nie dociera światło. Bór jest gęsty, odrośle kładą się nisko, w oddali widać setki drzew z niebezpiecznie wystającymi suchymi gałęzmi świerków.

Lubosz spogląda na telefon i ścieżkę wyznaczoną przez aplikację z GPS-em. Idzie dalej, przedzierając się przez coraz większy mrok. Ma wrażenie, jakby drzewa tworzyły jeden wielki dach, chroniąc wszystko, co poniżej.

Dociera do miejsca, w którym według wskazań GPS-u kierowca outlandera spędził więcej czasu. Obszar jest jeszcze gęściej nabity świerkami niż wcześniej. I to właśnie tutaj Lubosz szybko dostrzega przekopaną ziemię. W niektórych punktach widać prawdziwe królestwo grzybów. Rosną blisko siebie, zdają się wyrastać jeden z drugiego, mają długie nóżki i spiczaste kapelusze.

Arek delikatnie odgarnia glebę tam, gdzie jest świeża, niepokryta igliwem. Uważnie przesuwając szpadel, by nie naruszyć całunu, który spodziewa się odkryć.

Podnosi głowę i spogląda w bezbrzeżny mrok lasu. Dreszcz przechodzi mu po plecach. Czuje się nieswojo, jakby zaraz ktoś miał go przyłapać na złym uczynku.

Cisza wokół, przerywana jedynie szelestem przemykającej w oddali dzikiej zwierzyny, jest niepokojąca.

Bardzo płytko pod odgarniętą ziemią Arek dostrzega kawałek ubrudzonego płótna. Nie ma wątpliwości, że materiał przesiąknięty jest zakrzepłą krwią.

Lubosz pracuje dalej, bez wytchnienia, odkrywając kolejne fragmenty całunu. W końcu wyjmuje z plecaka lateksowe rękawiczki i naciąga je na dłonie, po czym nożem rozcina płótno, by zajrzeć do środka.

W nozdrza uderza go trupi zapach. W pierwszym odruchu ukrywa nos w ramieniu, oddychając przez koszulę. Później stara się ignorować odór, nie skupia się na nim, lecz na odnalezionym martwym mężczyźnie. Nie może jednak powstrzymać torsji, gdy spogląda na zdeformowane ciało detektywa Krótkowskiego i jego martwe, puste oczy.

Zaraz obok odkopuje kolejny całun, tym razem pod płótnem odnajduje zwłoki Opraka.

Zimny dreszcz wstrząsa Arkiem. Nigdy nie przypuszczał, że zobaczy dawnego kolegę w takich okolicznościach.

Odgarnia dalsze połacie ziemi. Po kilku minutach pracy znajduje ciało w bardzo zaawansowanym stadium rozkładu.

Wymiotuje zaraz obok.

Jest mu słabo. Wypluwa tylko soki żołądkowe. Odchodzi na bok, wypłukuje usta wodą mineralną, po czym wlewa w siebie kilka łyków, by napełnić czymś wnętrzności.

Zaczyna dalej kopać.

Naraz zatrzymuje się, próbując powstrzymać dreszcze.

Zdaje sobie sprawę, że właśnie odkrył prawdziwą leśną nekropolię. Ma wrażenie, że z każdym ruchem szpadla ciał będzie więcej, coraz więcej grobów, coraz więcej istnień sprowadzonych do rozkładającej się w ziemi materii.

Wybiera numer do Marka, ale szybko orientuje się, że zostawił jego komórkę w swoim mieszkaniu.

– Cholera! – klnie do siebie, denerwując się, że Bogucki nie mógł sobie znaleźć lepszego czasu na zakrapiane imprezy.

Chce kopać dalej, ale jakiś wewnętrzny głos przestrzega go przed tym. Postanawia wrócić i sprowadzić na miejsce techników. To praca dla nich.

Jednocześnie nie chce przyznać się przed samym sobą do strachu, który go paraliżuje.

Lubosz boi się, że następny grób, który odkryje, należeć będzie do Sylwii.



Lubosz wraca do mieszkania. Nadszedł poranek. Przed budynkiem ośrodka pojawia się coraz więcej ludzi, personelu, nowych pacjentów. Arek mija ich w milczeniu i jak ćma do światła leci do siebie, wziąć prysznic i położyć się do łóżka.

Musi odpocząć, zdrzemnąć się choć na chwilę, by ruszyć całą machinę śledczą. Kilkakrotnie zerka na telefon, sprawdzając, czy przypadkiem outlander nie jest w ruchu. Chce przemyśleć następne kroki. W pierwszym momencie postanowił przekazać odkrycie ekipie dochodzeniowej, teraz wciąż jednak walczy z neodpartą pokusą, by samodzielnie doprowadzić sprawę do końca.

Tylko chwilę odpocznie. Dosłownie chwilę.

Kładzie się do łóżka, kiedy jego wzrok pada na telefon Marka pozostawiony na stoliku. Lubosz bierze go do ręki i odblokowuje. Tak naprawdę chce rzucić smartfon w kąt, górę biorą jednak nawyki, które wyniósł z pracy w wydziale kryminalnym. Zaczyna przeglądać zawartość karty pamięci i telefonu, SMS-y, ostatnie połączenia, zdjęcia.

Bardzo dokładnie przeczesuje całą galerię. Następnie otwiera menadżer plików i przełącza widok na kartę SD. Przetrząsa każdy folder. Pracuje uważnie, szybko, w skupieniu. Już ma odłożyć telefon i w końcu zasnąć, gdy znajduje coś, co łamie mu serce.

W jednym z folderów znajdują się zdjęcia Sylwii ułożone według daty utworzenia pliku. Widać dziewczynę leżącą w szpitalnym łóżku, kilka fotografii, następnie zdjęcia z wypadku samochodowego, a dalej...

Arek nie może uwierzyć w to, co widzi.

Zdjęcia córki w z urodzin. Z grilla. Ze spotkania ze znajomymi. Fotografie z drogi do szkoły lub przed samym wejściem do placówki. Wszystkie wykonane z ukrycia. Fotografie z grilla ze znajomymi. Było upalne lato. Sylwia krzątała się po ogrodzie, doglądając własnoręcznie zasadzonych roślin. Miała swój zakątek, w którym uczyła się uprawy pomidorów i owoców; obecnie zamieniony przez Ewelinę i Tenczyńskiego na skalniak. Ubrana była wtedy w bardzo kusą, zwiewną

sukienkę odsłaniającą wiele. Arek nie zwracał uwagi na ubiór córki, ponieważ znajdowała się w gronie znajomych. Do głowy by mu nie przyszło, że ktoś z nich może spojrzeć na jego córkę z pożądaniem. Właśnie takie zabarwienie emanowało z wykonanych fotografii. Lubosz nie dostrzegł, że jego córka zmieniała się w kobietę. Tak bardzo pochłonięty był wtedy sprawami zawodowymi. Następne spotkanie w ogrodzie. Kolejne zdjęcia z ukrycia, niektóre rozmazane. Inne bardzo wyraźne. Sylwia w obcisłych jeansowych spodenkach i bluzeczce na ramiączkach. Następne obrazy w katalogu to jej selfie pobrane z Facebooka i Instagrama. Arek już je widział, gdy ruszyło śledztwo, a konta zostały zablokowane. Pozostawiono tylko jedną z jej fotografii i adnotację, że trwają poszukiwania zaginionej dziewczyny oraz prośbę o kontakt w przypadku, gdy ktoś dysponuje dodatkowymi informacjami mogącymi pomóc w śledztwie. Kilku zdjęć jednak wcześniej nie widział. Domyśla się, że Sylwia sama je usunęła. Nie spodziewał się takich fotografii. Patrzy na nie, uświadamiając sobie, że to już nie dziecko, czy nawet nastolatka, lecz kobieta pełna wdzięku i dojrzałości. Dlaczego tego nie zauważał? Dlaczego nie rozmawiał z nią o zagrożeniach wchodzenia w dorosłość? Dziewczyna pozuje, prezentując kobiece kształty, odsłania dekolt, na jednym zdjęciu jest w samych spodniach, z górą całkowicie odkrytą, przysłania piersi dłońmi i uśmiecha się zawadiacko. Zdjęcie nie wygląda na wulgarne, bardziej na artystyczne, w tonacji sepii, dla Arka jednak i tak jest zbyt wyzywające, ponieważ nie umie spojrzeć na fotografię z potrzebnym dystansem.

Dalej następują zrzuty ekranu Instastories. Kilkadziesiąt zdjęć, na których Sylwia sprawia wrażenie smutnej, zdołowanej. Przeglądany materiał to przykład prawdziwego stalkingu.

Wtedy Arek przypomina sobie, jak bardzo Marek interesował się zdrowiem Sylwii, jak codziennie odwiedzał ją w szpitalu, a następnie przyniósł i założył jej kolczyki.

Arek odkrywa wszystko. Naraz każdy fakt, drobny szczegół trafia na właściwe miejsce i ukazuje mu potwornie bolesną prawdę. Kolejny raz dał się oszukać.

Przez wiele lat relacje z przyjacielem opierały się na jednym wielkim kłamstwie.

Lubosz czuje, jak jego świat wywraca się do góry nogami. Już wie, dlaczego w śledztwie w sprawie Sylwii panuje ciągły impas.

Główny śledczy nie może przecież grać do własnej bramki.

Ponownie odczuwa ogromne pokłady nienawiści. Jeszcze nigdy nie brzydził się tak mocno drugim człowiekiem. Nawet wtedy, gdy na dnie nieczynnego basenu okładał pięścią mężczyznę, którego śledczy mylnie wzięli za winnego porwania Sylwii.

W ośrodku dla policjantów, w którym znalazł się po próbie samobójczej, kiedy już chciał odpuścić, psychoterapeuta uczył go nazywania swoich emocji po to, by móc się z nimi lepiej konfrontować.

Dzięki przebytej terapii Lubosz potrafi nazwać dokładnie to, co teraz czuje.

Po prostu chce zabić Marka.

Lubosz zrywa się z łóżka. Jest godzina 17.00. Spał zdecydowanie za długo. Pierwszy raz od dawna nie śniło mu się nic.

W głowie kołaczą mu niespokojne myśli: odkryte groby, zdjęcia Sylwii, Bogucki.

Marek, który kłamał jak z nut w sprawie Sylwii. Cały czas... Już raz stracił zaufanie Arka za to, co zrobił wspólnie z Ewelina. Jego argumentacja, że chcieli dobrze, że zaginięcie dziewczyny to nieszczęśliwy wypadek, teraz nabiera nowego znaczenia. Lubosz nie ma pojęcia, w co gra Bogucki, ale już wie na pewno, że nie może mu wierzyć. Nieustannie odnosi wrażenie, że Marek ukrywa wiele faktów ze śledztwa, które nieprzypadkowo ciągle nie przynosi żadnych rezultatów.

Arek zaciska pięść i uderza z całej siły w poduszkę. Chce wykrzyczeć wszystkie emocje, ale wie, że to i tak nic nie da. Zapala papierosa, by się skupić.

Nie może powiadomić Boguckiego o swoim odkryciu.

Albo właśnie powinien to zrobić, by sprawdzić jego reakcję.

– Co za skurwieli... – mówi na głos, myśląc o zdjęciach swojej córki zapisanych na karcie pamięci telefonu Boguckiego.

Musi do niego pojechać. Pogadać. Tak w swoim stylu. Zdecydowanie.

Nie jest jednak pewien, czy Marek nie ma akurat służby.

Bogucki musi ostatecznie wyjawić całą prawdę, którą ukrywa w sprawie zaginięcia Sylwii.

Lubosz wybiera numer do Radkiewicza, który zawsze współpracuje z Boguckim.

– Słucham?

– Lubosz z tej strony. Powiedz mi, czy Marek ma dzisiaj wolne?

– No wolne mamy. Wpadniesz?

– Nie rozumiem.

– No wszyscy są na grillu u Holicy. Nie zapraszał cię?

Lubosz przypomina sobie o imprezie, o której mówił komisarz. Idealna okazja dla wszystkich, by się napić i przekonać Holicę, żeby w końcu wziął dupę w troki i poszedł na emeryturę. To również idealna okazja, by przycisnąć Boguckiego do

mur. Arek postanawia wpaść na chwilę i wywołać lekkie zamieszanie. A później wrócić na trasę wyznaczoną przez GPS. Prześledził bardzo dokładnie współrzędne i zanotował jeszcze jedną aktywność kierowcy outlandera, tuż przy lesie, jednak już w miejscu, gdzie teren otwiera się na pola uprawne i łąki.

Bierze od Radkiewicza adres Holicy.

Komisarz mieszka na Giszowcu, w domu z ogrodem.

To właśnie tam, otoczeni tujami, ukryci przed wzrokiem sąsiadów goście bawią się w najlepsze na imprezie pożegnalnej Holicy, która zapowiada odejście policjanta na emeryturę. Lubosz, zajeżdżając na chodnik, słyszy muzykę disco polo dobiegającą zza drzew.

Tym razem zachowa się inaczej. Powściągnie emocje. Podejdzie do tego na chłodno.

Otwiera zardzewiałą bramkę, mijają schodki prowadzące do drzwi wejściowych i od razu kieruje się do ogrodu, skąd rozbrzmiewają głośne śmiechy. Za domem przy ławach ustawionych w stronę altany siedzi około dwudziestu osób. Reszta mężczyzn i kilka kobiet kręci się po ogrodzie, rozmawiając. Marek trzyma w ręce piwo i stoi obok gospodarza, tuż przy rozgrzanym grillu. Holic ma na sobie jeansy, podróbki białych crocsów i różowe polo Lacoste, założone prawdopodobnie dla żartu, o który Lubosz nigdy by go nie podejrzewał.

– O, Arek. – Holic nie ukrywa zaskoczenia. – Co tutaj robisz? To znaczy dobrze, że jesteś! Siadaj, częstuj się, piweczko, drink, kiełbaska? Czym chata bogata. Aha, musimy później pogadać, Lubosz.

– Jasne – mówi na odczepne Arek.

Orientuje się, że mężczyźni są mocno zdziwieni jego wizytą. Marek, skacowany wczorajszą popijawą, jest teraz wyraźnie żywszy, ale wciąż bez przesadnego humoru.

– Nie sądziłem, że wpadniesz – mówi Bogucki, gdy Holic odchodzi z talerzem przypieczonych kiełbas z grilla i znika w drzwiach do domu. – Dzięki za wczoraj. Było grubo.

– Myślałem, że pracujesz.

– Człowiek musi się czasami zresetować.

– Tak dzień w dzień?

– I kto to mówi. – Uśmiecha się lekko. – Arek, wybacz, ale jesteś ostatnią osobą, która może mi dyktować, ile i jak często mogę pić.

– Mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

– O co ci chodzi?

– Chyba nie muszę przypominać.

– Wyluzuj, stary. – Bogucki kładzie mu rękę na ramieniu. Arek najchętniej chwyciłby ją i wykręcił tak mocno, aż wszystkie ścięgna puściłyby z trzaskiem. – Jesteśmy coraz bliżej. To ostatnie odkrycie, laboratorium, metody na pozbycie się ciała. Nie ma chuja, żebyśmy go zaraz nie dorwali. Czytałeś profil wiktymologiczny?

– Stek bzdur.

– Robimy nowy. Sprowadziłem profilerę. Już się tym zajmuje. Z tobą też będzie gadał, więc się nie zdziw i współpracuj grzecznie.

– Pogadajmy o najnowszych ustaleniach. Jaki jest status...

– Arek, wiem, ile cię to wszystko kosztuje. Ale uwierz mi, robimy, co tylko w naszej mocy. Nie gadajmy teraz o robocie. Weź piwko, odpręż się jeden wieczór. Chociaż na tyle, na ile potrafisz.

Lubosz spogląda na butelkę z piwem. Kusi mocno, gdyż na trzeźwo nie będzie w stanie przeżyć tej nocy. Ale powstrzymuje się. Ma jeszcze dużo do zrobienia. Odbiera jednak otwarte piwo, które Bogucki wpycha mu do ręki.

– Dzięki. Będę się zbierał.

– Ej, ej, ej. – Marek chwyta go znowu za ramię. – Siadaj, Arku.

– Wpadłem tylko na chwilę. Żeby oddać ci *to*.

Lubosz wyjmuje z kieszeni spodni telefon. Marek spogląda na niego wyraźnie zbity z tropu. O sekundę za długo przeciąga milczenie, po czym wręcz wpada w euforię.

– Już myślałem, że muszę kupić nowy! Dzięki, stary. Cały dzień go szukałem. Aż w końcu pogodziłem się z myślą, że gdzieś go wczoraj musiałem zgubić. Gdzie został?

– U mnie w aucie.

– Jestem twoim dłużnikiem.

Nawet nie wiesz, jak słono przyjdzie ci zapłacić za swój dług – mówi Lubosz do niego w duchu.

Arek kieruje się do wyjścia. Kilku znajomych z pracy woła do niego, ale ignoruje ich, nawet się nie odwracając.

Z satysfakcją zerka co chwilę na telefon, który daje mu stuprocentowe potwierdzenie, że człowiek odpowiedzialny za uprowadzenie Sylwii znajduje się w pobliżu. Samochód wciąż stoi nieruchomo na parkingu przy cmentarzu komunalnym.

Lubosz opuszcza posesję Holicy. Przyśpiesza, by nie spotkać komisarza. Pewnie znowu zacząłby wypytywać o Trewskiego, którego poszukiwaniami Lubosz wcale się nie zajmuje. Podchodzi do wystawionych do opróżnienia kubłów na śmieci, by wyrzucić otwartą butelkę Tyskiego. Pojemnik na odpady jest prawie pełny. Lubosz rzuca butelkę i szybko zamyka pokrywę. Po chwili jednak przystaje, odczuwając dziwne *déjà vu*. W koszu na śmieci dostrzega coś zastanawiającego.

Składa to jednak na karb przemęczenia organizmu.

Powinien więcej spać i odpocząć.

Tyle że nie ma na to czasu.

By odnaleźć Sylwię, mógłby już nigdy nie zmrużyć oka.

Nad polami przylegającymi do linii lasu zalega gęsta mgła. Powietrze przesycone jest wilgocią zbierającą się na twarzy Arka. Zapada zmierzch.

Lubosz przyjechał tą samą trasą, co ostatnio, kierując się w stronę odkrytych grobów. Natomiast zaparkował dalej, by ukryć samochód w gęstwinie. Następnie za cel obrał wskazania z GPS-u, które odnotowały aktywność kierowcy outlandera w jednym z punktów. Arek sprawdził wcześniej na mapie satelitarnej Google potencjalne miejsce, ale zdjęcie satelity pokazywało tylko korony drzew. Na maksymalnym zbliżeniu dojrzał jednak kontury prawdopodobnie dwóch budynków. To właśnie tam zamierza dotrzeć.

Obliczył, że droga na piechotę zajmie mu około godziny. Sporo czasu na przemyślenia.

Musi rozegrać wszystko z rozwagą. Nie działać pochopnie. Najlepiej przyłapać sprawcę na gorącym uczynku.

Sprawdził poczynania Marka z poprzedniego dnia. Podobno dołączył do pijących kolegów jako ostatni. Pił bardzo dużo i bardzo szybko. Wszystko zgadzałoby się z czasem, gdy kierowca outlandera pozostawił samochód na parkingu.

Wszystko zgadza się ze znalezionymi w telefonie Boguckiego zdjęciami Sylwii.

Wszystko zgadza się z bezskutecznie prowadzonym przez trzy lata śledztwem.

Wszystko zgadza się z idiotycznym pomysłem Marka i Eweliny, by wstrząsnąć Sylwią; wtedy jeszcze Bogucki potrafił się wybronić.

Wszystko zgadza się z faktem, że kolega Lubosza był ciągle blisko najważniejszych informacji i ustaleń policji.

Sylwia, kreśląc na ramie łożka symbol, musiała wiedzieć, że jeśli ktoś go kiedyś znajdzie, będzie potrafił odczytać wyryty znak. Lubosz długo zastanawiał się nad znaczeniem trzech linii, z których środkowa była dłuższa. Teraz już wie, co Sylwia chciała przekazać. Musiała znać tę osobę, wiedziała, czym się zajmuje. Marek – policjant. Trzy kreski to nowe logo Policji, widoczne również na odznace, którą wielokrotnie bawiła się, gdy była młodsza, najbardziej uwypuklone jednak



w ustandaryzowanym znaku graficznym złożonym z ośmiu bloków zawierających po trzy elementy.

Gdyby nie zidentyfikowanie sprawcy, nigdy nie odgadłby znaczenia znaku wyrytego w ramie szpitalnego łóżka.

Wreszcie najważniejszy argument – Machnacki wspominał, że w budynku administracji nieczynnego hotelu, gdzie znajdowało się laboratorium, znaleziono gotowe do aktywacji ładunki wybuchowe. Mężczyzna, który zginął podczas ucieczki fiatem ducato, musiał mieć za zadanie zdetonować bombę. Dlaczego tego nie zrobił? Ponieważ zobaczył na miejscu swojego szefa – Marka Boguckiego.

W co tak naprawdę wpakował się Marek? – zastanawia się Lubosz. Czy byłby w stanie zajmować się czymś tak nieprawdopodobnym jak działalność laboratorium? Co chciałby osiągnąć, prowadząc mnie w to miejsce? A może właśnie tam miałem zginąć? Czy niespodziewane wskoczenie do pojazdu uciekającego mężczyzny uratowało mi życie?

Porażony tą myślą Lubosz czuje zimny dreszcz na plecach.

Gdy dociera na miejsce, zapada zmrok.

Dostrzega stary dom, w zasadzie chatę wybudowaną kilkadziesiąt lat temu. Kamienna podmurówka, ściany z bali, które przybrały ciemny kolor, i dach pokryty eternitem. W jednym z niedużych okien pali się światło.

To właśnie tutaj kierowca outlandera zatrzymał się na kilka minut.

Lubosz uświadamia sobie, że nie chciałby mieszkać na takim odludziu. Wokół nie ma żadnego oświetlenia, panuje mrok. Przed domem wala się stary, drewniany płotek pozbawiony większości sztchet. Trawnik wygląda na niekoszony od lat. Tuż przed wejściem na ganek znajdujący się na podwyższeniu, do którego prowadzą betonowe schodki, wyrastają chwasty.

Arek postanawia obejść domostwo dokoła, by się rozejrzeć. Ma nadzieję, że nie natrafi na żadnego psa. Tuż za chatą dostrzega ceglana stodołę połączoną z drugim budynkiem, służącym prawdopodobnie za stajnię. Do jednej ze ścian dobudowano drewnianą budkę, z której dochodzi pojedyncze gdakanie; jest już wystarczająco późno, by wszystkie hodowlane zwierzęta mogły w końcu zasnąć.

Śledczy czuje podskórnie, że długo nie zmruży oka. I tak śpi niewiele, co raczej nie powinno się zmienić.

Lubosz rzuca blask latarki na przestrzeń między domem a budynkami gospodarczymi. W oddali samotnie stoi szklarnia. Jedna z szyb składających się na ścianę jest całkowicie rozbita, a ostatnie pozostałości po szkle tkwią tuż przy ramie tworzącej całą konstrukcję. Co mógł robić tutaj kierowca outlandera? Czy właśnie tutaj mieszka? Gdyby tak było, nie zostawiałby samochodu na parkingu w Katowicach. W najbliższej okolicy ani śladu po pojeździe. Jedynie miejsce, gdzie można byłoby ukryć samochód, stanowi stodoła zamknięta szerokimi i wysokimi skrzydłami drzwi. Arek dla pewności postanawia ją sprawdzić.

Podchodzi bliżej i zagląda w szpary między deskami, przyświecając sobie latarką. W środku znajduje się drewno, jakieś sprzęty gospodarcze, widły, kopaczki, łopaty, łańcuchy i sterty siana. Nie widać jednak samochodu.

Tylko mieszkaniec tego domu może być w stanie odpowiedzieć na pytania Lubosza.

Arek wchodzi na ganek i puka do drzwi. Wyobraża sobie, że gospodarz może się przestraszyć niezapowiedzianej nocnej wizyty. Uderza mocno pięścią o drzwi. Nikt jednak nie odpowiada.

Pociąga za klamkę. Drzwi skrzypią przeraźliwie. Wślizguje się do środka.

Uderza go zapach stęchlizny, starych mebli i kulek na mole. Ściany korytarza, w którym się znajduje, miały zdobić kolorowe tapety, które teraz są jednak wyblakłe i potargane. Z pokoju położonego dalej dobiega światło i dźwięk włączonego telewizora. Lubosz dostrzega drzemiącą w bujanym fotelu kobietę w podeszłym wieku, ubraną w gruby sweter i fartuch z głębokimi kieszeniami. Nie wie, jak ją obudzić; nie chce wystraszyć staruszki. Puka delikatnie o futrynę drzwi.

Kobieta zrywa się z fotela ze zwinnością, która nie idzie w parze z jej wiekiem.

– Czego tutaj?! – skrzeczy okropnie.

– Spokojnie, proszę pani. – Lubosz próbuje powiedzieć to najłagodniej jak tylko umie. – Jestem tutaj przypadkiem. Zabłądziłem. Naprawdę nie mam żadnych złych intencji.

– Pójdiesz mi zaraz stąd!

– Potrzebuję pomocy. Zapłacę. Mam pieniądze. Nic więcej od pani nie chcę.

Kobieta podchodzi bliżej. Dopiero teraz Lubosz dostrzega, jak bardzo jest stara i brzydka. Ma niezwykle długi, spiczasty i jednocześnie pękaty nos, zmierzwione siwe włosy i głębokie bruzdy na twarzy. Jej skóra przypomina porysowaną taflę lodowiska.

– Po policję zadzwonię! – nadal krzyczy.

Arek podnosi ręce w geście niewinności.

– Proszę pani, naprawdę zablądziłem. Chodzę tu często, ale za długo zostałem w lesie i straciłem orientację. Ale już zaraz sobie pójdę. – Cofa się w stronę korytarza. – Liczyłem, że kolega mnie podwiezie. Czasami tutaj bywa. Takim białym, dużym autem terenowym. Na pewno go pani kiedyś widziała.

Po tych słowach nastawienie kobiety się zmienia. Staruszka łagodnieje, choć wciąż uważnie przygląda się obcemu.

– Herbaty się napije? – pyta niespodziewanie.

Lubosz postanawia iść za ciosem. Może uda mu się wyciągnąć z niej coś więcej na temat kierowcy outlandera.

– Jeśli to nie kłopot.

– Jaki tam kłopot – odpowiada charkotliwie kobieta. – Zaczeka tu. – Wskazuje na pokój z telewizorem.

Zmiana w jej zachowaniu daje Arkowi do myślenia. Lubosz rozgląda się po wnętrzu. Na pierwszy rzut oka nie widać, by w tym domu mieszkał ktoś jeszcze.

Staruszka niesie herbatę w dzbanku. Idzie wolno i uważa, by nie rozlać napoju. Arek siada na kanapie okrytej wełnianym kocem. Kobieta zajmuje miejsce w fotelu.

– A pan stąd?

– Nie... z Mysłowic, ale lubię po tych lasach wędrować.

– To jak pan wyjdzie stąd w lewo i pójdzie przez pola, to pan do miasta dojdzie.

– Tak? – odpowiada teatralnie Arek. – To znowu jest nadzieja, że wrócę do domu.

Wymieniają jeszcze kilka zdań na temat lasu i pogody.

– A to auto pani widuje tutaj? Takie duże. Białe.

– Czasami coś przejedzie. Może to i o to chodzi. Takich jak pan błakających się nie brakuje.

– Bo kolega mówił mi, że w tych rejonach lubi po lesie sobie pojeździć i chyba mieszka gdzieś niedaleko. Tak mi się wydaje, ale nie wiem, gdzie dokładnie.

– Nie potwierdzam i nie zaprzeczam. – Gospodyni rechoce, po czym zaczyna nieprzerwanie kaszleć.

– Wszystko w porządku? – pyta po dłuższej chwili Lubosz.

Kobieta macha tylko ręką, by zignorować jej reakcję organizmu. Przełyka flegmę, a resztki śliny, które wydostały się na jej brodę, obciera rękawem swetra. Następnie nie reaguje na obecność Lubosza, tylko wgapia się tępo w telewizor.

Arek postanawia opuścić dom. Nic więcej się nie dowie od tej staruszki, ale już postanawia, że trzeba będzie obserwować to gospodarstwo. Ona coś ukrywa – stwierdza w duchu, po czym dziękuje za herbatę, której prawie w ogóle nie wypił.

Odwraca się i kieruje do wyjścia.

Nagle coś małego na półce meblościanki przykuwa jego uwagę.

Aż mu zapiera dech w piersiach, a przed oczami ciemnieje.

Nie zwracając uwagi na staruszkę, podnosi przedmiot.

Spięte razem, dwa kolczyki z beżowymi kulkami.

Biżuteria, którą już kiedyś widział.

Kolczyki wykonane z kości Sylwii.

– Skąd pani to ma...

Lecz w momencie, gdy odwraca się i zadaje pytanie, kobieta jest tuż przy nim.

Lubosz czuje zimne ukłucie w okolicach nerek.

Widzi jedynie wykrzywioną okropnym grymasem, brzydką twarz staruchy.

Potem traci przytomność.

Gdyby tylko mógł sprawdzić telefon, zobaczyłby, że GPS w mitsubishi znowu stał się aktywny i wskazuje na zbliżający się samochód.

## 23

Coś potwornie śmierdzi. Lubosz czuje odór odchodów, moczu i czegoś jeszcze, jakby zapachu siana, słomy. To wywołuje w nim obraz wspomnień z wakacji, gdy przyjeżdżał do dziadków mieszkających na wsi i bawił się w chowanego na skoszonej łące z kopkami suszonej trawy.

Nie widzi nic, tylko gęsty mrok. Do pomieszczenia, w którym się znajduje, wpada jedynie drobny promyk światła, tak nikły, jakby zaraz miał zgasnąć.

Ale Lubosz czuje ukojenie. Chłodne ręce przesuwają się po jego głowie. Smukłe palce masują skroń, obcierają pot z czoła. Ktoś przytula się mocno do niego i szepcze coraz głośniejsza słowa:

– Tato... tato...

Arek próbuje sobie przypomnieć ostatnie chwile. Pamięta ból od wbijanej w ciało igły i jeszcze mocniejsze odczucie, gdy starucha nacisnęła gwałtownie na tłok strzykawki, wprowadzając mu do organizmu jakąś truciznę, która zwała go z nóg. Substancja ta wciąż wywołuje halucynacje. Lubosz ma wrażenie, że słyszy Sylwię, że na skórze czuje dotyk jej dłoni.

Obrazy przelatują mu w głowie. Wyobrażenia przedstawia realistyczne, mocne sny. Widzi Marka, który wraz z Oprakiem piją kieliszek za kieliszkiem. Lubosz stoi obok nich, ale mężczyźni go ignorują. Są zajęci sobą, piciem i graniem w karty. Po chwili zapraszają kolejnych gości. Do stolika siadają: Rafał Wawrasz, Mateusz Kmita, detektyw Krótkowski. Trewski z kolei przechodzi obok Lubosza i trąca go w ramię, po czym kieruje się w stronę toalety. Barman, właściciel pubu, w którym Bogucki i Arek wielokrotnie spędzali noc, przygotowuje posiłki. Na talerzach układa różnego rodzaju grzyby, które posypuje z wysoka solą, niczym mistrz przyrządzania steków Salt Bae. Przez moment zamiast barmana Lubosz widzi właśnie tego tureckiego rzeźnika i właściciela sieci restauracji Nusreta Gökçe, mężczyznę o długich włosach spiętych w kite, w charakterystycznych, ciemnych, okrągłych okularach. Sen zaraz zlewa się jednak z kolejną warstwą, widokiem stolika, przy którym wiele osób gra w karty, a wokół krążą psy. Na jego blacie

stepuje Sylwia. Ma na sobie ciężkie, podkute buty. Ten głośny dźwięk sprawia, że Lubosz wybudza się z koszmaru.

Czuje suchość w ustach. Wciąż widzi ciemność i lekki snop światła przedzierający się między listwami prawdopodobnie drzwiczek pomieszczenia, w którym się znajduje. Próbuje przekręcić się na bok. Wciąż ma wrażenie, że ktoś dotyka jego twarzy. Słyszy niewyraźnie:

– Obudź się, proszę.

Szerzej otwiera oczy. Źrenice próbują akomodować się do jaśniejszych barw. I wtedy, pomimo bólu i potwornego zmęczenia, które ogrania całe ciało, wie, że to jeden z najpiękniejszych momentów w jego życiu.

– Sylwia... Boże... Dziecko. Tyle lat...

Padają sobie w ramiona. Tulą się mocno, najbliżsi, jedyni na całym świecie. Lubosz wyczuwa, jak bardzo wychudzona jest Sylwia. Przesuwa dłońmi po jej plecach, żebrach; sama skóra i kości, ale teraz o tym nie myśli. Jeszcze mocniej wtula się w nią, wdycha zapach jej włosów, wymieszany z potem, brudem miejsca, gdzie spędziła ostatnie dni, ale mimo to wyczuwa zapach swojej ukochanej córki.

– Przepraszam cię za wszystko – mówi i zaczyna szlochać.

– Musimy się stąd wydostać, tato – podkreśla Sylwia, a jej słowa brzmią dla Arka obco, nienaturalnie, ale jakże pięknie.

– Nie mogę się ruszyć – oświadcza, uświadamiając sobie, że pomimo woli, nie potrafi wstać z klepiska. Orientuje się, że tkwią zamknięci w ciasnym, niskim chlewie.

– Musimy uciekać. To policjant, tato. – Sylwia znowu wpada w ramiona Arka, zaczyna się trząść i wybucha płaczem, który próbuje stłumić.

– Wiem, kochanie. Jesteś bardzo dzielna. Wyjdziemy z tego.

Wierzy w to mocno, jak nigdy przedtem.

## 24

Lubosz nasłuchuje. Nie ma przy sobie telefonu ani żadnego innego przedmiotu. Czy starucha miałaby tyle sił, by zaciągnąć mnie w to miejsce? – zastanawia się, szczerze wątpiąc. Nie ma pojęcia, która jest godzina ani ile spał. Może tylko przypuszczać, że znajduje się w stajni sąsiadującej ze stodołą, którą obserwował, zanim wszedł do domu.

Odzyskuje czucie w nogach. Po jeszcze jednej utracie przytomności wraca do świata żywych.

– Czy dostawałaś jeść?

– Ta stara kobieta czasami przynosiła mi chleb. To jego matka.

Arek widzi drzwiczki komórki ze szczelinami, przez które można przełożyć ręce.

– To nasza jedyna szansa – ocenia.

Wkłada dłoń między szczeble i wyczuwa, że drzwi są wzmocnione metalową kratą. Stara się odszukać rygiel, ale nie sięga. Sylwia również próbuje, opuszkami palców dotyka nawet zamknięcia, ale nic więcej nie jest w stanie zrobić. Arek usiłuje sforsować drzwiczki innym sposobem. Leży na plecach i napiera nogami na szczeble, które wyginają się lekko pod ciężarem. Słychać trzask drewna. Konstrukcja pozostaje jednak na swoim miejscu. Nawet jeśli udałoby się ją naruszyć, pozostanie dodatkowe zamknięcie w postaci metalowych prętów.

– Cholera – sapie ze zmęczenia Lubosz.

Wtedy drzwi do stajni się otwierają.

Oślepia ich mocne światło.

Coś sunie po ubitej podłodze. Arek szybko orientuje się, że to starucha kroczy po klepisku, prawie w ogóle nie podnosząc nóg. Przez szparę pod spodem drzwiczek przesuwa ubity talerz z kromką chleba. Gdy tylko jej zgrabiałe palce znajdują się za linią drzwi, Arek dopada do jej ręki, chwytając ją jak w kleszcze.

Starucha wyje z bólu.

Rozlega się chrupot kości.

Lubosz, ciągnąc za jej palce, ma wrażenie, że wszystkie wypadły ze stawów i wiszą jedynie na skórze.

Kobieta piszczy przeraźliwie. Nie ma sił, by wydostać się z chwytu. Pada na ziemię, przez co Arkowi udaje się przeciągnąć do środka jej rękę aż po łokieć.

Sylwia również piszczy z przerażenia.

Kobieta ma twarz tuż przy drewnianej kracie. Zaczyna charczeć i pluć na Lubosza, który coraz silniej pociąga jej rękę i czuje, jak chuda kość wyskakuje ze stawu łokciowego.

Wstrząsający krzyk wypełnia całą przestrzeń. Kobieta mimowolnie się poddaje. Leży i zawodzi, nie wykonując już żadnych ruchów w swoją stronę.

Arek słyszy kolejne kroki.

– Kurwa! – przeklina ktoś przeciągle. – Mówiłem, by nie dawać im jeść! – krzyczy, a Arek rozpoznaje ten głos.

Między szczęblami, tuż za kobietą ktoś kuca. Lubosz nie jest w stanie dostrzec twarzy, która znajduje się powyżej futryny. Widzi tylko jeden szczegół, który odbiera mu dech w piersiach. Już niczego nie rozumie.

Albo ma najmocniejsze w życiu uczucie *déjà vu*.

Różowa koszulka.

Zaraz jednak mężczyzna znika, gdy z zewnątrz dochodzi jakiś hałas.

Słysząc krzyki.

Wystrzał z broni.

Lubosz doskonale rozpoznaje ten dźwięk.

To policyjny strzał ostrzegawczy.

Później hałasy się nasilają. Rozbrzmiewa coraz więcej głosów zmieszanych z syrenami policyjnymi.

– Tutaj! Pomocy! – woła Lubosz.

Sylwia dołącza się do niego.

– Jesteśmy tutaj! – wtóruje.

Policjanci dostają się do stajni.

Próbują skuć leżącą na ziemi staruchę, lecz Arek wciąż trzyma jej rękę.

– Jesteście bezpieczni! – woła funkcjonariusz. – Możesz puścić.



– Puść ją. Mamy ich – dodaje drugi, zwracając się do Lubosza.

Ten jednak cały drży i wciąż ciągnie kobietę za rękę, jakby to stanowiło gwarancję, że wreszcie wszystko się skończy.

Aż ostatecznie luzuje chwyt i puszcza.

Naraz czuje potężną ulgę.

Chuda ręka staruchy znika, a wraz z nią zdaje się odpływać całe zło.

## 25

– Arek! – woła Bogucki. – Zabierz Sylwię do karetki!

Lubosz prowadzi córkę pod ramię. Wokół domu jest pełno radiowozów oświetlających noc włączonymi kogutami. Funkcjonariusze przeczesują posesję.

– Jak się tutaj znaleźliście?

– Mówiłem ci, że śledztwo przybrało na sile. Cały ten grill to była jedna wielka mistyfikacja. Chłopaki napierały na Holicę, wyłącznie po to, by móc dokładnie przetrząsnąć jego dom. Oczywiście tylko operacyjni, reszta nic nie wiedziała. Gdy cię zobaczyłem na grillu, z tym szaleństwem w oczach, już się bałem, że wszystko zepsujesz.

Arek przekazuje Sylwię ratownikom medycznym. Całuje ją w czoło i mocno przytula, po czym dodaje:

– Zaraz do ciebie wrócę. Panowie sprawdzą, czy wszystko w porządku, a później pojedziemy na dokładniejsze badania.

Sylwia podaje ręce ratownikom, którzy pomagają jej przejść do karetki.

Marek tłumaczy:

– Podłożyliśmy mu GPS do samochodu, ale okazało się, że używa drugiego auta. Dlatego go zgubiliśmy. Ale namierzaliśmy też jego telefon. Doprowadził nas tutaj.

– Kiedy zaczęliście go podejrzewać?

– Za bardzo interesował się tą sprawą. To on wykonał raport, podrobił podpis profiler'a i podmienił dokumenty. Nie pytaj mnie, jak to mogło przejść... Stąd te totalne bzdury, które nie mogły naprowadzić śledczych na właściwy trop. Mataczył w sprawie. Moi ludzie zaczęli mi zgłaszać, że Holica wypytuje ich o przebieg śledztwa, ustalenia, następne kroki. Czuł się po prostu zbyt pewnie. Zaczęliśmy się mu przyglądać, sądząc, że ukrywa coś istotnego w tej sprawie lub zna kogoś zamieszanego w nią. Być może sprzedaje informacje. Rozpoczęliśmy czynności operacyjne pod tym kątem. Uwierz mi, że w momencie, gdy zaczęliśmy dodawać dwa do dwóch i wszystko składało się w spójną całość, byliśmy w prawdziwym szoku. Przeprowadziliśmy na Kabiorze badania wariografem. Gdy wyszło, że to Holica zlecił mu morderstwo Opraka, nie potrzebowaliśmy wskazań maszyny.

Jego twarz mówiła wiele. Naprawdę boi się konsekwencji. Chyba rozumiesz, dlaczego utrzymywałem wyniki śledztwa w tajemnicy. Gdybyś się dowiedział, że to Holica stoi za wszystkim, rozszarpałbyś go na strzępy, prawda?

Luboszowi brakuje słów. Nie wie, co powiedzieć. Wciąż nie może uwierzyć, że komisarz, który tyle lat spędził na służbie, był zdolny do takich okropieństw. Jak się jednak okazuje, Lubosz i wszyscy inni funkcjonariusze policji kompletnie nie znali tego człowieka.

Lubosz przedstawia Boguckiemu współrzędne geograficzne grobów odkrytych w lesie. Tym razem Marek jest zaskoczony.

– Dobra robota! Zakładaliśmy, że ciała znajdziemy zakopane za domem lub tutaj w najbliższej okolicy.

Ratownik medyczny macha do Lubosza, dając znak, że muszą już jechać. Śledczy rusza do karetki.

– Arek!

Lubosz się odwraca.

– Widziałeś zdjęcia?

Milczenie.

– Wytłumaczę ci to. Stary...

Arek jednak nadal nie porusza tego tematu. Wsiada do karetki, w której znajduje się już Sylwia. W tym momencie chce być jedynie aniołem stróżem i stać nieustannie obok swojej córki.

Holica wystraszył się konsekwencji. Zmienił swój plan, próbując uniknąć zatrzymania, jednak wciąż przyświecała mu myśl, że całym jego życiem rządził przypadek. Jeśli skrzętnie skrywane tajemnice wyjdą na jaw, będzie współpracował z policją, stanie się sławny, kolejki dziennikarzy śledczych będą oblegać dyżurnych więzienia, próbując umówić się na widzenie. Nie zapisał się w całej karierze żadnym spektakularnym zakończeniem śledztwa. Wie jednak, że jego historia, sposób działania, to, że tyle lat kamuflował się pod płaszczkiem organów policji, niekonwencjonalne metody oraz idea, którą pielęgnował w okrutny sposób, trafią do podręczników kryminalistyki. Kiedy o tym rozmyślał, napawał się dumą. Jeszcze na wolności, jak dowiedzieli się śledczy, długo studiował zachowania i historię zamachowca z wyspy Utøya, Andersa Behringa Breivika, widząc w nim wzór opanowania, konsekwentnego dążenia do celu i niezmiernej odwagi w głoszeniu własnej ideologii.

W domu matki Holicy detektywi znaleźli maszynopis zatytułowany *Manifest post-eko-mortem*. Na trzydziestu kilku stronach, wielokrotnie podkreślonych czerwonym długopisem, mężczyzna zawarł własną ideologię związaną z ukaraniem ludzi słabych, którzy pragną śmierci, poprzez pozbawienie ich nadziei na „życie wieczne” rozumiane w kategoriach religii chrześcijańskiej, poprzez wieczne trwanie w naturze jako materia. Chciał wymazać ich z pamięci innych, by nie zasługiwali na wspomnienia bliskich, a jednocześnie wciąż „trwali”. Opisywał doświadczenia biologiczne prowadzone na grzybni, rozsiew zarodników, tworzenie całunów i „kombinezonów śmierci”. Psychiatrzy badali manifest pod kątem zdiagnozowania schizofrenii paranoidalnej. Holica podczas wizyty u matki zamykał się na strychu i przy małym biurku zapisywał na elektrycznej maszynie do pisania marki Optima kolejne strony manifestu. Na podłodze leżało pełno zgniecionych w kulki kartek papieru. Strony, z których był zadowolony, odkładał do pudełka po butach. Następnie chował je do szafy. Ciągle jednak maniackalnie kreślił po gotowym tekście, nanosił poprawki lub przepisywał wszystko od nowa.

Psychiatrzy postawili diagnozę narcystycznego zaburzenia osobowości. Holica potrafił funkcjonować w społeczeństwie, wykonywać specyficzny zawód, który traktował jako azyl dla swojej drugiej, mrocznej strony. Podczas pracy wielokrotnie bywał na miejscach zbrodni, obserwował rozkład ciał. Zdarzenia z przeszłości stały się podstawą jego pragnień. Zapalnikiem stało się również odkrycie kilka lat wcześniej zwłok w skrajnej fazie rozkładu, które znajdowały się w lesie, w specyficznym miejscu, gdzie warunki atmosferyczne i terenowe sprzyjały rozwojowi grzybów. Holica przechowywał zdjęcia z tych oględzin. Był zafascynowany tym, jak natura sama zajęła się martwym ciałem.

Ta sprawa wstrząsnęła nie tylko opinią publiczną, ale przede wszystkim całym środowiskiem policji. Ludzie, którzy współpracowali z Holicą, dopiero po ujawnieniu jego prawdziwej natury przypominali sobie zachowania, które w pewnych okolicznościach wydały im się naprawdę dziwne. Jeden z szeregowych policjantów opowiadał, jak pewnego razu Holica pojawił się na oględzinach, gdzie wszystkie ślady i okoliczności sugerowały samobójstwo. Zachowanie śledczego było niedopuszczalne, ale policjant uznał, że po prostu ma do czynienia ze specyficznym, charakternym komisarzem. Holica miał wtedy potwornie bluzgać na głos: „Pierdolony wisielec. Co, kurwa, najlepiej się poddać, tak? Narobić syfu, żeby ktoś musiał posprzątać. Ja, kurwa, nienawidzę tych tchórzy”. Inni świadkowie przy kolejnych tego typu wydarzeniach potwierdzali ogromne wzburzenie komisarza, jakby wtedy nie potrafił się opanować, zachować spokoju, z którego znany był przy wykonywaniu codziennych obowiązków zawodowych.

Podczas wieloletniej służby w policji Holica wypracował sobie sieć wzajemnych powiązań czy zależności. Każdego znajomego traktował instrumentalnie; wchodził w relacje wyłącznie z osobami, z którymi znajomość mogła w jakiś sposób mu się przydać. Słowa Boguckiego, według którego Holica na wielu ma haka, okazały się prawdą. Ludzie jednak potrafili z nim współpracować, ponieważ w wielu sprawach umiał się odwdzięczyć. Miał dobre układy z górą, dlatego młodszy stażem i stopniem zachowywali się nieraz jak chłopcy na posyłki. Nikt nigdy nie odkrył prawdziwych intencji komisarza.

Holica przedłużał odejście na emeryturę tylko po to, by mieć łatwy dostęp do wyników śledztwa, zasięgać informacji i manipulować. Gdyby nie spanikował i nie zaczął pozbywać się świadków swoich poczynań, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Za blisko dopuścił do siebie Opraka, który zapragnął zbyt dużej władzy

w całym przedsięwzięciu, a tak naprawdę chodziło mu tylko o osobistą zemstę na Luboszu. Tatuaze dźwiękowe były jego pomysłem. Chciał nastraszyć Lubosza i prowadzić z nim grę. Holica przystał na ten pomysł, ponieważ odciągał uwagę śledczych od sedna sprawy. Gdy zdarzył się wypadek, Sylwia, Wawrasz oraz Kmita jechali na egzekucję, czego nie mogli wiedzieć. Pracujący dla Holicy mężczyzna, którego tożsamości nigdy nie ustalono, zachował zimną krew i skorzystał z przebrania, kamuflażu księdza, którego używał, by zachować anonimowość w każdej sytuacji.

Z dnia na dzień jednak coraz trudniej było ufać Oprakowi, który po wielu latach za kratkami zmienił się na gorsze, stał się gwałtowny i całkowicie nieprzewidywalny. Dlatego Holica postanowił go usunąć. W tym celu wynajął Wariata, na którego również miał wiele haków. Pod groźbą ujawnienia niewygodnych faktów z życia, Kabior przyjął zlecenie na zabójstwo Opraka. Widział w tym szansę na uzyskanie szczególnego statusu w zakładzie karnym, jeśli ostatecznie miałyby tam trafić. Gdy odkrył, czym tak naprawdę zajmuje się Holica, komisarz zaczął mu grozić. Wtedy poczuł się zagrożony na serio. A gdy zorientował się, że Holica po prostu usuwa ze swojej drogi każde ogniwo, przez które mógłby wpaść w ręce policji, ogarnął go lęk. Kabior uznał, że jedynie za kratkami znowu poczuje się bezpiecznie, tym bardziej że jego powrót do normalności był fikcją. Narobił długów u zbyt wielu nieciekawych ludzi, które miał nadzieję spłacić zabiciem byłego „psa”.

Lubosz zerwał wszelkie kontakty z Boguckim. Marek próbował wytłumaczyć się ze zdjęć. Odparł wprost, że któregoś dnia, gdy patrzył na prawie dorosłą już Sylwię, po prostu się nią zauroczył. Działała na niego jak magnes, chociaż wiedział, że taki związek nie miałby nigdy racji bytu. Przekonywał, że był nią zafascynowany. Zależało mu na niej, dlatego zgodził się pomóc Ewelinie. Arek nie chciał go słuchać. Zapowiedział koledze, że ma się nigdy nie zbliżać do Sylwii. Tym samym uznał ich znajomość za zakończoną.

W kuble na śmieci tuż przed domem Holicy Lubosz dostrzegł skłębione ochraniacze na buty, takie, jakie zakłada się w szpitalu. To był błysk, chwilowe *déjà vu*. Identyczne ochraniacze widział i stosował wielokrotnie, gdy odwiedzał córkę podłączoną do kroplówki. Właśnie te foliowe woreczki nałożone na buty dostrzegł także, leżąc pod samochodem, gdy Holica pojawił się w budynku administracyjnym przynależącym do nieczynnego hotelu. W tamtym momencie,

opuszczając dom komisarza, nie mógł jednak połączyć faktów, ponieważ pod autem zobaczył jedynie materiał i kształt, ale było tam zbyt ciemno, by rozpoznać również kolor. Z kolei w koszu na śmieci ochraniacze były zgniecione w kulkę, co utrudniało skojarzenie ich z foliowymi woreczkami, które wcześniej nosił komisarz.

Holica podczas przesłuchań wciąż przyznawał, że nie planował porwania córki Lubosza. To wyszło tylko przypadkiem, tak jak wiele wydarzeń kształtujących jego życie.

Deszcz bębni jak oszalały o asfalt, o dachy samochodów i budynków, o liście drzew. Wybija takt w rytm kolejnych grzmotów, niebo jest pochmurne, prawie fioletowe, ale ta sceneria nie przygnębia Lubosza; to nie marsz żałobny.

Arek wyskakuje z samochodu. Strugi deszczu momentalnie moczą mu włosy i ubranie, zlewają się za kołnierz kurtki. Nie przejmuje się tym. Dla niego ten dzień jest jak chrzest. Jakby ktoś wyciągnął go z mrocznych głębin i zanurzył ponownie, ale tym razem już w czystej, krystalicznej wodzie.

Znajduje się na chodniku przed bramą główną domu seniora. Najwyższy czas, żeby się stąd wyprowadzić. Opuścić miejsce, które było jego domem w najgorszym okresie jego życia. Postanowił, że odejdzie z policji. Nie ma już tam czego szukać. Znajdzie jakieś zajęcie. Może robić wszystko. Zacznie w magazynie lub na produkcji, nieważne gdzie, co i jak. Powtarzalność dnia przyniesie mu spokój.

Rozlega się uderzenie pioruna. Arek spogląda w niebo. Siatka wyładowań elektrycznych przypomina wielką grzybnię z rozpościerającymi się wrzecionami.

Stara się nie myśleć o Holicy. Nie analizować, co ten chory umysł planował przez lata. Co dokładnie miało stać się z Sylwią, z nim i z innymi ofiarami tego psychopaty.

Idzie spokojnie przez rozszalałą burzę. Po prawej stronie alejki w altanie stoi Dionizy. Pali papierosa. Podnosi rękę na powitanie. Arek przyśpiesza i wskakuje pod zadaszenie.

– Co pan tu robi, panie Dionizy? W taką ulewę?

– A palę sobie papieroska.

– Tak oficjalnie? Bez przyczajki?

– Czego? Aaa, no załatwiłem sobie paczkę. – Podnosi głos. – Nie będę ciągle sępił od pana.

– Ale co powiedzą pielęgniarki?

– Mam marlboro setki. Kompana właśnie szukam. Tutaj jest konkretny. – Uśmiecha się szeroko, podsuwając paczkę.



Arek wyjmując papierosa i zapala, zaciągając się z ochotą.

– Panie Dionizy. Odnalazła się.

– Pana córka?!

– Tak. Znaleźliśmy ją. Dużo przeżyła, ale teraz już wszystko będzie dobrze. Musi być!

Dionizy jest niezwykle podekscytowany. Wypytuje o szczegóły ostatnich wydarzeń. Autentycznie cieszy się ze szczęścia Arka.

– Cały czas panu kibicowałem – zapewnia.

– Wiem. Będę leciał. Pan niech też wraca, bo za chwilę alarm zrobią, że to pan zaginął.

– Dzisiaj mogę świętować! Niechże mnie pan wieczorem odwiedzi, da się załatwić, to sobie jeszcze jednego skurzymy i napijemy się. Na specjalną okazję mam coś dobrego schowane tak, by nikt nie znalazł.

– Zaskakuje mnie pan coraz bardziej. Nie obiecuję, bo padam na twarz.

– A, faktycznie zapomniałem... – Dionizy robi zamyśloną minę. – Ma pan gościa.

Lubosz odchodzi zdziwiony i kieruje się do swojego mieszkania, przez którego okienka nie wydobywa się żadne światło. Nie ma pojęcia, czego się spodziewać. Gość do mnie? O czym on bredzi? – myśli w pierwszej chwili o słowach Dionizego. Szybko jednak przypomina sobie, że tylko jedna osoba wciąż ma klucze do jego mieszkania.

Niepewnie otwiera drzwi.

Widzi ją stojącą w salonie. Czarne vansy, wąskie spodnie i bufiasta bluza z założonym kapturem, spod którego wylaniają się jasne włosy. Twarz tonie w panującym w pokoju półmroku.

Arek nie wie, jak się zachować. Po co przyszła? Z jednej strony czuje do Marceli abominację, z drugiej chciałby ją przytulić, ale wie, że ta krótka chwila zauroczenia dawno minęła. Nie ma już czasu i energii, żeby bawić się w szczeniackie związki, bo nagłe zniknięcie dziennikarki traktuje jak kaprys niedojrzałej emocjonalnie dziewczyny, która nie za bardzo potrafi nazwać swoje uczucia.

– Cześć, Marcela – mówi w końcu.

– Przyniosłam klucze.

– To połóż je na blacie.

– Ale jesteś dupkiem, wiesz?

– Po co przyszedłeś? Tyle się wydarzyło w ostatnich dniach. Nie licz jednak na jakiegokolwiek informację. Bo pewnie po to tutaj jesteś? Chcę po prostu spokoju.

– Słyszałam, że Sylwia jest cała i zdrowa. Gratulacje – dodaje dziennikarka bez żadnych emocji.

– Przypomniałaś sobie, że miałaś zrobić materiał? Zapomnij.

– Arek, ty naprawdę jesteś złym człowiekiem. – Marcelina zdejmuje kaptur i siada na łóżku.

– Myślałaś, że przyjmę cię z otwartymi ramionami? Najpierw się angażujesz, pomagasz, ale nagle znikasz bez wyjaśnienia, żywisz jakąś nieuzasadnioną urazę. Co ci nagadała Iga? Że wyspałem Opraka, tak? Ona wie tyle, co przeczytała w aktach sprawy. Nie ma pojęcia o wielu rzeczach. Ale bardzo łatwo udaje się jej tobą manipulować.

– Nie musiała mi o niczym mówić.

– Więc o co ci chodzi tak naprawdę? Gdzie byłaś przez ten cały czas?

– Zajmowałam się mamą. Zmarła.

Lubosz czuje się tak, jakby go ktoś spoliczkował. Naraz wszystko rozumie: nieodebrane telefony, brak kontaktu, nagłe zniknięcie, zmianę nastroju i brak ochoty na rozmowę. Jest mu głupio, gdyż skupił się z naturalnych przyczyn tylko na swoich problemach, nie zauważył dramatu, jaki rozgrywał się w życiu rodzinnym Marceli.

– Bardzo mi przykro. Wybacz. Gdybym wiedział...

– Nie o to chodzi... Arek, co ty z sobą zrobiłeś? – Wgapia się w Lubosza opętańczym wzrokiem.

Dopiero teraz Arek zauważa, z jaką odrazą spogląda na niego Marcelina.

– Marcela, co się dzieje?

– Wiem, dlaczego nic nie zrobiłeś w sprawie odszukania Trewskiego.

Lubosz traci grunt pod nogami. To nazwisko, które nieoczekiwanie pada z ust Marceli, sprawia, że zimny dreszcz przechodzi mu po plecach. Już wie, że Marcela zna całą prawdę.

– Zabiłeś go.

Te słowa są jak zimne ostrze wbite w nerw. Paraliżują.

– Jesteś mordercą.

Arek milczy.

– To, że ten człowiek w tak okropny sposób uprawiał seks z twoją córką, nie uprawniało cię do takiego czynu. Tego, co zrobiłeś, nic nie usprawiedliwia.

– Co zamierzasz?

– Nie wiem... – Marcela chowa twarz w dłoniach. – Naprawdę nie wiem. Nie mogę w to uwierzyć.

Arek zaczyna nerwowo krążyć po pokoju. Wyjmuje i zapala papierosa tak szybko, jakby ćwiczył to całe życie.

– Nie rób głupstw, Marcela. Wymaż to wszystko, rozumiesz? Sylwia się odnalazła i tylko to się liczy. To o nią walczyłem.

– Ale dlaczego w taki sposób?

Nagle Lubosz podchodzi do Marceli i chwyta ją za rękę, mówiąc:

– Uwierz mi, że ten skurwiol na to zasługiwał. Zrobiłbym to jeszcze raz. Nikt nie ma prawa krzywdzić mojej rodziny.

W głowie wciąż dźwięczą mu słowa: „Jesteś taki sam jak Holic”. On musiał o wszystkim wiedzieć – myśli. Dlatego specjalnie przydzielił mu do tej sprawy. Arek ostatni raz zobaczył Holicę siedzącego w radiowozie. Policjanci nie chcieli dopuścić Lubosza do zatrzymanego. Mógł jedynie patrzeć na niego z daleka. Wtedy Holic delikatnie się uśmiechnął i mrugnął do niego okiem. Gdyby chciał, mógłby pograć z Luboszem. A jednak tego nie zrobił. Zarzekał się, że wszystko wymknęło mu się spod kontroli, że na Sylwię trafił przypadkiem, a potem już poszła cała lawina, bez odwrotu.

Może faktycznie niczym nie różni się od Holicy.

I może właśnie dlatego Holic milczeniem będzie chciał odkupić swoją winę. Arek wysnuwa jednak inną teorię na temat planów przestępcy, równie okropną. Holic trzyma język za zębami tylko po to, żeby nigdy nie zaznał spokoju – rozważa. On wie, że nawet jeśli odbuduje swoje życie, będzie się bał po raz kolejny utraty szczęścia. I wtedy uderzy ponownie.

Lubosz ma łzy w oczach, Marcela również.

– I jak ci się z tym żyje? – pyta.

Arek potrafi tylko odpowiedzieć łamiącym się głosem:

– A jak myślisz?

Krajobraz za szybą samochodu znika szybko. Arek i tak nie zwraca uwagi na elementy przyrody. Nie może też skupić się na drodze, ponieważ cały czas zerka na siedzącą na fotelu pasażera Sylwię. Jeszcze parę miesięcy wcześniej stracił wszelką nadzieję na podobny widok.

Podziwia swoją córkę. Jest piękna, smukła, elegancka. Wyraźnie zarysowane kości policzkowe nadają jej powagi. Ubrania, które ma na sobie, nie podkreślają jednak jej kobiecości, są za duże, a drobne ciało po prostu się w nich gubi. U Sylwii zdiagnozowano anoreksję. Podwaliny choroby stanowiły nie psychika, lecz czynniki zewnętrzne. Po prostu była głodzona, a wydarzenia ostatnich lat skutecznie odbierały jej apetyt. Arek już porozumiał się z odpowiednimi ludźmi i załatwiał córce terapię oraz odpowiednie leczenie. Pomoże jej wyjść ze wszystkich traum, chociaż wie, że sam potrzebuje wsparcia.

– Dziękuję, tato. – Sylwia niespodziewanie przerywa ciszę.

– Za co?

– Za to, że walczyłeś o mnie do końca.

Lubosz nie odpowiada. Wie, że skrewił wielokrotnie, że ciągle tracił nadzieję, na szczęście później ją odzyskiwał, przekuwając na działania. Ma też świadomość, że za niektóre czyny demony przeszłości będą go odwiedzać podczas koszmarnej nocy i kołatać do drzwi.

– Gdzie jedziemy? – pyta Sylwia, rozglądając się po blaknących z każdym pokonanym metrem domostwach usytuowanych wzdłuż trasy.

– Zaraz zobaczysz. Muszę załatwić coś, co powinienem zrobić już dawno temu.

Po kwadransie skręcają w boczną drogę, wąską odnogę składającą się z dwóch kolein wysypanych ubitym żwirem. Stan nawierzchni sprawia, że Arek zwalnia do piętnastu kilometrów na godzinę, dusząc silnik na drugim biegu. Sylwia uchyla okno, wpuszczając do kabiny trochę świeżego powietrza. W oddali mającą niskie zabudowania, a wokół ciągną się puste pola i zagajniki dziko rosnących drzew. Po chwili słychać ujadanie psów narastające wraz ze zbliżaniem się samochodu do zabudowań.

Arek parkuje samochód na podjeździe tuż przed wysoką, pordzewiałą bramą. Kilka złączonych ze sobą parterowych budynków pokrytych niemalowaną blachą, z zakratowanymi oknami, ma kolor mokrego betonu. Szczekanie psów staje się nie do zniesienia. W powietrzu unosi się intensywny zapach sierści, wilgoci oraz karmy.

Wchodzą przez bramkę, po czym kierują się wąskim przejściem w prawo i wychodzą na plac stanowiący wybieg dla zwierząt, ogrodzony metalowymi siatkami, podzielony na numerowane boksy, w których każdy pies ma własną przestrzeń.

Sylwia chwyta ojca za dłoń, drugą rękę kładzie na jego ramieniu i uśmiecha się, mówiąc:

– To fantastyczny pomysł.

Arek odwzajemnia uśmiech, a kiedy po dopełnieniu wszystkich formalności pracownik schroniska prowadzi go do boksu, w którym znajduje się ciemny, długowłosy wilczur, czuje się, jakby ktoś kroił mu serce.

Pies jeszcze nie może go dojrzeć, ale zaczyna nieprzerwanie, głośno szczekać.

– Belweder, przyjacielu, jak dobrze cię znowu widzieć – mówi Arek, doskakując do metalowych prętów, na które pies wystawia przednie łapy.

Belweder, pies operacyjny, czworonożny przyjaciel, który uratował Arkowi życie. Kilka lat wcześniej, gdy Lubosz miał rozbroić bombę podłożoną na nowo powstającym osiedlu w Bielsku-Białej, wilczur szczekał przeraźliwie, alarmując innych członków ekipy policyjnych saperów, jednostki, w której służył wtedy Lubosz. Zwierzęcym szóstym zmysłem Belweder wyczuł zamiary Arka. Sprowadził pomoc, ratując go przed tragedią. Później Arka odsunięto od służby, wysłano na przymusowy urlop i leczenie, a psa przeniesiono na emeryturę. Pies policyjny powinien zostać ze swoim ostatnim opiekunem, co jest najlepszą praktyką, lub szybko trafić do adopcji. Nikt nie kwapił się jednak, by zapewnić mu prawdziwy dom. Lubosz na wieść o dalszych jego losach postanowił, że jak tylko Sylwia się odnajdzie i wszystkie sprawy się wyprostują, przygarnie Belwedera.

Pracownik schroniska wchodzi do boksu, przypina do obroży smycz, ale pies zaraz mu się wyrywa, wymyka się z klatki, i piszcząc w euforii, skacze na Arka. Lubosz próbuje sprowadzić go na ziemię, przewraca się, a Belweder wtapia się w jego objęcia, garnie się mocno, wbijając całe ciało w tors i ramiona mężczyzny.

Gdy Sylwia kuca i zaczyna głaskać psa po grzbiecie, ten turla się pod jej nogi, by za moment wrócić do Arka.

Lubosz spogląda w szkliste, brązowe psie oczy. Dostrzega w nich szczęście i autentyczne wzruszenie.

– Sylwia, zawsze chciałaś mieć psa – przypomina. – Przedstawiam ci w takim razie bohatera, z którym kiedyś pracowałem.

– Jest śliczny!

Arek podnosi się z ziemi i spogląda na córkę, głaszczącą psa. Nagle uderza go potężna myśl, jak wiele prozaicznych i radosnych chwil stracił przez uciekanie od problemów w pracę i alkohol. Później zatracił się w tragedii, za którą stało zniknięcie Sylwii. Zabity rutyną dnia codziennego, nie poświęcał uwagi dorastającej, prawie dorosłej córce w czasie, gdy tego najbardziej potrzebowała. Zdaje sobie sprawę, jak wiele musi naprawić i nauczyć się na nowo cieszyć życiem.

– Zabieramy Belwadera i... jedziemy kupić mu trochę smakołyków. A najpierw jeszcze przyda mu się wizyta u specjalisty? Co sądzisz? Musimy o niego dbać – oznajmia, spoglądając w oczy córce.

Sylwia podnosi głowę, posyłając mu szczery, promienny uśmiech.

– O siebie też musimy dbać, tato – dodaje, nie przestając głaskać psa po szyi.

# EPILOG

Uwielbia patrzeć na latające w dwie strony żółte piłki i odzyskującą formę Sylwię, która pobiera kolejną lekcję tenisa. Lubosz siedzi na niedużej trybunie z butelką piwa w ręku i z zaciekawieniem obserwuje grę. Ma również ochotę zapalić. Udało mu się ograniczyć to paskudztwo do dwóch papierosów dziennie. Od przyszłego tygodnia zamierza przykręcić śrubę jeszcze mocniej.

– A pan kiedy się ze mną zmierzy w końcu? – woła trener, wysoki chłopak zbliżający się do trzydziestki.

– Wolę grać z córką – odpowiada Arek.

– Bo ona panu daje fory. Jeszcze parę treningów i to się zmieni. Muszę tylko popracować nad jej mentalnością.

– To ja gram na pół gwizdka – stwierdza Lubosz.

– Dobra, dobra, tato. – Sylwia wymierza w jego kierunku raketę, jakby chciała wystrzelić z niej pocisk. – Chyba już jestem gotowa mentalnie, by spuścić ci łomot, skoro tak mówisz.

– To chyba muszę najpierw wziąć parę lekcji u trenera!

Wyjechali na Mazury. Arek znalazł domek, tuż nad jeziorem. Na śniadania i obiady chodzą do oddalonego o dwa kilometry hotelu dysponującego świetną bazą do gry w tenisa. Wykupił Sylwii lekcje. Pamiętał, że uwielbiała grać. Wobec policyjnej pensji treningi tenisa wydawały się kuriozalnie drogie, ale starał się odkładać pieniądze na ten cel. Nie wiedział dlaczego, ale czuł w tym prawdziwą wartość. Może po prostu w taki sposób zrekompensował ciągłe nieobecności w domu i brak realnego uczestnictwa w życiu dorastającej córki?

Sport, długie spacerunki i dobra dieta. Wracają do formy. Oboje. Przyrzekli sobie przed wyjazdem, że nie będą rozmawiać o przeszłości, tylko o tym, co tu i teraz. Plany na przyszłość również pozostawiają na inną okazję. „Jeśli nie masz planów, nie możesz zawieść i nic nie może pójść źle” – usłyszał kiedyś. Dlatego woli się tego trzymać i odczarować los, by w końcu uśmiechnął się do jego rodziny.



Relacje z córką odkrywa na nowo. Chodzą na lokalne koncerty, pływają po jeziorach, urządzają sobie wycieczki rowerowe, a nawet byli razem na dyskotecę. Zaklinają rzeczywistość, która powoli wyciąga po nich swoje macki.

Nie snują planów na przyszłość, ale Arek późnym wieczorem, gdy Sylwia idzie już do swojego pokoju, zastanawia się nad dalszą karierą zawodową. Do policji już raczej nie wróci. Chce zostawić za sobą destrukcyjne doświadczenia.

Nie wie, co będzie robić. Trudno zdefiniować swoje życie na nowo. Wszyscy wskazują, że piłkarz po zakończeniu kariery ma poważny problem. Nagle ktoś odbiera mu możliwość zarabiania pieniędzy, a także życiową pasję. Sportowcy są jednak na tyle mocno wpisani w struktury organizacyjne, że mają szereg możliwości po zakończeniu kariery – dyrektorzy sportowi, menedżerowie, skauci. Co mógłby robić on, śledczy, który czuje wstręt do policji?

Upija kolejny łyk piwa. Myśłami wędruje do ostatnich spraw. Wciąż nie może uwierzyć w to, co się wydarzyło. Aż dreszcze przechodzą mu po skórze, gdy uświadamia sobie, że oprawca Sylwii był na wyciągnięcie ręki. Holica... Tyle lat w służbie... Wybrał sobie idealne miejsce, by pracować pod przykrywką, by ukrywać swoją prawdziwą naturę, mataczyć w śledztwach, odciągać uwagę policjantów od słusznych tropów i wprowadzać w życie swój chory, pokrętny plan.

Arek ma do siebie pretensje, że podczas poszukiwań Sylwii był zaślepiony żądzą zemsty. Nie widział wyraźnie wśród wyłaniających się oznak otaczającego go szaleństwa. Gdyby Marek wtedy w samochodzie, gdy jechali w stronę opuszczonej huty, wyjawiał choć trochę wątpliwości co do Holicy... Jednak przyznał, że ufa komisarzowi, mimo iż ten lubi zbierać na innych haki. Wszyscy byli przesiąknięci tym cholernym syfem rozprzestrzeniającym się dookoła. Tyle lat w służbie sprawiło, że po prostu przyjmowali zachowanie starszego komisarza jak coś najnormalniejszego na świecie. Holica... Przed oczyma Arka stają obrazy z aresztowania. Jego spokój, uśmiech i powolne kiwanie głową w geście podziwu. Niczego nie mówił, nie komentował. Jednak postawa jego ciała i mimika wyrażały więcej niż tysiąc zdań.

Lubosz wyobraził sobie wtedy, że Holica w myślach musiał powiedzieć właśnie takie słowa: „Czekałem na was długo. Jak dobrze, że już po wszystkim...”. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że komisarz podczas zatrzymania poczuł wyraźną ulgę.

Arek próbuje sobie wmówić, że już po wszystkim, że teraz musi wyluzować, inaczej straci rozum. Ale emocje nie chcą od niego odejść. Gniew wydaje się wypełnionym po brzegi naczyniem. Pomimo spokoju, którego zaznał podczas pobytu z córką na Mazurach, wciąż dręczy go myśl podpowiadająca, by złożyć wizytę Holicy w zakładzie karnym, do którego zapewne trafi przestępca.

Zbliża się wieczór, a promienie słońca kładą się purpurowym blaskiem na martwej tafli jeziora. Lubosz sprawdza zapasy węgla drzewnego, by rozpaść grilla, ale zauważa, że ostatni tekturowy worek świeci pustkami.

– Chyba nici z kolacji – oznajmia.

– Możemy zjeść coś innego – proponuje Sylwia.

– Zamarynowałem ryby. Chyba skoczę jeszcze do miasta.

W tym momencie Lubosz otrzymuje SMS-a. Spogląda na telefon. Kod odbioru przesyłki w paczkomacie usytuowanym na parkingu obok sklepu Dino.

– Zamawiałaś coś?

– To znaczy?

– Bo dostałem jakąś przesyłkę. Chyba jednak się przejadę. Przy okazji kupię węgiel na grilla. Jedziesz ze mną?

– Nie, muszę wziąć prysznic, wyprostować w końcu włosy.

– Wiesz, że nie lubię, gdy zostajesz sama.

– Musisz się do tego przyzwyczaić, tato. Już i tak podejrzanie to wygląda. Wszyscy w hotelu myślą, że wyrwałeś sobie taką młodą laskę!

– Aż taki stary jestem? Dobra, postaram się wrócić jak najszybciej. Chcesz coś jeszcze ze sklepu?

\*\*\*

W sklepie jest kilku klientów. Z palety ulokowanej tuż przed kasami Arek podnosi jeden worek z węglem drzewnym i podstawia kasjerce kod kreskowy, oświadczając, że weźmie jeszcze trzy dodatkowe. Patrzy na ladę z butelkami alkoholu, ale uznaje, że zapasy piwa mu wystarczą. Wychodzi ze sklepu, otwiera bagażnik, do którego wrzuca zakupy. Już ma wsiąść do samochodu, lecz spogląda na paczkomat znajdujący się na końcu parkingu i przypomina sobie o przesyłce.

Zasięg transmisji danych w telefonie szwankuje, więc Lubosz na ekranie paczkomatu wbija swój numer telefonu oraz kod odbioru.

Wieko jednej z większych gabarytowo skrytek otwiera się, wydając głośny trzask.

Arek wyjmuje przesyłkę – nieduży karton, lekki, wysłany z jednego z oddziałów pocztowych z Katowic.

W pierwszej chwili na widok miejscowości nadania myśli, że to może znajomi z pracy wysłali mu butelkę dobrego bourbona, ale paczka nie ma odpowiedniej wagi.

Zastanawia się przez moment.

Tylko Marek i Marcela wiedzą, gdzie pojechałem.

I jeszcze Ewelina. Chciała koniecznie znać adres, jak przyznała, ze względów bezpieczeństwa. Nigdy nie przypuszczałyby, że oprawca jej córki może czuć się na tyle bezkarny, że zapisze się do niej na terapię i zacznie uprawiać chorą, pokrętną grę, zwierzając się jej z największych sekretów. Jaki plan miał Holica wobec byłej żony Lubosza? Tego śledczym nie udało się ustalić.

Ewelina próbowała nawet przyjechać, by pobyć dłużej z Sylwią, ale Lubosz się na to nie zgodził.

– To mój czas z córką – powiedział. – Proszę cię, chociaż tego postaraj się nie psuć.

Arek wraca do samochodu i ponownie otwiera bagażnik, po czym umieszcza w środku odebraną paczkę. Z kieszeni spodni wyjmuje kluczyk od auta, którym przecina taśmę sklejącą tekturowe pudełko. Wewnątrz znajduje pełno papierowych kul ze zgniecionych gazet i czasopism. Po chwili dokopuje się do właściwej przesyłki.

Widzi przeźroczystą, zgrzewaną folię. Nieduży prostokąt z zawartością, która sprawia, że mimowolnie osuwa się na ziemię.

Siada na rozgrzanym asfalcie, opiera się o zderzak samochodu i próbuje krzyczeć, ale nic, żadne słowo nie przechodzi mu przez ściśnięte gardło.

Paczka jest miękka, zawartość ugina się pod dotykiem, tylko w jednym miejscu czuć wyraźny opór.

W torebce foliowej znajdują się skłębione włosy oraz długie obcięte paznokcie.

I coś jeszcze...

Obrączka.

Lubosz ją rozpoznaje.

Zimny dreszcz przechodzi mu po plecach.

Może to po prostu chory żart – myśli.

Wybiera numer do Eweliny.

Słyszy tylko wygenerowany automatycznie komunikat:

– Osoba, do której dzwonisz, ma wyłączony telefon bądź jest niedostępna.

Powiadomimy cię, gdy pojawi się ponownie.

KONIEC

# POSŁOWIE

Całej historii zawartej w *Wymazanych* oraz *Niewidocznych* nie byłoby bez lektury książki *Nekros. Wprowadzenie do ontologii martwego ciała* autorstwa profesor Ewy Domańskiej. To dzięki jej pracy poznałem wiele interesujących badawczo koncepcji statusu ontologicznego ludzkiego ciała i szczątków, które stały się na tyle fabularnie „żyzne”, że tylko czekały na wybujałą wyobraźnię autora thrillerów. Mam nadzieję, że pani profesor wybaczy mi ten kostium sensacyjności, w który ubrałem poważne teorie organicznego zagospodarowania ludzkiego ciała po śmierci. Myślę, że profesor Ewa Domańska w proponowanych rozważaniach wyprzedza obecne czasy, a w najbliższej przyszłości omawiane tematy doczekają się w Polsce należnego im zainteresowania.

Dziękuję mojemu wydawnictwu i wszystkim osobom pracującym przy *Niewidocznych* oraz *Wymazanych*. Za zaufanie, cenne rady i słowa zachęty do pisania! Wyrazy szczególnych podziękowań dla redaktor Moniki Orłowskiej!

Zarówno *Wymazani*, jak i *Niewidoczni* nie ukazałyby się w takiej formie jak obecnie, gdyby w gąszczu propozycji wydawniczych Piotr Sternal nie zauważył mojego tekstu; Piotr, jeszcze raz wielkie dzięki za to!

Słowa uznania kieruję również do Dawida i Wojtka, przyjaciół, którzy musieli wytrzymywać ciężkie spojrzenia innych gości, gdy spędzaliśmy czas w pubach, a ja przedstawiałem im na głos przerażające pomysły fabularne.

Dziękuję Agnieszce, za wsparcie i najlepszą możliwą motywację, by skończyć tę powieść w określonym terminie.

# PRZYPISY

[1] A zatem, gdy umrę, Grzyby Nieskończoności rozpoznają moje ciało i będą w stanie je spożyć (tłum. red.) w <https://edition.cnn.com/2011/11/20/opinion/lee-mushroom-death-suit/index.html> [dostęp: 7.09.2020].